

Wyga

Jack London



calibre 0.9.27

WYGA

Jack London

PRZEDSMAK MIĘSA

I

Na początku był Krzysztofem Bellew. Z czasem, kiedy chodził do gimnazjum, stał się Krzychem Bellew. Następnie w kołach cyganerii artystycznej w San Francisco nadano mu przezwisko Kit Bellew. W końcu znany był tylko pod imieniem Kurzawy. Dzieje ewolucji jego imienia są zarazem historia jego rozwoju osobistego. Ale nie byłoby żadnej historii, gdyby nie miał słabej matki, żelaznego wuja i gdyby nie otrzymał listu od niejakiego Gilleta Bellamy'ego „Właśnie przejrzałem numer *Fali* — pisał z Paryża Gillet. — Prawdę mówiąc, O'Harze może się to udać. Ale są błędy i niedopatrzienia. (Tu następowało szczegółowe wyliczenie braków tygodnika puszczającego swe pierwsze pędy). Zajdź do niego i powiedz, że to twoje własne zdanie, nie wspominając ani słowem o mnie. Gdyby się dowiedział, że ja to napisałem, zaraz by mnie zrobił swoim korespondentem paryskim, na co nie mógłbym się zgodzić, ponieważ wielkie miesięczniki i tygodniki naprawdę płacą mi za moje rzeczy. A przede wszystkim nie zapomnij mu powiedzieć, żeby koniecznie spławił cymbała, który pisze recenzje muzyczne i tym podobne. Pamiętajcie, że San Francisco miało zawsze swą własną literaturę. A dziś jej nie ma. Poradź mu, niech się rozejrzy i wyszuka takiego wariata, który by mu pisał tygodniową kronikę artystyczną, tylko żeby w tym była prawdziwa poezja, blask i koloryt San Francisco”.

Zgodnie z tą instrukcją Kit Bellew udał się do redakcji *Fali* z radami i wskazówkami. O'Hara wysłuchał. O'Hara spierał się, O'Hara ustąpił, O'Hara spławił cymbała-krytyka. Ale miał też swoje własne pomysły i zrobił właśnie to, czego się obawiał Gillet w dalekim Paryżu. Jeśli O'Hara czegoś chciał, nikt nie mógł mu odmówić. Był słodki i niezłomnie uparty. Toteż zanim Kit Bellew zdołał się wymknąć z redakcji, został współwłaścicielem i współpracownikiem pisma, przyrzekł pisać co tydzień całe kolumny recenzji, dopóki nie znajdzie się ktoś przyzwoitszy, i zobowiązał się dostarczać co tydzień felieton na dziesięć tysięcy słów z życia San Francisco — wszystko za darmo. O'Hara tłumaczył, że *Fala* jest na razie pismem deficytowym; twierdził też z równym przekonaniem, iż w San Francisco jeden tylko człowiek może pisać felietony tygodniowe — a tym człowiekiem jest Kit Bellew.

— O Boże, więc to ja jestem tym wariatem — jęknął Kit schodząc wąskimi schodami.

W ten sposób stał się niewolnikiem O'Hary i nienasyconych kolumn *Fali*. Tydzień po tygodniu spędzał w krześle redakcyjnym, walcząc z wierzycielami, zmagając się z zecerami i wypisując dwadzieścia pięć tysięcy słów tygodniowo. A pracy nie ubywało. *Fala* była ambitna. Zachciało się jej ilustracji. Koszty były wielkie. *Fala* nigdy nie mogła zapłacić honorarium Kitowi ani też innym swym współpracownikom.

— Oto, do czego dochodzi, gdy się jest dobrym kolegą — mruknął Kit pewnego razu.

— Bóg zapłać dobrym kolegom — zawołał O'Hara, ze łzami w oczach potrząsając prawicą Kita Bellew. — Uratowałeś mnie, Kit, toteż w ogień bym skoczył za ciebie. Jeszcze trochę, stary, a będzie lepiej.

— Nigdy — jęknął Kit. — Jasno widzę swój los. Nigdy się stąd nie wydostanę..

Wkrótce potem już mu się zdawało, że przecież znalazł wyjście z sytuacji. Upatrzył odpowiednią chwilę i w obecności O'Hary omal się nie przewrócił, potknąwszy się o krzesło. W kilka minut później uderzył się znów o róg biurka i macając niepewnie palcami, zaczął szukać gumki.

— Lampartowałeś się? — mruknął O'Hara.

Kit przetarł oczy dłonią i przez chwilę patrzył na niego niezupełnie przytomnym wzrokiem.

— Nie, to nie to — odpowiedział po jakimś czasie. — To moje oczy. Po prostu pomału tracę wzrok.

Przez kilka dni przewracał się i potykał o wszystkie sprzęty w redakcji. Ale O'Hary to nie wzruszyło.

— Wiesz co, Kit? — odezwał się pewnego dnia. — Coś ci powiem. Idź do okulisty. Mam znajomego, niejakiego doktora Hassdapple'a. To równy gość. Nic cię to nie będzie kosztowało. Zapłacimy mu ogłoszeniami. Ja sam z nim pomówię.

W końcu postawił na swoim i wyprawił Kita do okulisty.

— Nic pańskim oczom nie brakuje — zawyrokował lekarz po starannym zbadaniu. — Doprawdy, oczy ma pan świetne — para takich na milion.

— Nie wspominaj pan o tym O'Harze — bronił się Kit. — I niech mi pan da czarne okulary.

W wyniku tego wszystkiego O'Hara okazywał Kitowi dużo współczucia i z żarem mówił o tym czasie, kiedy *Fala* stanie wreszcie na własnych nogach. Na szczęście Kit Bellew miał własne dochody. Były małe w porównaniu z zarobkami innych ludzi, wystarczały jednak, aby opłacić wpisowe w kilku klubach i kawalerski pokój w dzielnicy studenckiej. Prawdą też jest, że od czasu kiedy Kit został współnikiem O'Hary, osobiste jego wydatki znacznie się zmniejszyły. Nie miał czasu wydawać pieniędzy. W domu w ogóle nie bywał i nie urządzał już dla członków miejscowej cyganerii owych słynnych kolacyjek z przepyszными potrawami podawanymi na gorących rusztach. Mimo to chodził wciąż bez grosza, ponieważ *Fala* w swych groźnych i niestety częstych chwilach kryzysów finansowych pochłaniała jego „flotę” nie mniej niż jego pracę umysłową.

Co jakiś czas zjawiali się w redakcji rysownicy pism ilustrowanych, którzy nie chcieli już dostarczać ilustracji za darmo, drukarze, którzy znów odmawiali dalszego druku, wreszcie chłopak redakcyjny co rusz to wypowiadał pracę. W takich chwilach O'Hara patrzył na Kita, a Kit przykładał się do pracy aż miło.

Kiedy przybył z Alaski parowiec „Excelsior” i przywiózł wieści o nowej złotej febrze w Klondike, od której cały kraj dostał bzika, Kit wypuścił balon próbny:

— Słuchaj, O'Hara — rzekł — ta gorączka złota rośnie jak na drożdżach. Wracają czasy czterdziestego dziewiątego roku. A gdybym tak skoczył i „zrobił” Klondike dla *Fali*? Pojadę na własny koszt.

Ale O'Hara potrząsnął głową przecząco.

— W żaden sposób nie mogę się obejść bez ciebie w redakcji, Kit. A poza tym, nie dalej jak godzinę temu rozmawiałem z Jacksonem. Wyjeżdża jutro do Klondike i zobowiązał się przysyłać co tydzień korespondencje i zdjęcia. Piłowałem go tak długo, aż mi to przyrzekł. A co najlepsze, nic nas to nie będzie kosztowało.

Drugi raz zgadało się o Klondike tegoż popołudnia w klubie, do którego Kit „zajrzał” przypadkiem. W jednej z nisz czytelnik natknął się na swego stryja.

— Halo, bracie mego ojca — powitał go Kit osuwając się na obity skórą fotel i wyciągając nogi. — Może się przysiadzisz do mnie?

Zamówił cocktail, ale stryj poprzestał na lekkim krajowym winku czerwonym — nic innego nie pił. Pełne wyrzutu spojrzenie rzucił na cocktail, a potem na twarz bratanka. Kit spostrzegł, że zbiera się na dłuższe kazanie.

— Wpadłem tu tylko na chwilę — pośpiesznie uprzedził atak. — Muszę zebrać trochę danych o ekspedycji Keitha i Ellery'ego i zrobić z tego pół kolumny.

— Co się z tobą dzieje? — zapytał stryj. — Wyglądasz mizernie. Jesteś po prostu ruiną człowieka.

Głuchy jęk był całą odpowiedzią Kita.

— Już widzę, że będę musiał wyprawić ci pogrzeb. Kit smutno potrząsnął głową.

— Nie znoszę robactwa, dziękuję pięknie. Wolę krematorium.

John Bellew należał do starego, krzepkiego i twardego pokolenia, które w latach pięćdziesiątych przemierzyło stepy wozami. Była w nim siła, siła młodości spędzonej na zdobywaniu nowej ziemi.

— Źle żyjesz, Krzysztofie. Wstyd mi za ciebie. — Droga do ołtarza, co? — zaśmiał się Kit.

Starszy pan wzruszył ramionami.

— Szkoda tych piorunujących spojrzeń, bracie mego ojca. Bardzo bym chciał stanąć na ślubnym kobiercu. Ale odcięto mi tę drogę. Nie mam czasu.

— Więc cóż do...

— Przemęczenie.

John Bellew zaśmiał się szorstko i nieufnie.

— Uczciwą pracą?

I znowu dał się słyszeć śmiech.

— Ludzie są tworamami swego otoczenia. — rzekł Kit wskazując szklankę stryja. — Twój humor jest cienki i cierpki jak twój napój.

— Przeciążenie pracą! — śmiał się stryj. — Toć ty przez całe życie ani centa nie zarobiłeś.

— Założmy się, że tak. Zarobiłem, tylko nigdy nic mi nie wypłacono. Zarabiam pięćset dolarów tygodniowo, a robię za czterech.

— Pewnie smarujesz obrazy, których nikt nie chce kupić, albo inne głupstwa. Umiesz pływać?

— Pływałem czasem.

— Siedzisz na koniu jako tako?

— Próbowałem i tej emocji.

John Bellew wylał na niego całe swe oburzenie.

— Szczęśliwy jestem, że ojciec twój nie dożył dni chwały twojego niedołęstwa — rzekł. — Twój ojciec był mężczyzną, mężczyzną w każdym calu. Rozumiesz? Mężczyzną całą gębą. Pewny jestem, że wybiłby ci z głowy ten muzykalno-artystyczny obłąd.

— Niestety, żyjemy w epoce karłów — westchnął Kit.

— Mógłbym to zrozumieć i patrzeć na to przez palce — podjął stryj tonem pojednawczym — gdybyś coś z tego miał. Ale nigdy przez całe życie ani grosika nie zarobiłeś i w ogóle nie zrobiłeś jeszcze nic porządnego.

— Akwaforty, obrazy, wachlarze — wtrącił z uporem Kit.

— Jesteś bazgracz i pacykarz. Cóżże ty za obrazy namalował? Brudne akwarele i kicze jak zmory. Nic nigdy nie wystawiłeś nawet tu, w San Francisco.

— Ejże, zapomina stryj, że w hallu klubu wisi jeden mój obraz.

— Bohomaz... A muzyka? Ta twoja kochana, zwariowana matka wydawała krocie na twoje lekcje. A ty zmarnowałeś wszystko i do niczegoś nie doszedł. Żebyś choć pięć dolarów zarobił akompaniowaniem komu bądź na koncercie. A twoje piosenki — bzdury. Nikt ich nie chce drukować, a śpiewa je tylko banda kretynów, „nadludzi”.

— Wydałem przecie książkę, te sonety, pamięta stryj? — bronił się Kit miękko.

— Ile cię to kosztowało? — Jakieś paręset dolarów. — Czego jeszcze dokazałeś?

— Wystawiłem sztukę plenerową na werandzie klubu.

— I cóżeś zyskał?

— Sławę.

— I to ty, który umiesz pływać i próbowałeś jeździć konno!

John Bellew postawił szklankę z niezwykle gwałtownością.

— No i cóżes ty wart? Ładnie was wychowują. Na uniwersytecie nawet w piłkę nożną nie grałeś.

Nie wiosłowałeś. Nie...

— Trochę się boksowałem, biłem się na szable... — Kiedy boksowałeś się ostatni raz?

— Dość dawno. Ale mówiono, że doskonale obliczam czas i odległość, tylko tego...

— Gadaj szczerze.

— Uważano, że jestem... nierówny...

— Próźniak po prostu.

— Toteż mnie samemu zawsze się zdawało, że „nierówny” to określenie zbyt łagodne.

— Mój ojciec, szanowny panie dobrodzieju, a twój dziadek, uważasz, stary Izaak Bellew, zabił jednym uderzeniem pięści człowieka w sześćdziesiątym dziewiątym roku życia.

— To jest — ten człowiek miał sześćdziesiąt dziewięć lat?

— Nie, twój dziadek, smarkaczu. Jak ty będziesz miał sześćdziesiąt dziewięć lat — komara nie zabijesz.

— Czasy się zmieniły, o bracie mego taty. Za zabójstwo idzie się dziś do więzienia.

— Twój ojciec zrobił bez zmrżenia oka sto osiemdziesiąt mil konno i trzy konie padły pod nim.

— Gdyby doczekał naszych dni, robiłby tę drogę chrapiąc w pullmanie.

Starszego pana omal nie zatkało. Ale jakoś przełknął złość i raczył spytać:

— Ile masz lat?

— Zdawałoby się...

— Sam wiem dokładnie. Dwadzieścia siedem. Skończyłeś szkoły w dwudziestym drugim roku życia — pięć lat wałęsasz się, bawisz i próżnujesz. I czymże jesteś przed Bogiem i ludźmi? Kiedy byłem w twoim wieku, miałem tylko jeden komplet bielizny. Konwojowałem bydło w Koluzie. Byłem twardy jak krzemień, a spać mogłem z kamieniem pod głową. Żyłem befsztykami i niedźwiedzim mięsem. A dziś jestem z pewnością zdrowszy i mocniejszy od ciebie. Wążysz najwyżej sto sześćdziesiąt pięć funtów. Dziś jeszcze mógłbym bez trudu rozciągnąć cię na ziemi lub wymłócić pięściami.

— Nie trzeba dokazywać cudów siły, aby wypić cocktail lub filiżankę herbaty — mruknął Kit lekceważąco. — O, stryjaszku, czy nie widzisz, że czasy się zmieniły? A poza tym źle mnie wychowano. Moja kochana, zwariowana matka...

John Bellew zachnął się.

— ...jak stryj sam powiedział, była dobra dla mnie. Ubierała mnie zawsze w ciepłe trykociki i tak dalej. Jako młody chłopak parę razy spędziłem wakacje w opisany przez stryja, tak zwany męski sposób — ale dziwię się, że też stryj nigdy mnie nie zaprosił. Brał stryj przecież ze sobą Roberta i Hala i woził ich przez Sierra i Meksyk... — Byłeś zbyt delikatnym paniczem.

— A, to już twoja wina, mój stryju, twoja i tej mojej — jakby rzecz — kochanej matki. Byłem tylko wątłym dziecięciem. Cóż mi pozostawało prócz akwafort, obrazów i wachlarzy? Czy więc moją jest winą, że nie zaznałem, co to trud w pocie czoła?

Starszy pan spojrział na swego bratanka z nietajonym wstrętem. Nie mógł znieść tych łagodnych wymówek wiecznie pobłażającej sobie lekkomyślności.

— Dobrze. Mam właśnie zamiar urządzić sobie tak zwane przez ciebie "męskie" wakacje. Gdybym cię tak zaprosił i wziął z sobą?

— Muszę stwierdzić, że zaproszenie jest trochę spóźnione. A dokądże to stryj się wybiera?

— Hal i Robert jadą do Klondike. Mam zamiar odprowadzić ich przez przełęcz do jeziora, a potem wrócić.

Nie mógł mówić dalej, bo młody człowiek skoczył i chwycił go za rękę.

— Mój zbawco!

W Johnie Bellew natychmiast zbudziło się podejrzenie. Nie śniło mu się nawet, aby jego zaproszenie mogło być przyjęte.

— Nie mówisz chyba serio? — rzekł.

— Kiedy wyruszamy?

— To ciężka przeprawa. Będziesz zawadzał.

— Nie, nie. Będę pracował. Nauczyłem się pracować, odkąd jestem w *Fali*.

— Każdy musi wziąć z sobą żywność na cały rok. Tobałów zwali się nam tyle, że tragarze indiańscy nie będą mogli ich przenieść. Hal i Robert będą musieli sami troszczyć się o cały swój ekwipunek. Jadę z nimi — aby im w tym pomóc. Jeśli chcesz jechać z nami, musisz też pomagać.

— Zobaczymy.

— Ale co ty tam udźwigniesz! — zachnął się stryj.

— Kiedy wyjeżdżamy?

— Jutro.

— Niechże stryj sobie nie pochlebia, że to wszystko sprawiło jego kazanie — mówił żegnając się Kit. — Właśnie chciałem wyrwać się stąd, wszystko jedno dokąd, byle jak najdalej od O'Hary.

— O'Hara? Któż to taki? Japończyk?

— Nie. To Irlandczyk, handlarz niewolnikami i mój najserdeczniejszy przyjaciel. Jest wydawcą, właścicielem, redaktorem i w ogóle najgrubszą rybą w *Fali*. Co chce, to robi. Duchy mógłby zaprząć do roboty.

Tej samej nocy Kit Bellew pisał do O'Hary: „Jadę na kilkutygodniowe wakacje. Będziesz musiał rozejrzeć się za jakimś wariatem, który by pisał ci kronikę tygodniową. Bardzo mi przykro, mój stary, ale moje zdrowie tego wymaga. Za to, gdy wrócę, wezmę się do roboty ze zdwojoną energią”.

II

Kit Bellew wylądował wśród opętanego ruchu na brzegu Zatoki Dyea, zapchanym tysiącami funtów bagażu zawierającego narzędzia i zapasy żywności i wypełnionym mrowiem ludzkim.

Olbrzymie masy bagażu, całymi górami wyrzucane na brzeg z parowców, zaczęły powoli posuwać się w górę Dolinę Dyea w kierunku grzbietu Chilcoot. Z zatoki do grzbietu tej góry było zaledwie dwadzieścia osiem mil, ale transport mógł się odbywać tylko na plecach ludzkich. Toteż mimo że tragarze indiańscy podnieśli cenę z ośmiu centów od funta na czterdzieści, byli zawalieni pracą i nie ulegało wątpliwości, że zima zaskoczy większą część bagażu po tej stronie działu wód.

Najdelikatniejszy ze wszystkich maminyh synków był oczywiście Kit. Jak setki jego towarzyszy podróży, dźwigał wielki rewolwer przytroczony do pasa z nabojami. Nie był tutaj bez winy stryj, pełen wspomnień dni bezprawia. Ale

Kit Bellew miał usposobienie romantyczne. Był zachwycony wrzeniem i jaskrawym zgiełkiem złotej gorączki, której objawy chłonał okiem artysty. Na serio tego nie brał. Jak mówił na pokładzie statku, ostatnia jego godzina jeszcze nie

wybiła. Był sobie na wakacjach: ot, popatrzeć zza płota, jak ludzie żyją na świecie — i wrócić.

Zostawił na piasku swych towarzyszy, którzy czekali, aż parowiec wyrzuci ich bagaż, i wałęsał się po brzegu zdążając pomału ku staremu etapowi handlowemu. Nie puszył się, choć zauważył, że

inni „rewolwerowi” fanfaronują niesłychanie. Minął go olbrzymi, na sześć stóp wysoki Indianin z nieprawdopodobnie wielkim ciężarem. Kit szedł za nim chwilę, podziwiając bajeczne łydy tego człowieka i pełną wdzięku swobodę, z jaką się poruszał pod ciężkim brzemieniem. Indianin złożył ciężar na schodach przed głównym wejściem do etapu i Kit przyłączył się do grupy poszukiwaczy złota, którzy z podziwem otoczyli tragarza. Ładunek ważył sto dwadzieścia funtów, co wywołało uwagi, wygłaszane z szacunkiem i podziwem. Była to bądź co bądź sztuka nie lada i Kit szczerze wątpił, aby mógł kiedykolwiek dźwignąć taki ciężar, a cóż dopiero iść z nim na plecach.

— Pójdziecie z taką furą aż do Jeziora Lindermana, stary? — zapytał Indianina.

Olbrzym, prostując się z dumą, mruknął, że tak.

— Co wam przyniesie taki jeden ładunek?

— Pięćdziesiąt dolarów.

Tu Kit przerwał rozmowę. Wzrok jego padł na młodą kobietę stojącą w drzwiach etapu. Od kobiet przybyłych na pokładzie statku tym się różniła, że nie miała kusej spódnicy ani bloomerowskiej koszuli. Ubrała się po prostu, jak do podróży. Nie mógł się oprzeć wrażeniu, jamie dziewczyna tu właśnie jest na swoim miejscu, że do tego świata należy. Poza tym była młoda i ładna. Uroda i płeć jasnej, owalnej twarzy przykuły jego wzrok i patrzył na nią tak długo, aż to odczuła i spotkała jego wzrok chłodnym, baczным spojrzeniem ciemnych oczu okolonych długimi rzęsami. Oczy te z widoczną uciechą zsunęły się z jego twarzy na wielki rewolwer u pasa, a potem znów przeniosły na twarz, pełne rozbawionego uśmiechu lekceważenia. Uderzyło go to jak kijem. Dziewczyna zwróciła się do stojącego obok mężczyzny i wskazała mu Kita. Mężczyzna zmierzył go wzrokiem od stóp do głowy z tym samym uśmiechem lekceważenia.

— *Chechaquo* — rzekła dziewczyna.

Mężczyzna, który w swym tanim ubraniu i rozlatującej się kurtce wełnianej wyglądał na włóczęgę, uśmiechnął się sucho, a Kitowi zrobiło się dziwnie nieswojo, choć nie wiedział czemu. Mimo wszystko, kiedy ta para odeszła, uchwalił jednogłośnie, że dziewczyna jest niepospolicie ładna. Zapamiętał sobie jej chód i przysiągł, że pozna go choćby po tysiącu lat.

— Widział pan tego mężczyznę z dziewczyną? — trącił go podniecony sąsiad. — Wiesz pan, kto to jest?

Kit potrząsnął przecząco głową.

— Cariboo Charley. Przed chwilą mi go pokazali. Wielkich on rzeczy dokonał w Klondike. Jeden z dawnych traperów. Dwanaście lat spędził nad Yukonem. Właśnie stamtąd przyjechał.

— A co znaczy: *chechaquo*?

— Pan jesteś *chechaquo*, ja jestem *chechaquo* — brzmiała odpowiedź.

— Może być, że jestem, ale powinien pan naprzód się o tym przekonać. Co znaczy to słowo?

— Maminsynek.

Idąc z powrotem ku zatoce Kit bezustannie przeżuwał to słowo. Nie należy do przyjemności, jeśli nazwie nas maminsynkiem taka koza z wyraźnie oszczerczymi skłonnościami.

Kiedy tak przeciskał się między workami, mając oczy wypełnione wizją Indianina z olbrzymim brzemieniem, przyszło mu na myśl, żeby spróbować swych sił. Wybrał sobie worek mąki ważący — jak wiedział — równe sto funtów. Stanął przed nim, pochylił się i z wysiłkiem zarzucił go sobie na plecy. W pierwszej chwili pomyślał, że jest to ciężar w sam raz dla niego. W następnej doszedł do przekonania, że jednak w krzyżach jest słaby. Potem zaklął, a po marnych pięciu minutach runął na brzemień, z którym się przed chwilą zmagał. Ocierając pot z czoła, ujrzał wśród gór rozmaitych worków Johna Bellew przyglądającego mu się z zimnym, zjadliwym uśmiechem.

— O Boże! — zawołał apostoł hartu. — Oto z lędźwi naszych wyszło pokolenie cherlaków. W

szesnastym roku życia bawiłem się takimi piórkami!

— O bracie mego tatusia — odpowiedział Kit — zapominasz, że mnie nie karmiono niedźwiedzim mięsem.

— I będę się bawił, choćbym miał lat sześćdziesiąt.

— Może mi stryj pokaże?

John Bellew pokazał. Prawdą jest, że nie miał więcej niż czterdzieści osiem lat. Pochylił się nad workiem mąki, zważył go, ujął dobrze, by nie stracić równowagi, i dźwignąwszy jednym ruchem na plecy, stanął wyprostowany.

— Chwył, mój chłopcze, chwył i, uważasz, krzyże. Kit z szacunkiem zdjął kapelusz.

— O stryju! Jesteś cudownym okazem mężczyzny! Jak myślisz, potrafię się nauczyć tego chwytu?

John Bellew wzruszył ramionami.

— Weźmiesz ogon pod siebie, zanim stąd ruszymy!

— Niech się stryj o to nie boi! — jęknął Kit. — Tam jest O'Hara, lew ryczący. Nie wrócę, chyba że będę musiał.

III

Pierwszy etap udał się Kitowi. Aż do Rozdroża Finnegana. Do przeniesienia ważącego dwa tysiące pięćset funtów bagażu do rozdroża udało im się nająć tragarzy indiańskich. Ale dalej trzeba już było nieść wszystko na własnym grzbiecie. Postanowili robić milę dziennie. Było to łatwe — na papierze. Odkąd John Bellew siedział w obozie zajmując się głównie kuchnią, mógł pomóc tylko od czasu do czasu, przy sposobności, wobec czego każdy z trzech młodzieńców musiał co dzień przenieść o milę przypadające na niego osiemset funtów. Gdyby bagaż podzielono na pięćdziesięciofuntowe paczki, oznaczałoby to codzienną szesnastomilową przechadzkę z ciężarem, a oprócz tego bez ciężaru piętnaście mil: „bo ostatni raz nie będzie już trzeba wracać” — zrobił Kit radosne odkrycie. Gdyby bagaż podzielono na paczki osiemdziesięciofuntowe, trzeba by robić już tylko dziewiętnaście mil dziennie, a piętnaście mil, jeśliby” ciężar każdej paczki wynosił sto funtów.

— Nie lubię chodzić — rzekł Kit. — Niech już będzie po stu funtów.

Zauważył uśmiech niedowierzania na ustach stryja i dodał:

— Rozumie się, że muszę do tego dojść stopniowo. Ale nie święci garnki lepią. Zacznę od pięćdziesięciu funtów.

Zrobił, jak powiedział, i rażno pobiegł szlakiem. Zwalił worek na miejscu następnego postoju i wrócił. Poszło łatwiej, niż myślał. Ale dwie mile starły kwiat jego siły i odkryły warstwę słabości. Drugi toból ważył sześćdziesiąt pięć funtów. Sprawa była ciężka — już nie biegł. Naśladując swych towarzyszy, przysiadł kilka razy po drodze, oparłszy worek o kamień lub pień. Za trzecim nawrotem rozzuchwiał się. Wziął w szelki worek fasoli ważący dziewięćdziesiąt pięć funtów i poszedł. Ledwie jednak zrobił sto sążni, poczuł, że padnie. Usiadł i otarł twarz z potu.

— Krótkie wysiłki i krótkie odpoczynki — mruknął. — Na tym polega cały dowcip.

Chwilami jednak nie mógł zrobić ani stu sążni, a za każdym razem, kiedy wstawał z wysiłkiem, worek wydawał mu się cięższy. Ledwo dyszał, pot lał się z niego strugami. Zanim zrobił ćwierć mili, zerwał z siebie wełnianą koszulę i powiesił ją na gałęzi drzewa. Po chwili rzucił kapelusz. Gdy zrobił pół mili, zrozumiał, że nie da rady. Nigdy w życiu tak się nie nateżał i czuł, że dłużej już stanowczo nie wytrzyma. Gdy tak siedział dysząc ciężko, wzrok jego padł na wielki rewolwer i ciężki pas z ładunkami.

— Dziesięć funtów zbytecznego obciążenia! — zaśmiał się odpinając pas.

Ale ani mu się śniło wieszać go na drzewie. Rzucił go po prostu w krzaki. A kiedy koło niego przeciągał korowód tragarzy idących tam i z powrotem, zauważył, że wielu nowicjuszków już się pozbyło swego śmiercionośnego żelastwa.

Marsze stawały się coraz krótsze. Chwilami nie mógł już zrobić stu stóp. Złowróżbne bicie serca oraz gwałtowny szum w uszach, połączony z drzeniem kolan, zmuszały go do odpoczynku. Postoje stawały się coraz dłuższe.

Ale umysł Kita pracował. Miał przed sobą dwadzieścia osiem mil, to znaczy dwadzieścia osiem dni takiej pracy, a z tego, co słyszał, była to najłatwiejsza część drogi.

— Zobaczycie, co to będzie, kiedy dojdziemy do Chilcoot! — mówili podczas krótkich pogawędek jego towarzysze. — Tam trzeba leżeć na czworakach!

— Co mnie obchodzi Chilcoot — odpowiadał. — Nie dla mnie! Zanim tam dojdziemy, dawno już będę gryzł ziemię!

Pośliznięcie się i gwałtowny, rozpaczliwy wysięk w celu odzyskania równowagi przeraziły go — czuł, że się w nim wszystko przewróciło.

— Jeśli upadnę z tym workiem na plecach, wyciągnę kopyta! — rzekł do sąsiada.

— To jeszcze nic! — brzmiała odpowiedź. Zaczekajcie, jak przyjdziemy do Kanionu! Tam trzeba będzie przechodzić przez rwący strumień po pniu sosnowym, długim na sześćdziesiąt stóp, bez poręczy, bez niczego, a woda spieniona, na zakłębnięciach pnia sięga wam do kolan. Kto zleci z pnia z workiem na plecach — przepadł. Musi utonąć.

— Doskonała dla mnie nowina! — odezwał się Kit.

Mówił to z otchłani wyczerpania, niemal serio i szczerze.

— Topi się tam trzech do czterech ludzi dziennie — zapewniał go sąsiad. — Pomagałem raz w wyławianiu jednego Niemca. Znaleźliśmy przy nim cztery tysiące dolarów.

— Zachęcające, muszę przyznać — bąknął Kit. Wstał z trudem i powłókł się dalej.

On i jego worek fasoli stali się chodzącą tragedią. Worek przypominał mu owego złośliwego staruszka, który siedział na karku Sindbada.

— Masz te prawdziwie męskie wakacje! — myślał. — Niewola u O'Hary była słodka w porównaniu z tymi wakacjami.

Kilkakrotnie już omal nie uległ pokusie, by rzucić w krzaki worek z fasolą, okrążyć obóz, pokraść się do zatoki i tam wsiąść na pierwszy lepszy statek idący w stronę cywilizacji.

Ale nie ustąpił. Gdzieś na dnie tkwiła w nim jeszcze resztkę silnej woli i wmawiał w siebie, że co mogą inni, on też potrafi. Powtarzał sobie to w kółko i wykladał niezrozumiale tym, którzy go mijali. To znowu, spoczywając, z zazdrością przyglądał się silnym, obładowanym jak muły Indianom, dźwigającym znacznie większe ciężary. Zdawało się, że oni nigdy nie odpoczywają, lecz idą i idą z wytrwałością i pewnością, która go przerażała.

Siedział i kłął — bo idąc kłąc z powodu braku oddechu nie mógł — i walczył z pokusą powrotu do San Francisco. Zanim mila się skończyła, przestał kłąć i zaczął płakać. Były to łzy wyczerpania i pogardy dla samego siebie. Czuł się zupełnie rozbity i złamany. Kiedy wreszcie ujrzał nowe stanowisko i szarpnął się naprzód, runął na twarz z workiem fasoli na plecach. Nie zabiło go to, leżał jednak z kwadrans, zanim zebrał tyle sił, że mógł się wyplątać z rzemieni, po czym osłabł śmiertelnie. Tak zastał go Robbie, który walczył z tymi samymi trudnościami. Ale widok omdlałego Roberta dodał Kitowi odwagi.

— Co inni mogą zrobić, i my potrafimy! — pocieszał go Kit, choć w głębi duszy nie bardzo był pewny, czy sam w to wierzy.

IV

— Mam przecie dwadzieścia siedem lat i jestem mężczyzną! — zapewniał się w duchu w następnych dniach.

Istotnie, zachęta była niezbędna. Pp tygodniu, w którym swoją drogą udało mu się przenieść o milę osiemset funtów, sam stracił piętnaście funtów na wadze. Na wychudłej twarzy widać było tylko skórę i kości. Stracił wszelką elastyczność, fizyczną i duchową. Już nie chodził, lecz włókł się, a kiedy wracał po nowe brzemię, choć nic nie niósł, powłóczył nogami, jakby był nie wiedzieć jak obciążony.

Stał się jucznym bydlęciem. Zasypiał nad jedzeniem, a sen miał ciężki, zwierzęcy, jeśli nie zrywał się z głosem jękiem, obudzony kurczami w nogach. Bolały go wszystkie kości. Chodził z popękkanymi pęcherzami na stopach, ale to było nic w porównaniu z tym, jak strasznie uderzył się w nogę wśród zalanych wodą głązów w Dyea Flats, przez które ścieżka ciągnęła się na przestrzeni dwóch mil — co stanowiło trzydzieści osiem mil podróży. Mył się tylko raz na dzień. Paznokcie, połamane, wykrzywione i pełne zadziarów, były czarne od brudu. Pierś i plecy z głębokimi pręgami od rzemiennych szelek kazały mu pierwszy raz w życiu myśleć ze znajomością rzeczy o koniach, które widywał na ulicach miasta.

Zmorą, która o mało zupełnie go nie rozsrubowała, była strawa. Niezwykły wysiłek wymagał nadzwyczajnego odżywiania, a jego żołądek nie był przyzwyczajony do wielkich ilości wędzonki i ordynarnej, niemal trującej fasoli brunatnej. W rezultacie żołądek nie przyjmował pokarmu, a że trwało to kilka dni, męka, spowodowane nią rozdrażnienie i wreszcie głód omal go nie powaliły. Ale w końcu nastąpiły radosne dni, kiedy mógł jeść jak drapieżne zwierzę i z wilczym wzrokiem wołać o więcej.

Kiedy przenieśli wszystek bagaż i zapasy żywności przez kładki u ujścia Kanionu, zmienili plan. Przez Przełęcz przyszła wieść, iż nad Jeziorem Lindermana wycięto ostatnie drzewa zdatne na łódki. Dwaj krewniacy zabrali deski, świdry, piłę i inne narzędzia i pobiegli naprzód. Kit ze stryjem mieli dalej wleć bagaże.

Teraz John Bellew gotował na przemian z Kitem i razem z nim nosił paki i worki. Czas nie czekał, na szczytach pokazał się pierwszy śnieg. Dać się złapać przez śnieg po tej stronie Przełęczы oznaczało całoroczną zwłokę. Starszy pan brał na swe kozły po sto funtów ciężaru. Kit poczuł się tym zawstydzony, zaciął zęby i nałożył na kozły również sto funtów. Gniotło trochę, ale już się umiał naciągnąć, a ciało pozbawione tłuszczu i stwardniałe, choć chude, zaczęło się prężyć mięskami. Poza tym uczył się obserwując innych. Obejrzał rzemienie, jakimi Indianie przymocowywali kozły do głowy, i sporządził sobie podobne. Było to znaczne ułatwienie i teraz mógł położyć na szczycie swego brzemienia jakiś lżejszy, nieporęczny przedmiot. W krótkim czasie doszedł do tego, że mógł iść ze stu funtami w szelkach, z piętnastu do dwudziestu ułożonymi wolno na górze i na karku, niosąc przy tym w jednej ręce siekierę lub parę wiosł, a w drugiej zasmolony kocioł obozowy.

Chociaż jednak pracowali do upadłego, szło im coraz trudniej. Droga stawała się coraz uciążliwsza, bagaż gniotł niemiłosiernie, a im niżej opuszczała się na górach linia śniegu, tym wyżej skakała stawka tragarzy, aż wreszcie doszła do sześćdziesięciu centów od funta. Krewniacy nie dawali znaku życia, z czego Elit wraz ze stryjem domyślali się, że pewnie są już przy pracy, ścinają drzewa i tną deski na czółna. John Bellew zaczął się niepokoić. Spotkali garstkę Indian wracających z jeziora Lindermana. Stryj namówił ich, żeby mu wnieśli bagaż na szczyt Chilcoot. Zgodzili się, ale wzięli po trzydzieści centów od funta, co stryja zniszczyło. Pokazało się też, że umowa nie obejmuje około czterystu funtów bagażu z ubraniami i sprzętem obozowym. Wobec tego stryj

pozostał, aby te rzeczy wywindować na górę, Kitowi zaś kazał iść naprzód z Indianami. Stanąwszy na szczycie góry Kit chciał powoli dźwigać swą tonę, czekając, aż stryj, jak tego był pewien, dogoni go ze swymi czterystu funtami.

V

Kit dreptał teraz szlakiem wraz ze swymi indiańskimi tragarzami. Zdając sobie sprawę z tego, że marsz będzie długi, prosto na szczyt Chilcoot, nie wziął więcej niż osiemdziesiąt funtów. Indianie uginając się pod brzemieniem szli prędzej, niż Kit przywykł. Nic sobie z tego nie robił. Był pewny, że im dorówna.

Uszedłszy ćwierć mili chciał odpocząć. Ale Indianie się nie zatrzymali. Wobec tego szedł z nimi, aby nie stracić swego miejsca w szeregu. Po pół mili był przekonany, że nie ujdzie już ani kroku, lecz zaciąwszy zęby nie opuszczał szeregu i ku wielkiemu swemu zdziwieniu pod koniec mili spostrzegł, że jeszcze żyje. A potem w jakiś niewytłumaczony sposób przyszło coś, co się nazywa drugim oddechem, a następna mila była już znacznie łatwiejsza. Za to trzecia mila

O mało go nie zabiła, ale choć na pół przytomny z bólu i zmęczenia, ani przystanął. I właśnie, właśnie kiedy czuł, że lada chwila padnie, przyszedł odpoczynek.

Indianie, zamiast zwyczajem białych tragarzy siedzieć w szelkach, porozpinali rzemienie na barkach i na głowie

odpoczywali leżąc wygodnie, paląc i rozmawiając. Minęło dobre pół godziny, zanim ruszyli w dalszą drogę. Ku swemu wielkiemu zdziwieniu Kit czuł się zupełnie wypoczęty i od tej chwili nowe jego motto brzmiało: „długi wysiłek i długi odpoczynek”.

Szczyt Chilcoot zupełnie usprawiedliwiał straszną opinię, jaką o nim szerzono, i istotnie dawał mnóstwo sposobności do czołgania się na czworakach. Ale gdy Kit stanął na grzbiecie działu wód w gęstej zawiei śnieżnej, Indianie byli wraz z nim, a on z ukrywaną dumą powtarzał sobie w duchu, że jednak dotrzymał im kroku i ani razu nie jęknął ani nie pozostał w tyle. Jego nową ambicją stało się dorównać wytrwałością Indianom.

Kiedy zapłacił i odprawił Indian, zapadły ciemności i zerwała się burza z zadymką. Pozostał sam na grzbiecie górskim, tysiąc stóp ponad strefą lasów. Mokry do pasa, zgłodniały i wyczerpany, oddałby teraz całoroczny dochód za odrobinę ognia i filiżankę kawy. Zamiast tego pochłonał około tuzina zimnych podpłomyków i wśliznął się pod fałdy na pół rozbitego namiotu. Zасыpiając przypomniał sobie stryja Bellew i uśmiechnął się z występłą radością na myśl o tym, jak to stryjaszek w najbliższych dniach spędzać będzie swoje męskie wakacje windując na górę czterysta funtów. Co do niego, to choć miał ich dwa tysiące, nie martwił się — trzeba je było tylko spuścić na dół.

Rano, zeszywniały z zimna i zmęczenia, wygrzebał się spod płócien, zjadł parę funtów surowej wędzonki, ścisnął w szelkach sto funtów i ruszył skalistą dróżką. O paręset sążni niżej ścieżka wiodła przez mały lodowiec, a potem na dół, do Jeziora Krateru. Widać było ludzi podążających przez lodowiec. Kit przez cały dzień znosił swe worki i paki na górny kraniec lodowca, a w końcu widząc, że etap jest bardzo krótki, wziął na plecy sto pięćdziesiąt funtów. Jego zdumienie, że może ważyć się na coś podobnego, nie miało granic. Od przechodzącego Indianina kupił za dwa dolary trzy twarde jak kamień suchary marynarskie, które wraz z wielką ilością surowej wędzonki wystarczyły mu na kilka razy. Brudny i zziębnięty} w ubraniu mokrym od potu, przespał drugą noc w górach, zawinąwszy się w, płótna namiotu.

Wczesnym rankiem rozesłał na lodzie płachtę brezentowego płótna, władował na nią trzy czwarte

tony i cały ten ładunek zaczął ścigać na dół. W pewnym miejscu, gdzie lodowiec był bardziej stromy, ładunek zsunął się szybciej, poderwał mu nogi, zarzucił go na siebie i poleciał na dół.

Ze stu podróźnych uginających się pod brzemieniem ciężarów stanęło patrząc, co też z tego wyniknie. Kit wrzeszczał na całe gardło, ostrzegając ludzi, którzy przystawali i schodzili mu z drogi. Na dole, na drugim końcu lodowca, pokazał się mały namiot, który zdawał się lecieć ku Kitowi, z taką szybkością rósł mu w oczach. Kit wyminął ubitą ścieżkę, którą tragarze skręcali w lewo, i leciał polem świeżo spadłego śniegu, aż się za nim kurzyło. Ale śnieg trochę zahamował pęd. Kit ujrzał, jak w pewnej chwili góra worków, na której jechał, runęła na namiot, zerwała boczne sznury, uderzyła w przednie płótna i wjechała wraz z nim do środka namiotu. Namiot zatoczył się jak pijany, a Kit, owiany chmurą zimnego pyłu, znalazł się naraz twarzą w twarz ze zdumioną młodą damą zawiniętą w koc — tą samą, która w Dyea nazwała go *chechaquo*.

— Widziała pani, jak się za mną kurzyło?—spytał wesoło.

Rzuciła na niego pełne nagany spojrzenie.

— I co tu opowiadać o czarodziejskich latających kobiercach! — dodał zachwycony.

— Może by pań usunął wreszcie ten worek z mojej nogi? — rzekła zimno.

Spojrzał i dźwignął się czym prędzej.

— To nie worek. To był mój łokieć. Bardzo przepraszam. Informacja ta nie zmieszała panny, a jej chłód był wprost

wyzywający.

— Całe szczęście, że mi pan nie przewrócił piecyka — zauważyła.

Idąc za jej spojrzeniem spostrzegł przenośny piecyk żelazny, a na nim imbryk z kawą, koło której krzątała się młoda Indianka. Wciągnął w nozdrza woń kawy i znowu zwrócił wzrok na pannę.

— Jestem *chechaquo* — zauważył.

Niechętny wyraz jej twarzy mówił mu, że uważa go za nieproszonego i natrętnego gościa. Ale Kit był bezczelny.

— Wyrzuciłem już swoje śmiercionośne żelazo! — dodał. Dopiero teraz poznała go i oczy jej błysnęły.

— Nigdy bym nie przypuszczała, że pan zajdzie tak daleko! — oświadczyła.

Znowu chciwie wciągnął w nozdrza powietrze. — Jak Boga kocham — kawa!

I zwróciwszy się ku niej, rzekł wprost: — Dam sobie odciąć mały palec — proszę, niech pani tnie choćby zaraz! Zrobię, co pani zechce. Zostanę pani niewolnikiem na rok i dzień, czy na jak długo będzie pani chciała, jeśli mi pani da filiżankę kawy.

Przy kawie przedstawił się i dowiedział, z kim ma do czynienia. Nazywała się Joy Gastell i należała do rodziny kolonistów osiadłych tu od dawna. Urodziła się na etapie poczty handlowej nad Great Slave i jeszcze jako małe dziecko wędrowała wraz z ojcem przez Góry Skaliste nad Yukon. Udawała się tam i teraz — jak mówiła — wraz z ojcem, którego jednak interesy zatrzymały po drodze w Seattle.

Ojciec wyjechał stamtąd na pokładzie osławionego „Chantera”, który rozbił się, i teraz musiał wracać do PugetSound parowcem, który przybył na pomoc.

Wobec tego, że dama siedziała wciąż zawiniętą w koce, Kit nie rozpoczynał dłuższej rozmowy, lecz z nadludzkiem bohaterstwem wymówił się od drugiej filiżanki kawy, po czym wycofał się i swoje trzy ćwierci tony bagażu z namiotu. Prócz tego wyniósł z namiotu kilka spostrzeżeń, a mianowicie:

— Ona ma pociągające imię i pociągające oczy. Nie może mieć więcej jak dwadzieścia, dwadzieścia jeden lub dwadzieścia dwa lata. Ojciec musi być Francuzem. Dziewczyna ma własną wolę i gorący temperament. Wychowanie otrzymała z pewnością nie na pograniczu.

VI

Nad zheblowanymi przez lodowce skałami i linią lasów szlak wiódł dokoła Jeziora Krateru i wchodził w skalisty wąwóz, prowadzący do Szczęśliwego Obozu i pierwszych karłowatych świerków. Przeniesienie tędy ciężkiego bagażu wymagało całych dni pracy do upadłego.

Obite płótnem czółno przewoziło towary przez jezioro. Za dwoma nawrotami w ciągu dwóch godzin mogło przewieźć na drugą stronę Kita i jego tonę towaru. Ale był bez grosza, a przewoźnik żądał czterdziestu dolarów od tony.

— To nędzne czółno to istna kopalnia złota, mój przyjacielu! — rzekł do niego Kit. — Czy nie chcielibyście mieć drugiej takiej kopalni?

— Pokażcie mi ją tylko — brzmiała odpowiedź.

— Sprzedam ją wam za cenę przewiezienia moich zapasów. Jest to idea nie opatentowana i możecie przystąpić do jej eksploatacji natychmiast, gdy ją wam zakomunikuję: Umowa stoi?

— Stoi! — zgodził się przewoźnik, a Kitowi spodobało się jego spojrzenie.

— Doskonale. Widzicie ten lodowiec? Weźcie oskard i zabierzcie się do niego. Za dzień możecie przekopać porządną rynnę. Widzicie ten szczyt? Oto „Towarzystwo Chilcoot Crater Lake do Spuszczania na dół Towarów i Tobołków, spółka z ograniczoną odpowiedzialnością”. Możecie brać po pięćdziesiąt centów od stu funtów, mieć sto ton dziennie i nie ruszając palcem, zbierać pieniądze.

W dwie godziny później cały jego bagaż znajdował się już na drugim brzegu jeziora, co oszczędziło mu trzy dni drogi John Bellew dopędził go już na drodze do Jeziora Głębokiego, drugiego krateru wypełnionego lodowatą wodą.

VII

Ostatni odcinek drogi od Jeziora Długiego do Jeziora Lindermana miał trzy mile długości, a sam szlak, jeśli to można w ogóle tak nazwać, wiódł przez ostry grzbiet na wysokości przeszło tysiąca stóp, opuszczał się w dół stromym zboczem usianym śliskimi głazami, a wreszcie szedł przez rozległe bagno. John Bellew zdumiał się na widok Kita, który ze stu funtami na plecach schylił się po pięćdziesięciofuntowy worek mąki i rzucił go na szczyt kozłów, opierając o kark.

— Chodźże, apostołe hartu! — zawołał do niego Kit. — Dalej, bierz się do swej niedźwiedziej stawy i jednej pary bielizny!

Ale John Bellew potrząsnął głową:

— Zdaje się, że zaczynam się starzeć, Krzysztofie!

— Masz przecie tylko czterdzieści osiem lat. Czy szanowny pan może sobie wyobrazić, że mój dziadek, a pański ojciec, zacny Izaak Bellew, w sześćdziesiątym dziewiątym roku życia jednym uderzeniem pięści zabił człowieka?

John Bellew uśmiechnął się i przełknął w milczeniu swoje własne lekarstwo.

— O stryju, pragnę ci powiedzieć coś bardzo ważnego. Wychowano mnie na paniczka, a jednak dzwignę dziś więcej od stryja, zajdę dalej niż on i gdyby mi się spodobało, mógłbym go bez trudu rozciągnąć na ziemi lub wygrzmocić pięściami.

John Bellew uściśnął dłoń Kita i rzekł uroczyście:

— Krzysztofku, chłopcze mój, wierzę, że możesz to zrobić. Wierzę, że zrobiłbyś to nawet z kozłami na plecach. Dokażałeś cudu, mój chłopcze, ale doprawdy wprost nie podobna w to uwierzyć.

Kit robił teraz cztery obroty dziennie, to znaczy dwadzieścia cztery mile po górach, z czego

dwanaście mil ze stu pięćdziesięcioma funtami na plecach. Był dumny, twardy i zmęczony, lecz zdrowy jak rydz. Jadł i spał, jak nigdy jeszcze nie jadał i nie sypiał w swym życiu, a kiedy robota zbliżała się do końca, był niemal zmartwiony.

Ale jeden problem go niepokoił. Sprawdził, że można bezkarnie upaść ze stu funtami na plecach. Zdawało mu się jednak, że gdyby tak upadł z dodatkowym ciężarem pięćdziesięciofuntowym na głowie, musiałby skrócić kark. A tymczasem tysiące stóp jego towarzyszy każdą ścieżkę prowadzącą przez mokradła w krótkim czasie rozdeptywały tak, że trzeba było wybierać sobie inną drogę. Otóż właśnie przy takiej sposobności, kiedy Kit torował sobie nową ścieżkę, rozwiązał ten zajmujący go problem.

Miękki, wodnisty grunt osunął się pod nim. Kit potknął się i upadł na twarz. Pięćdziesięciofuntowy worek wcisnął twarz Kita w błoto i zesunął się nie uszkodziwszy mu karku. Ze stu funtami na plecach Kit podniósł się tak, że stanął na czworakach. Ale to było wszystko. Jedna ręka zapadła mu się znowu aż po łopatkę, układając miękko na błocie jego policzek. W tej pozycji nie można było zsunąć z siebie szelek, a stufuntowy ciężar na plecach nie pozwalał wstać. Czołgając się na czworakach, przy czym to jedna, to druga ręka zapadała mu w grząskie błoto, starał się dotrzeć do miejsca, w którym leżał pięćdziesięciofuntowy worek z mąką, tak się jednak tym szamotaniem wyczerpał i tak zrył grząską powierzchnię, że naraz pewna kałuża znalazła się w nazbyt bliskim sąsiedztwie jego ust i nosa.

Próbował przewrócić się na wznak, na swój ładunek, ale zyskał tylko tyle, że oba jego ramiona zamoczyły się aż po pachy, co dało mu przedsmak topienia się. Z doskonałą cierpliwością wyjął powoli naprzód jedną rękę, a potem drugą i podłożył je sobie pod brodę, aby twarz utrzymać nad powierzchnią bagna. Potem zaczął wołać o ratunek. Po pewnym czasie usłyszał kroki i odgłos stóp mlaszczących po bagnie.

— Podajcie mi rękę, przyjacielu — rzekł. — Albo rzućcie mi jaki sznur czy tykę...

Odpowiedział mu głos kobiety, który poznał natychmiast.

— Jeśli mi pani rozwiąże szelki, będę mógł wstać sam. Przeklęte sto funtów wleciało w błoto z mokrym świśnięciem i Kit powoli się dźwignął.

— Ładna zabawa! — roześmiała się panna Gastell na widok jego oblepionej błotem twarzy.

— Nienajgorsza! — odpowiedział wesoło. — Jest to moje ulubione ćwiczenie gimnastyczne.

Radzę pani spróbować go

czasem. Świetnie wyrabia mięśnie piersi i grzbietu.: Otarł twarz zgarniając dłonią błoto i strzepując je z palców na ziemię.

— Och! — krzyknęła, poznając go. — To pan... pan... pan — Kurzawa!

— Szczerze dziękuję pani za pomoc w samą porę i za ten nowy przydomek — odpowiedział. — Zostałem drugi raz ochrzczony. Będę nastawał, aby mnie nazywano Kurzawą. Mocne to nazwisko i nie bez znaczenia.

Urwał. Lecz po chwili znów zaczął mówić, gwałtownie i z dzikim wyrazem twarzy:

— A wie pani, co zrobić? — zapytał. — Po pewnym czasie wrócę do Stanów Zjednoczonych. I ożenię się. I postaram się o to, żeby mieć dużo dzieci. A potem, o zmroku, będę zbierał dzieci dokoła siebie i opowiadał im o wszystkich cierpieniach i mękach mej wędrówki na chilcoot'skim szlaku. A jeśli one wtedy w głos się nie rozplaczą — powtarzam, jeśli nie będą głośno beczeć — duszę z nich wytlukę!

Zima podbiegunowa przyszła w mgnieniu oka. Wysoka na sześć cali warstwa trwałego śniegu pokryła ziemię, a w spokojniejszych stawach tworzył się lód mimo gwałtownych podmuchów wiatru. Pewnego popołudnia, właśnie kiedy dał taki wiatr, Kit i John Bellew skończyli wraz z krewniakami ładowanie bagażu na czółno, a potem stali na brzegu patrząc, jak łódź znika w śnieżycy szalejącej nad jeziorem.

— A teraz spać, bo jutro skoro świt ruszamy w drogę powrotną! — rzekł John Bellew. — Gdyby nie ta zadymka na szczycie Chilcoot, już jutro wieczorem moglibyśmy stanąć w Dyea, a gdybyśmy jeszcze szczęśliwym trafem od razu złapali statek, za tydzień bylibyśmy w San Francisco.

— Udały się stryjowi wakacje? — spytał zamyślony Kit. To ich ostatnie obozowisko nad Jeziorem Lindermana

składało się już tylko z żałosnych szczątków. Krewniacy zabrali wszystko, co mogło służyć do jakiego takiego użytku, nie wyłączając namiotu. Podarte płótno brezentowe, rozpięte jako zasłona od wiatru i śniegu, chroniło ich tylko trochę. Obiad musieli gotować na ogniu pod gołym niebem, w dwóch starych kociołkach. Zostawiono im tylko koce i parę racji żywności.

Od chwili gdy czółno odbiło od brzegu, Kit był dziwnie zamyślony i zdenerwowany. Stryj zauważył to, lecz sądził, że to zmęczenie po ciężkiej pracy. Podczas obiadu Kit raz tylko się odezwał:

— O stryju — rzekł ni stąd, ni zowąd — po tym wszystkim życzę sobie, abyście nazywali mnie Kurzawą. Narobiłem trochę kurzu na tej drodze, prawda?

W kilka minut później poszedł w kierunku namiotów, koło których krzatali się poszukiwacze złota, przenosząc jeszcze swój bagaż lub klekąc czółna. Bawił tam kilka godzin, a kiedy wrócił i zawinął się w koc, John Bellew już spał.

W ciemnościach zimnego i wietrznego poranka Kit wstał, rozpałił ognisko między, swymi nogami, przez co wytopił lód z butów, po czym ugotował kawę i przysmażył wędzonkę. Było to nędzne i zimne śniadanie. Gdy skończył, zwinął koc. John Bellew skierował się w stronę Chilcoot. Kit wyciągnął do niego rękę.

— Do widzenia, stryjaszku — rzekł.

John Bellew spojrział na niego i aż zaklął ze zdumienia.

— Niech stryj nie zapomina, że nazywam się Kurzawa — przypomniał Kit.

— Cóż ty będziesz robił?

Kit wskazał ręką w stronę północy i na jezioro chłostane przez wiatr.

— Po cóż wracać, skoro się zaszło tak daleko? — zapytał. — A poza tym mam już przedsmak mięsa — owszem, smaczne. Pójdę dalej.

— Jesteś bez grosza — zaprotestował John Bellew. — Nie masz ekwipunku.

— Ale mam cel w życiu. Pamiętaj o swym bratanku, Krzysztofie Kurzawie Bellew. Znalazł cel w życiu. Jest sługą dostojnego pana. Ma cel w życiu, sto pięćdziesiąt dolarów miesięcznie i koryto. Pójdzie do Dawson z parą dudków i służącym drugiego dostojnego pana jako kucharz obozowy, wioślarz i chłopiec do wszystkiego. A O'Hare z jego *Falą* niech diabli wezmą! Do widzenia.

John Bellew, osłupiały ze zdumienia, ledwie wybąkał:

— Nie rozumiem.

— Mówią, że szare nied:

I

Gwałtowny wicher dał niemal bez przerwy i Kurzawa aż się ślaniał mocując się z nim na brzegu jeziora. O szarym świcie na kilkanaście łodzi ładowano cenny bagaż, przeniesiony przez grzbiet Chilcoot. Łodzie własnego wyrobu były niezgrabne. Zbili je ludzie, którzy nigdy się tym nie zajmowali, sklecili z desek wyciętych z pni nadbrzeżnych sosen. Właśnie jedno takie czółno, już naładowane, odbijało od brzegu. Kit stał i patrzył.

Dalej na jeziorze wiatr był dość łagodny, w tym miejscu jednak dał wprost na brzeg, podnosząc z mielizny fale brudnej wody. Załoga odbijającej od brzegu łodzi brnęła w wodzie w wysokich butach gumowych i starała się zepchnąć czółno na głębszą wodę. Dwa razy na próżno ponawiali swe usiłowania, wskakując do czółna i starając się wiosłami odepchnąć je dalej — wracało i znów osiadało na mieliźnie. Kit spostrzegł, że piana na bokach czółna w mgnieniu oka ścina się w lód. Trzeci wysiłek został uwieńczony częściowym powodzeniem. Dwaj poszukiwacze złota, którzy ostatni wskoczyli do łódki, przemokli do pasa, ale łódź wypłynęła na głębszą wodę. Załoga zaczęła niezgrabnie pracować ciężkimi wiosłami, próbując oddalić się od lądu. Wreszcie wyciągnęli na maszt żagiel uszyty z koców, rozpięli go na wietrze i — łódka w mgnieniu oka wróciła i po raz trzeci osiadła na zamarzającym brzegu.

Kit uśmiechnął się i zawrócił. Wiedział już, co go czeka, bo właśnie dziś, występując w swej nowej roli sługi dostojnego pana, miał odbić od brzegu na takiej samej łodzi.

Kto żył, pracował, i to pracował na wyścigi, bo zima była już tak blisko, że przeprowadzenie się przez wielki łańcuch jezior przed ich zamarznięciem stawało się bardziej niż wątpliwe. Mimo to, kiedy Kit stanął przy namiocie panów Sprague'a i Stine'a, dostojni ci panowie jeszcze spali.

Przy ogniu, zasłoniętym od wiatru brezentowym płótnem, siedział niski, krępy mężczyzna paląc papierosa skręconego z bibuły.

— Halo! — rzekł ów człowiek. — Jesteście może nowym służącym pana Sprague'a?

Kit skinął głową. Zauważył, że słowa „służący” i „pan” zostały wymówione z pewną ironią i podkreślone ledwie dostrzegalnym zmrużeniem oka.

— Dobra. A ja jestem służącym pana doktora Stine'a — mówił dalej ów człowiek, — Mam pięć stóp i dwa cale wysokości i nazywam się Krótki, Jack Krótki, znany także jako Johnny Nagły.

Kit podał mu rękę.

— Wychowano was na niedźwiedzim mięsie? — zapytał.

— Chyba! — brzmiała odpowiedź. — Choć, prawdę mówiąc, pierwszym moim! pożywieniem było bawole mleko, jeśli mnie pamięć nie myli. Siadajcie i wsuńcie coś. Nasi chlebobawcy jeszcze śpią.

Kit, mimo że był po śniadaniu, siadł pod płótnem i zjadł śniadanie po raz drugi z bajecznym apetytem. W ciężkiej, wywołującej szybką przemianę materii pracy ostatnich tygodni wyrobił sobie wilczy żołądek i apetyt. Mógł jeść wszystko w dowolnej ilości, nie czując nawet trawienia. Krótki był rozmowny i nastrojony pesymistycznie. Kit dowiedział się od niego nieoczekiwanych szczegółów o chlebobawcach, szczegółów bynajmniej nie wróżących szczęśliwej podróży, Tomasz Stanley Sprague był początkującym inżynierem górniczym i synem milionera. Doktor Adolf Stine miał także bogatego ojca. Dzięki ojcom obaj mieli poparcie pewnego syndykatu, który inwestował swe kapitały

w aferze klondickiej.

— O, u nich pieniądz to wszystko — mówił Krótki. — Kiedy przyjechali do Dyea, stawka skoczyła do siedemdziesięciu centów od funta, a w dodatku Indian wcale nie było. Właśnie przybyła grupa ze wschodniego Oregonu — prawdziwi górnicy. Zabrali się do zorganizowania zaprzęgu Indian po siedemdziesiąt centów od funta, a mieli trzy tysiące funtów bagażu. Naraz zjawili się Sprague i Stine. Zaofiarowali od razu po osiemdziesiąt centów, po dziewięćdziesiąt, wreszcie po dolarze od funta, wobec czego Indianie zawarli z nimi umowę i zabrali ich bagaż. Sprague i Stine zdążyli tutaj na czas, choć ich to kosztowało trzy tysiące dolarów, a ci z Oregonu zostali na lodzie i będą musieli czekać wiosny.

Ho, ho, dobre to ptaszki ci panowie, wasz chlebobawca i mój. Umieją postawić na swoim; choćby kosztem innych. A co było, gdy stanęli nad Jeziorem Lindermana? Cieśle kończyli właśnie czółno zamówione przez pewną paczkę z Frisco za sześćset dolarów. Sprague i Stine dali im okrągły tysiąc dolarów i cieśle zerwali umowę. Łódź jest, owszem, niczego, ale faceci z Frisco zostali wykiwani. Potrafili przetransportować swój bagaż aż tu, a teraz będą tu musieli zimować. Napijcie się jeszcze kawy i wierzcie mi, że gdybym nie musiał koniecznie dostać się do Klondike, nigdy bym z takim bagażem nie podróżował. Ci ludzie nie mają serca. Konającemu wydarliby poduszkę spod głowy, gdyby im była potrzebna do interesu. Macie z nimi umowę na piśmie?

Kit potrząsnął głową.

— No, to powiem wam otwarcie, kolego, że boję się trochę o was. Widzicie, o żywność w tym kraju trudno, a jestem pewny, że jak tylko dotrzemy do Dawson, puszczą was kaniem. Ludzie będą zdychać z głodu tej zimy.

— Umówiliśmy się — zaczął Kit.

— Na gębę! — przerwał mu Krótki. — To znaczy, że wy będziecie mówili tak, a oni inaczej. Prawda, jak się nazywacie, kolego?

— Nazywajcie mnie Kurzawa — rzekł Kit.

— Zobaczycie, Kurzawa, że z ustnej umowy będą nici. Przecie widać, czego się po nich można spodziewać. Szanowne państwo wie, jak zbierać pieniądze, ale pracować albo wstać rano, tego oni nie umieją. Popatrzcie — już godzinę temu powinniśmy byli naładować łódkę i odbić od lądu. Lada chwila usłyszycie, jak zaczną wołać o kawę — naturalnie, żeby im podać do łóżka. I to są mężczyźni! Rozumiecie się na wioślarstwie? Ja jestem z zawodu pastuch i gajowy, na wodzie jestem do niczego, a oni też guzik wiedzą. Rozumiecie się na tym?

— Zobaczmy — odpowiedział Kit siadając bliżej brezentu, bo wicher coraz gęściej sypał śniegiem. — Ostatni raz siedziałem w łódce, kiedy byłem małym chłopcem, ale jestem pewny, że potrafimy się tego nauczyć.

Wicher zerwał płótno z jednej strony i śnieg posypał się Krótkiemu za kołnierz.

— O, my się potrafimy wszystkiego nauczyć! — mruknął gniewnie. — Pewnie, że potrafimy. Małe dziecko może się wszystkiego nauczyć. Ale możemy postawić dolary przeciw orzechom, że dziś się stąd nie ruszymy.

Była ósma, kiedy z namiotu dało się słyszeć wołanie o kawę, a dziewiąta, kiedy wreszcie dwaj podróżni wyszli na światło dzienne.

— Halo! — zawołał Sprague, dobrze odżywiony dwudziestopięcioletni mężczyzna o różowych policzkach. — Pora w drogę, Krótki. Wy i...

Tu pytająco spojrzął na Kita.

— Wczoraj wieczorem nie dosłyszałem waszego nazwiska.

— Kurzawa,

— A więc, Krótki, wy i pan Kurzawa moglibyście się zabrać do ładowania bagażu na łódź.

— Wystarczy Kurzawa, „pan” tu jest zbyteczny — zauważył Kit.

Sprague odpowiedział krótkim kiwnięciem głowy i poszedł między namioty wraz z doktorem Stine'em, wychudłym, bladym młodzieńcem.

Krótki znacząco mrugnął na towarzysza. — Przeszło półtorej tony bagażu, a oni ani palcem ruszyć nie myślą. Widzicie!

— Pewnie dlatego, że nam za to płacą! — rzekł Kit zgodliwie. — Trzeba się wziąć do roboty.

Przeniesć na plecach trzy tysiące funtów na odległość stu sążni nie było rzeczą łatwą, a już zrobić to wśród zawieruchy, ślizgając się po śniegu w ciężkich gumowych butach, było zadaniem prawie ponad siły. A trzeba było jeszcze zwinąć namiot i spakować cały sprzęt obozowy. Następnie przysła kolej na ładowanie bagażu. Ponieważ czołno worywało się w piasek, trzeba je było coraz dalej spychać na wodo, w miarę jak ciężar rósł. Krótki i Kurzawa musieli brnąć w wodzie. O drugiej po południu wreszcie skończyli i Kitowi, mimo że zjadł dwa śniadania, aż słabo robiło się z głodu. Kolana trzęsły się pod nim. Krótki, doznając niewątpliwie tych samych uczuć, zaczął szukać wśród garnków i kociołków i wyciągnął sagan z ugotowaną zimną fasolą, wśród której kryły się wielkie kawały wędzonki. Była tylko jedna łyżka z długą rękojeścią, więc jedli nią na przemian, grzebiąc w garnku. Kita ogarnęła niezłomna pewność, że nigdy w życiu nie jadł czegoś tak dobrego.

— O Boże, człowieku! — mrucał jedząc. — Dopiero tutaj poznałem, co to prawdziwy apetyt.

Sprague i Stine zaskoczyli ich przy tym miłym zajęciu.

— Cóż to za guzdralstwo! — oburzył się Sprague. — Czy nigdy nie ruszymy?

Krótki głęboko zanurzył łyżkę w garnku, a potem wręczył ją Kurzawie. Nie odpowiadali, póki nie opróżnili garnka i póki dno nie zazgrzytało pod łyżką.

— Istotnie, myśmy nic nie robili — rzekł wreszcie Krótki, wierzchem dłoni ocierając usta. — Myśmy tu siedzieli z założonymi rękami. Prawda, panowie nie będziecie mieli teraz co jeść. Że też o tym nie pomyślałem!

— Owszem, owszem — odpowiedział Stine żywo. — Myśmy już jedli w sąsiednim namiocie z przyjaciółmi.

— Spodziewałem się tego — mruknął Krótki.

— Ale jeśli już skończyliście — to jazda!

— Oto łódź! — wskazał Krótki. — Bagaż jest już załadowany. Jakże panowie chcecie się teraz zabrać do odbicia od brzegu?

— Całkiem po prostu. Wsiądziemy do łodzi i zepchniemy ją na wodę. Jazda!

Weszli w wodę. Panowie wleźli na łódź, a Kit i Krótki starali się zepchnąć ją na głębszą wodę. Kiedy woda zaczęła im się już wlewać do butów, również skoczyli na łódź. Ale panowie nie trzymali w pogotowiu wiosł, wobec czego łódź popłynęła wstecz i znowu osiadła na piasku. Powtórzyło się to że sześć razy z wielkim nakładem energii.

Krótki usiadł melancholijnie na przedzie łodzi, włożył do ust zwitek tytoniu i beznadziejnym wzrokiem zdawał się szukać rady we wszechświecie, podczas gdy Kit wylewał: wodę z łodzi, a dwaj panowie wymieniali nieuprzejme poglądy.

Wreszcie odezwał się Sprague:

— Jeśli dokładnie zrobicie, co powiem, uda nam się odbić od lądu.

Zamiar był dobry, ale zanim Sprague zdołał skoczyć na łódź, przemókł do pasa.

— Trzeba rozbić namiot i rozpalić ogień — rzekł, kiedy łódź znowu osiadła na piasku. — Marzną!

— Nie bój się lekkiego przemoczenia — drwił Stine. — Są tacy, którzy gorzej dziś od ciebie

przemokli. Teraz ja się zabiorę do tej łodzi.

Tym razem znowu on przemókł, wobec czego, dzwoniąc zębami, zażądał, aby rozpalono ognisko.

— Dla dwóch kropel wody! — powiedział Sprague z pogardą. — Ależ — jedziemy!

— Krótki, przynieście mi mój kufer z ubraniami i rozpalcie ogień — komenderował Stine.

— Ani mi się ważcie! — krzyknął Sprague.

Krótki, zrozpaczony, spoglądał to na jednego, to na drugiego i nie ruszał się z miejsca.

— To jest mój człowiek i żądam, aby spełniał moje rozkazy! — odpowiedział Stine. — Krótki,

wynieście kufer na brzeg.

Krótki usłuchał, a Sprague dygotał z zimna na łodzi. Kurzawa nie otrzymał żadnego rozkazu, stał więc beczynnie, rozkoszując się chwilą wytchnienia.

— Łódź, której załoga się kłóci, nie popłynie — rzekł do siebie.

— Co to ma znaczyć? — ostro zapytał Sprague.

— Nic. Rozmawiam sam ze sobą. Mam takie przyzwyczajenie — odpowiedział Kit.

Chlebodawca obdarzył go surowym spojrzeniem i dąsał się jeszcze jakiś czas. Ale po chwili i on się poddał.

— Dostańcie mój kufer z rzeczami, Kurzawa! — rozkazał wreszcie. — I czym prędzej rozpalcie ogień. Zostaniemy tu do rana.

II

Następnego dnia wiatr nie ustawał. Jezioro Lindermana zmieniło się w ciasny wąwóz górski wypełniony wodą. Zlatujący z gór wiatr dał przez ten komin nieregularnie, to wybuchając gwałtownie, to znów zmieniając się w silny i stały podmuch.

— Jeśli pan zechce mnie usłuchać — odezwał się Kit, kiedy już wszystko było gotowe do odbicia od brzegu — podejmę się zepchnąć łódź na głębinę.

— Co wy się na tym znacie! — zachnął się Stine.

— Może się pan przekona.

Pierwszy raz w życiu pracował za pieniądze, ale mimo to w lot pojął konieczność posłuszeństwa. Karnie i chętnie brał udział w różnych daremnych wysiłkach odbicia od brzegu.

— Więc jakże wy to sobie wyobrażacie? — spytał go wreszcie na pół z płaczem zdyszany Sprague.

— Niech panowie siadają i siedzą spokojnie, dopóki wiatr nie ścichnie, a wtedy pchać z całych sił.

Mimo że plan był całkiem prosty, on pierwszy wpadł na tę myśl. Udało się od razu, wobec czego rozpięli na maszcie derkę i łódź pomknęła na jezioro. W Stine'a i Sprague wstąpiła otucha. Krótki, mimo swego chronicznego pesymizmu, nigdy nie tracił humoru. Kit zaś był zbyt przejęty, aby mógł być w złym nastroju. Sprague mocował się przez kwadrans ze sterem, wreszcie spojrzał błagalnie na Kita, który go natychmiast zluzował.

— Ręce mam jak połamane, tak rwie — jęknął Sprague na swoje usprawiedliwienie.

— Pan nigdy nie jadł niedźwiedziego mięsa, nieprawda? — spytał Kit ze współczuciem.

— Cóż, do diabła, chcecie przez to powiedzieć?

— O nic, tak tylko myślałem.

Poza plecami swego chlebodawcy spostrzegł pochwalny grymas Krótkiego, który zrozumiał, do czego tu się piło.

Kit sterował wzdłuż Jeziora Lindermana, rozwijając zdolności, które młodym, rozpróżnionym

bogaczom kazały mu dać tytuł sternika. Krótki był nie mniej zadowolony i oddał się nieustannemu gotowaniu, pozostawiając koledze cały kłopot z łodzią.

Między Jeziorem Lindermana i Jeziorem Benneta znajdowała się przestrzeń bezwodna. Łódź z lekkim ładunkiem przemknęła łączącym jeziora wąskim, ale rwącym strumieniem i tu dopiero Kit dowiedział się wiele o łodziach i wodzie. Kiedy jednak trzeba było przenieść bagaż, Stine i Sprague zniknęli, a ich służący dwa dni strawili w pocie czoła na przenoszeniu bagażu na łódź. Była to niezmienna historia wielu nędznych dni tej podróży. Kit i Krótki pracowali aż do zupełnego wyczerpania, a ich panowie siedzieli z założonymi rękami i wymagali jeszcze, aby ich obsługiwano.

Coraz bardziej jednak zbliżała się podbiegunowa zima o stalowych szponach, a oni wciąż niepotrzebnie zatrzymywali się w drodze. U „Wietrznego Ramienia” Stine, odebrawszy Kitowi ster, po godzinie podróży osadził łódź na skalistym języku obmywanym przez fale. Znowu dwa dni zeszyły na naprawie, a kiedy wreszcie trzeciego dnia rano Stine i Sprague siadali do łodzi, na jej przodzie i tyle, wielkimi literami nakreślonymi węglem, widniał napis: *Chechaquo*.

Kit w złośliwym uśmiechu wyszczerzył zęby do tego szyderczego napisu.

— Ha! — krzyknął Krótki broniąc się przed zarzutami Stine'a. — Oczywiście, umiem czytać i pisać i wiem, że *chechaquo* znaczy maminsynek, ale moje wykształcenie nie sięga tak daleko, abym się brał do malowania łodzi.

Szyderstwo ukłuło, więc chlebobdawcy krzywo patrzyli na Kita, który jednak ani pisał, że właśnie poprzedniej nocy Krótki błagał go o wymalowanie tego paskudnego słowa.

— To było niegorsze od tego „szlema”, któregoście im dali wówczas swym niedźwiedzim mięsem! — zwierzał mu się potem Krótki.

Kit parsknął śmiechem. W miarę jak odkrywał w sobie wciąż nowe źródła sił, rosła w nim niechęć do chlebobdawców. Nie był to skutek, nieustannej zresztą, irytacji, lecz raczej lekceważenia. Miał już przedsmak niedźwiedziego mięsa i zasmakował w nim — od nich zaś uczył się, jak go jeść nie należy. W duchu dziękował Bogu, że nie jest do nich podobny. Zbrzydli mu tak, że jego niechęć zaczynała już graniczyć z 'nienawiścią. Ich złośliwość nie drażniła go tak, jak ich niedołęstwo. Zbudził się w nim stary Izaak Bellew i inni dzielni członkowie tej rodziny.

— Krótki! — rzekł pewnego poranka, kiedy jak zwykle nie można się było doczekać w łodzi chlebobdawców. — Czuję, że byłbym zdolny jednego i drugiego trzepnąć wiosłem po łbie i rzucić do rzeki.

— Ja też! — zgodził się Krótki. — To nie pożeracze mięsa, lecz zjadacze ryb i jestem pewny, że cuchną.

III

Wreszcie pokazały się prądy, naprzód Pułapka Kanionu, o kilka zaś mil dalej Biały Koń. Nazwa Pułapki Kanionu była zupełnie słuszna. Była to istotnie pułapka. Kto raz się w niej znalazł, już nie mógł się cofnąć. Po obu stronach wznosiły się pionowe skaliste ściany. Rzeka zwężała się tu niezwykle i waliła ciemnym korytarzem z tak szaloną szybkością, że w środku, między skalistymi brzegami, tworzył się grzebień o wysokości ośmiu stóp ponad wodą. Grzebień ten uzębiony był falami, które wprawdzie opadały na dół, lecz nowe fale napływały i zdawało się, że grzebień tkwi nieruchomo w powietrzu. Kanion ten był powszechnym postrachem, bezlitośnie bowiem pobierał żywe cło od poszukiwaczy złota.

Kit i jego towarzysze uwiązali łódź w odpowiednim miejscu u brzegu i poszli pieszo na zwiady. Wdrapali się na skały i patrzyli na spienione pod nimi fale. Sprague cofnął się drżąc na całym ciele.

— Boże! — krzyknął. — Wpław nie można by się uratować...

Krótki znacząco trącił łokciem Kita i powiedział półgłosem:

— Spietrali się. Dolary przeciw orzechom, że z nami nie pojadą.

Ale Kit słuchał jednym uchem. Od początku podróży łodzią studiował upór i niepojętą zbrodniczość żywiołów, a widok, jaki miał teraz pod stopami, działał na niego jak wyzwanie.

— Musimy jechać wprost na ten grzebień — rzekł.

— Jeśli się z niego ześlizniemy, woda rzuci nas na ścianę.

— I ani zipniemy! — zawyrokował Krótki. — Kurzawa, umiecie pływać?

— Wolałbym nie umieć, gdyby nam się tu noga miała powinąć.

— Jestem tego samego zdania — rzekł ponuro jakiś nieznajomy, który stanął obok nich i patrzył w Kanion. — Bardzo byłbym rad, gdybym to już miał poza sobą.

— A ja bym się teraz z nikim nie zamienił — odpowiedział Kit.

Mówił szczerze, ale chciał też dodać odwagi nieznajomemu. Zawrócił zmierzając do łodzi.

— Chcecie przejechać? — spytał nieznajomy. Kit skinął głową.

— Żebym mógł się na to odważyć — wyznał nieznajomy. — Stoję tu już od kilku godzin. Im dłużej patrzę, tym większy strach mnie ogarnia. Nie jestem wioślarzem, a towarzyszy mi tylko mój siostrzeniec, młody chłopak, i żona. jeżeli wam się uda, czy przewieźlibyście moją łódź i pomogli mi potem?

Kit spojrział na Krótkiego, który zwlekał z odpowiedzią.

— On jest z żoną — poddał Kit. Nie zawiódł się.

— Rozumie się — odpowiedział Krótki. — Właśnie mi to przychodziło już na myśl. Czułem, że dla jakiejś przyczyny musimy mu pomóc.

Odchodzili, ale ani Sprague, ani Stine nie ruszyli się z miejsca.

— Życzę wam powodzenia, Kurzawa! — zawołał Sprague. — Ja... ja będę... — Zawahał się. — Ja będę tu stał i uważał na was.

— Musi nas być trzech, dwóch przy wiosłach, a jeden przy sterze — odpowiedział Kit spokojnie.

Sprague spojrział na Stine'a.

— Ani mi nawet w głowie! — odezwał się tamten dżentelmen. — Jeżeli ty się nie boisz stać tu i patrzeć, ja też się nie boję.

— Kto się boi? — spytał Sprague porywczo.

Stinę odpowiedział mu w podobnym tonie i Kit ze swym towarzyszem zostawił ich kłócących się nad wodą.

— Damy sobie radę bez nich — mówił Kit do Krótkiego. — Ty siądziesz na przedzie łodzi z wiosłem, ja będę sterował. Gała rzecz w tym, żebyś walił prosto przed siebie. Kiedy ruszymy, i tak nie będziesz mógł mnie słyszeć, więc tylko uważaj — prosto przed siebie.

Odwiązali łódkę i skierowali ją na środek rwącego strumienia. Z kanionu dolatywał do ich uszu nieustanny grzmiący ryk. U wejścia do kanionu masa wodna leciała gładko jak stopione szkło i tu, kiedy wpadli między mroczne ściany, Krótki włożył do ust gałkę tytoniu i zanurzył wiosło w wodzie. Łódź wyleciała na pierwszy grzebień wodnego słupa i ogłuszył ich ryk rozbestwionych fal, odrzucony przez skaliste ściany i powiększony przez wielokrotne echo. Mało tchu nie stracili w tumanie unoszącej się w powietrzu piany. Były chwile, w których Kit nie widział już swego towarzysza. W ciągu dwóch minut przelecieli dwie trzecie mili tego piekła, wynurzyli się z niego cali i zatrzymali na płytkiej wodzie u brzegu.

Krótki wyrzucił wreszcie z ust swój ładunek soku tytoniowego — zapomniał go podczas przeprawy wypluć.

— To była już pieczeń z niedźwiedziego mięsa! — wybuchnął. — To było prawdziwe mięso

niedźwiedzie. Tego nam właśnie było trzeba, nieprawdaż, Kurzawa? Muszę ci wyznać w zaufaniu, że zanim odbiliśmy od brzegu, byłem jednym z najnędrniejszych robaków po tej stronie Gór Skalistych. Ale teraz jestem już pozeraczem niedźwiedzi. Chodźcie, powieziemy drugą łódkę.

W połowie drogi spotkali swych chlebodawców, którzy przyglądali się ich wyprawie z wysokiego brzegu.

— Idą już nasi zjadacze ryb — rzekł Krótki. — Trzymaj się pod wiatr.

IV

Przewiółszy przez Pułapkę Kanionu łódź nieznanego, który przedstawił im się jako Breck Kit i Krótki zaznajomili się z jego żoną, dziewczęcęgo wyglądu kobietą, której błękitne oczy pełne były łez wdzięczności. Breck chciał wręczyć Kitowi pięćdziesiąt dolarów, a gdy ten odmówił, kusił nimi Krótkiego.

— Cudzoziemcze — odpowiedział mu Krótki — przyszedłem tu z zamiarem wykopania pieniędzy z ziemi, a nie z sakiewek bliźnich.

Breck zaczął szukać w łodzi i znalazł butelkę wódki. Krótki już wyciągnął po nią rękę, ale naraz cofnął się i potrząsnął przecząco głową.

— Mamy jeszcze przed sobą Białego Konia, który podobno jest gorszy od Pułapki Kanionu. Doprawdy, nie wolno mi przyjąć ani kieliszka w takich okolicznościach.

Przybili do brzegu o kilka mil niżej i wszyscy czterej poszli przyjrzeć się tej złej wodzie. Rzeka, która była nieprzerwanym ciągiem prądów o nierównym nurcie, odbita przez skalną rafę, biegła ku prawemu brzegowi. Cała masa wody, pędząc „z fałszem” w ciasne przejście, wzmagająca w przerażający sposób swą szybkość, wyrzucając wielkie fale, białe i wściekłe. To była straszna Grzywa Białego Konia, pochłaniająca jeszcze większą ilość ofiar niż Pułapka Kanionu. Z jednej strony Grzywy warczał świdrujący wir ściągający wszystko na dno, po drugiej stronie drugi wielki wir marszczył czarną powierzchnię wody. Aby się tędy przedostać, trzeba było jechać samym środkiem Grzywy.

— To znacznie gorsze od Pułapki — stwierdził Krótki. Kiedy tak stali nad wodą, na rzece pokazała się łódź. Była

to duża łódź, długa na jakieś trzydzieści stóp, wioząca kilka ton bagażu i obsługiwana przez sześciu ludzi. Zanim dotarła do Grzywy, zanurzyła się kilka razy i znów pokazała na falach, ginąc chwilami w obłoku piany. Krótki zerknął spod oka na Kita i rzekł:

— Piękna łódź i jedzie ładnie. Wciągnęli wiosła. Oho, już zaczyna. Boże, przepadła! Nie, widzicie ją?

Łódź mimo swej wielkości zniknęła w tumanie unoszącym się nad spienionymi grzbietami fal. W następnej chwili pojawiła się, niesiona przez falę, w samym gąszczu Grzywy. Kit z przerażeniem ujrzał cały spód łodzi nad wodą. Łódź zawisła na mgnienie oka w powietrzu. Wioślarze siedzieli na swoich miejscach beczynn timer, wyjąwszy sternika, który stał w tyle łodzi u steru. Nastąpił skok na dół i łódź znowu zniknęła im z oczu. Trzy razy wyłaniała się tak i ginęła w falach, aż nagle stojący na brzegu ujrzeli, jak wir po prawej stronie chwycił jej przód i wyciągnął ją z Grzywy. Sternik, na próżno całym ciężarem ciała stawiając opór wirowi, poddał się nagle, pomagając łodzi wypłynąć w krąg wiru.

Trzy razy wracali, za każdym razem tak blisko skały, na której stał Kit z Krótkim, że można było skoczyć na pokład łodzi. Sternik, mężczyzna z zapuszczoną niedawno rudą brodą, przesłał im pozdrowienie dłonią. Jedyne wyjście z tego pola wirów było przez Grzywę i robiąc po raz trzeci

koło, łódź wpłynęła w nią ukośnie dziobem. Obawiając się może, aby wiry łodzi nie wciągnęły, sternik nie starał się w porę naprostować jej biegu. Kiedy to uczynił, było za późno. Łódź, na przemian to wisząc w powietrzu, to idąc pod wodę, płynęła na ukos przez Grzywę w wirowy lej po drugiej stronie rzeki. O jakie sto stóp dalej pokazały się pływające w wodzie skrzynie i toboły, a potem spód przewróconej łodzi i głowy sześciu rozproszonych ludzi. Dwom udało się dotrzeć do płytkiej wody u brzegu, czterech utonęło, a wszystko, co mogło się utrzymać na powierzchni wody, zniknęło z oczu, zniesione szybkim prądem za zakręt rzeki.

Przez dłuższą chwilę panowało milczenie.

Pierwszy odezwał się Krótki.

— Chodź! — rzekł do Kurzawy. — Tak czy siak musimy łódź przepchać. Spietram się, jak się będę dłużej przyglądał.

— Pojedziemy, aż się za nami zakurzy! — odpowiedział mu z zawziętym uśmiechem Kurzawa.

— A ty z pewnością zasłużysz sobie na swój przydomek — odrzekł Krótki, po czym zwróciwszy się do chlebobawców, zawołał: — Panowie idą?

Nie dosłyszeli jakoś, prawdopodobnie z powodu huku wody.

Brodząc w śniegu wysokim na stopę, wrócili na miejsce, gdzie zaczynał się prąd, i odwiązali łódź. Kit myślał teraz o dwóch rzeczach: o charakterze i odwadze swego towarzysza. Dodawało mu to bodźca. Podobnie działała na niego myśl, że stary Izaak Bellew i wszyscy inni członkowie tej rodziny dokonywali podobnych czynów w swym zwycięskim pochodzie na Zachód. Co oni mogli zrobić, tego i on dokaże.

To było mięso, twarde mięso i Kurzawa czuł jak nigdy, że takie mięso mogą jeść tylko ludzie silni.

— Syp prosto na sam wierzchołek grzbietu! — krzyknął mu Krótki wkładając do ust zwitek tytoniu, kiedy coraz szybciej lecąca łódź kierowała się ku prądom.

Kit kiwnął głową. Zwalił się całą siłą i całym ciężarem ciała na ster, spróbował go i ruszył wprost na prądy.

Kiedy, w kilka minut później na pół żywi przybili na płytkiej wodzie do brzegu, poniżej Białego Konia, Krótki wypluł sok tytoniowy, wypełniający mu usta, i potrząsnął dłonią Kurzawy.

— Mięso! mięso! — śpiewał. — Jemy na surowo! Jemy żywcem!

Na brzegu spotkali Brecka. O parę kroków dalej stała jego żona. Kit uściśnął rękę Brecka.

— Obawiam się, że wasze czółno tego nie dokaże — rzekł. — Jest mniejsze od naszego i zdaje mi się, łatwo wywrotne.

Breck wyjął paczkę banknotów.

— Dam wam po sto dolarów na głowę, jeśli je przewiezicie.

Kit popatrzył chwilę na miotające się fale Grzywy Białego Konia. Zapadał długi, pogodny zmierzch, zdawało się, że jest zimniej, a krajobraz nabrał jakichś czarnych, dzikich tonów.

— Nie o to idzie — odezwał się Krótki. — Nie potrzebujemy waszych pieniędzy. Nigdy byśmy ich nie wzięli. Ale mój towarzysz jest specjalistą od łódek i jeśli on mówi, że wasza łódź nie jest pewna, to wie, co mówi.

Kit kiwnął głową, ale przypadkiem wzrok jego padł na panią Breck. Utkwiła w nim oczy i Kit pojął, że jeśli widział kiedy w oczach kobiety modlitwę, to ujrzał ją właśnie w jej wzroku. Krótki powiódł wejrzeniem za jego oczami i zrozumiał, co się dzieje. Patrzyli tak na siebie zakłopotani i milczeli. Wreszcie, tknięci wspólną myślą, kiwnęli głowami i ruszyli w powrotną drogę ku Białemu Koniovi. Ale zaledwie zrobili sto kroków, spotkali Stine'a i Sprague'a idących z biegiem rzeki.

— Dokąd? — spytał szorstko Sprague.

— Przewieźć łódkę tego człowieka — odpowiedział Krótki.

— Nie, dosyć tego. Robi się ciemno. Rozbijecie namioty i przygotujecie obozowisko.

Kita ogarnął wstręt tak wielki, że nie mógł otworzyć ust.

— Ten człowiek jest z żoną — rzekł Krótki.

— To jego rzecz — rzucił Stine.

— I Kurzawy, i moja — odpalił Krótki.

— Zabraniam wam, Kurzawa — rzekł Sprague szorstko. — Jeszcze jeden krok, a oddalę was.

— A ja was, Krótki — dodał Stine.

— I diabli was obu bez nas wezmą! — wybuchnął Krótki. — Jakże dojedziecie na swojej przeklętej łodzi do Dawson? Kto wam poda kawę do łóżka, kto wam zrobi „manikurę”? Chodźcie, Kurzawa. Nie mogą nas puścić kantem. Mamy przecie umowę. Jeśli zechcą nas oddalić, muszą nam dać żywność przynajmniej na całą zimę.

Ledwie na łodzi Brecka odbili od brzegu i dotarli do prądu, zaczęły przez łódź przeskakiwać fale. Nie były wielkie, ale było to najgroźniejsze ze wszystkiego, co mogło ich spotkać. Krótki drwiąco oglądał się za siebie, kiedy spostrzegł, że zbliża się nieunikniony skok, a Kitowi dziwnie gorąco zrobiło się koło serca na myśl o tym człowieku, który nie umiał pływać i dla którego w razie czego nie było ratunku.

Prąd stawał się coraz gwałtowniejszy, w powietrzu fruwała już piana. W zapadającym zmroku Kit rzucił okiem na Grzywę i skręcający na prawo prąd. Skierował się ku temu prądowi, z radością widząc, że łódź leci wprost na środek Grzywy. A potem w mokrym obłoku, lecąc na falach to znów pod nimi, właściwie już z niczego nie zdawał sobie jasno sprawy, wyjąwszy tylko to, że całym ciężarem napierał na rękojeść steru i pragnął, żeby go stryj mógł zobaczyć. Wskoczyli wreszcie z odmętów bez tchu, przemoczeni, z łodzią pełną wody niemal po brzegi. Lżejsze skrzynie i worki pływały w łodzi. Kilkoma zręcznymi uderzeniami wiosła Krótki skierował łódź z prądu na płytką wodę, która poniosła ich dalej, aż w końcu łagodnie dotknęli brzegu. Tam stała pani Breck i z góry patrzyła na nich. Modlitwa jej została wysłuchana i teraz łzy spływały jej po policzkach.

— Chłopcy, nie ma gadania! Bierzcie swoje pieniądze! — wołał na nich z wysokiego brzegu Breck.

Krótki wstał, pośliznął się i usiadł w wodzie, bo łódź niespodziewanie się zanurzyła.

— Gwiżdżę na pieniądze — rzekł Krótki. — Dawajcie tę butelkę wódki. Właśnie kiedy już wszystko się skończyło, miałem sobie przemoczyć nogi. Z pewnością dostanę kataru.

V

Rano, jak zwykle, łódź ich ruszyła jedna z ostatnich. Breck, mimo że był nieświatnym żeglarzem i miał tylko żonę i siostrzeńca do pomocy, dawno już zwinął obóz, naładował łódź i odpłynął o świcie. Nie śpieszył się jednak ani Stine, ani Sprague, nie zdając sobie sprawy z tego, że rzeka może lada dzień zamarznąć. Stękali, guzdrali się, przeszkadzali, marudzili, utrudniając robotę Kitowi i Krótkiemu.

— Stracę wszelki szacunek dla Pana Boga, patrząc na te dwie pokraki w ludzkiej postaci, stworzone na Jego obraz i podobieństwo — Krótki w bluźnierczy sposób wyraził swe niezadowolenie.

— Ale za to z ciebie zuch co się zowie! — odezwał się Kit uśmiechając się do niego. — Popatrzeć na ciebie, to się nabiera szacunku dla Stwórcy świata.

— No, coś niecoś mu się tam udało! — bronił się Krótki zmieszany nieoczekiwaną pochwałą.

Płynęli przez jezioro Le Barge. Nie było tu silniejszych prądów. Na przestrzeni czterdziestu mil rozciągały się ciche wody. Trzeba było przez cały czas wiosłować, bo pora łagodnych wiatrów minęła, a za to z północy dmuchał w zęby gwałtowny, lodowaty wicher. Łódź z trudnością posuwała się naprzód po wzburzonych falach. Na dobitkę sypał gęsty śnieg. Jeden z wiosłarzy musiał bez przerwy oczyszczać toporem wiosła z przymarzających do nich brył lodu. Stine i Sprague wezwani, aby się wzięli do wiosła, nie ukrywali swego niezadowolenia. Kit nauczył ich, jak pracować wiosłami, zauważył jednak, że chlebobawcy udają tylko, że pracują, i zanurzają wiosła pod fałszywym kątem.

Po trzech godzinach wiosłowania Sprague rzucił wiosło, domagając się, by wrócić do ujścia rzeki i poszukać tam schroniska. Zawtórował mu Stine, wobec czego tych kilka przebytych już mil ostatecznie przepadło. Powtórzyło się to drugiego i trzeciego dnia.

U ujścia rzeki łodzie, przybywające wciąż od strony Białego Konia, utworzyły całą flotyllę, liczącą co najmniej dwieście czółen. Co dzień przybywało ich czterdzieści — pięćdziesiąt, a ledwie dwie lub trzy odpływały w północno-zachodnim kierunku i nie wracały. Płytsze miejsca pokrywał już lód, który zwolna przenosił się z mielizny na mieliznę, łącząc się w krę pływającą po wodzie. Lada dzień jezioro mogło zamarznąć.

— Moglibyśmy postawić na swoim, gdyby ci ludzie nie mieli marchwianych łap — powiedział trzeciego dnia Kit do Krótkiego, kiedy/wieczorem suszyli przy ogniu swe mokasyny. — Nawet dziś moglibyśmy jechać dalej, gdyby nie to, że znów zachciało im się wrócić. Jeszcze godzina — i libybyśmy u zachodniego brzegu. Ale to są... to są niemowlęta w pieluchach.

— Pewnie! — zgodził się Krótki. Przysunął do ognia swe mokasyny i dumął przez chwilę. — Słuchaj, Kurzawa! Do Dawson mamy jeszcze setki mil. Jeśli nie chcemy zamarznąć tutaj, musimy coś zrobić. Jak myślisz?

Kit spojrzał na niego i słuchał.

— Nie możemy być przecież igraszką w rękach tych smarkaczy — tłumaczył Krótki. — Oni umieją rozkazywać i sypać hopami, ale — jak sam powiedziałaś — to dzieci! Jeśli mamy się dostać do Dawson, musimy wraz z bagażem przewieźć jeszcze i te dwa tłumoki.

Spojrzeli po sobie.

— Zgoda! — rzekł Kit podając mu rękę.

Na drugi dzień, na długo jeszcze przed świtem, Krótki wydał okrzyk wojenny.

— Wstawać! — huczał. — Wstawajcie, śpiochy! Tu macie kawę, pijcie. Jedziemy, trzeba się śpieszyć!

Narzekając i stękając, Stine i Sprague musieli ruszyć w drogę o dwie godziny wcześniej niż zwykle. Wichura była gorsza niż dotychczas i po chwili wszystkie twarze pokryły się szronem, a wiosła, oblepione lodem, ciążyły jak nigdy. Mordowali się tak trzy godziny, cztery. Jeden siedział przy sterze, dwóch wiosłowało, a czwarty rąbał lód. W zajęciach tych zmieniali się kolejno. Północno-zachodni brzeg zbliżał się z każdą chwilą, ale i wicher przechodził w huragan. Wreszcie Sprague, zmęczony i wyczerpany, wyciągnął swoje wiosło. Krótki, choć jego kolej jeszcze nie przyszła, skoczył do wiosła.

— Rąbcie lód — rzekł podając Sprague'owi siekiere.

— Ale po co to wszystko! — jęknął Sprague. — Nie damy i tak rady. Wracajmy.

— Pojedziemy dalej! — odparł Krótki. — Rąbcie lód. A kiedy wytchniecie, złuzujecie mnie.

Był to ciężki trud, ale gdy wreszcie przybili do skalistego brzegu, pełnego raf, okazało się, że nie ma miejsca do lądowania.

— Mówiłem wam! — odezwał się żałośnie Sprague.

— Aniście nawet nie pisnęli! — odpowiedział Krótki.

— Wracajmy.

Nikt nie odezwał się ani słowem, Kit odbił od niegościnnego przylądka i skierował łódź na jezioro. Woda była tak wzburzona, że czasem uderzenie wiosła posuwało łódź zaledwie o stopę naprzód, a zdarzały się chwile, w których wiosłowali na miejscu, znoszeni przez fale. Kit starał się wszelkimi sposobami dodać otuchy niedołęgom. Tłumaczył im, że żadna z łodzi, które odpłynęły w tym kierunku, nie powróciła, że musi tu być jakieś schronisko czy miejsce do lądowania. Pracowali tak godzinę, jedną, drugą.

— Gdybyście, chłopcy, włali tak w te wiosła kawę, którą popijaliście w łózkach, z pewnością dawno już siedzielibyśmy przy ogniu! — żartował Krótki. — Kiwacie się i kiwacie, a nie posuwamy się naprzód ani na krok.

W kilka minut później Sprague puścił wiosło.

— Nie mam już sił! — rzekł ze łzami.

— My też! — odpowiedział Kit tak strasznie wyczerpany, że gotów był płakać albo kogoś zamordować. — A mimo to pojedziemy dalej.

— Wracajmy. Zawróćcie.

— Krótki, skoro on nie chce wiosłować, weź od niego wiosło.

— Pewnie! — brzmiała odpowiedź. — Może rąbać lód. Ale Sprague nie chciał oddać wiosła, Stine przestał wiosłować i łódź zaczęła się cofać.

— Zawracać, Kurzawa! — rozkazał Sprague.

Kit, który nigdy nikomu nie powiedział złego słowa, zadziwił sam siebie.

— Prędeż cię diabli wezmą! — krzyknął. — Bierz się natychmiast do wiosła!

W chwilach skrajnego wyczerpania ludzie zapominają o wszelkich prawach cywilizacji. Nadeszła taka chwila. Każdy z tych czterech ludzi doszedł do swego punktu przelomowego. Sprague ściągnął rękawice, dobył rewolweru i zmierzył do sternika. Była to dla Kita rzecz nowa. Nikt mu jeszcze rewolwerem nie groził. Ale nie zrobiło to na nim żadnego wrażenia. Wyglądało zupełnie naturalnie.

— Jeżeli pan nie schowa tej pukawki — rzekł — odbiorę ją i poobijam nią panu kostki u rąk.

— Jeśli nie zawrócicie, zastrzelę was na miejscu — groził Sprague.

Teraz wmieszał się do tego Krótki. Przestał rąbać lód i szybko stanął za plecami Sprague'a.

— Spróbuj strzelić! — zawołał wywijając siekierą. — Aż mnie swędzi, by rozwalić ci łeb. Dalej, rozpoczynajcie tę uroczystość!

— To bunt! — wpadł Stine. — Najeliśmy was do wykonywania naszych rozkazów.

Krótki zwrócił się do niego...

— O, poczekaj, dostaniesz i ty za swoje, jak tylko skończymy z twoim współnikiem, ty śmierdzący, ofermisty flejtuchu!

— Sprague! — odezwał się Kit. — Daję wam trzydzieści sekund na schowanie rewolweru i założenie wiosła.

Sprague zawahał się, zaśmiał się histerycznie, schował rewolwer i pochylił się nad wiosłem.

Jeszcze przez dwie godziny wśród niewypowiedzianych wysiłków posuwali się naprzód cał po calu wzdłuż pieniającego się od fal, skalistego wybrzeża i w końcu sam Kit zaczął już obawiać się, czy nie strzelił głupstwa. Lecz właśnie w chwili, kiedy zamierzał dać hasło do odwrotu, wjechał w ciasny kanał, szeroki może na dwadzieścia stóp, a prowadzący do osłoniętej ze wszystkich stron zatoczki, gdzie najsilniejszy nawet wicher nie mógł zmarszczyć gładkiej powierzchni wody. To była przystań, do której pewnie zawijały poprzednie łodzie. Przybili do piaszczystego wybrzeża i gdy ich

chlebodawcy leżeli wyczerpani w łodzi, Kit i Krótki rozpięli namiot, rozpalili ogień i zabrali się do gotowania obiadu.

— Co to jest właściwie „śmierdzący, ofermisty flejtuch”, Krótki? — spytał Kit.

— A diabli wiedzą! — wzruszył ramionami. — Ale ja myślę, że to właśnie to.

Wichura, która pod wieczór zaczęła słabnąć, z zapadnięciem nocy scichła zupełnie. Zrobiło się jasno i zimno. Garnuszek kawy, odstawiony z węgla, aby trochę ochłódł, i zapomniany, w parę minut później pokrył się skorupą lodową grubą na pół cala. O ósmej wieczorem, kiedy Sprague i Stine zawinięci w derki spali śmiertelnie wyczerpani, Kit, który poszedł obejrzeć łódź, wrócił zaniepokojony.

— Jezioro zamarza! — oświadczył Krótkiemu. — Całe pokryło się już cienkim lodem.

— Cóż myślisz zrobić?

— Mamy tylko jedno wyjście. Jezioro dopiero zamarza. Żywszy nurt rzeki jeszcze kilka dni będzie się bronił przed zamarznięciem. Łódź, która dziś nie opuści jeziora Le Barge, zostanie tu do wiosny.

— Chcesz ruszać zaraz, w nocy? Teraz, zaraz? Kit kiwnął głową.

— Wstawać, śpiochy! — ryknął zamiast odpowiedzi Krótki tak głośno, że aż echo zahuczało w górach.

I natychmiast zaczął zwijać namiot.

Obaj młodzieńcy wstali, jęcząc z bólu, jaki im sprawiały zeszywniałe mięśnie, i ślaniając się na nogach z niewyspania.

— Która godzina? — spytał Stine.

— Pół do dziewiątej. Ciemno jeszcze — stwierdził Sprague.

Krótki wyciągnął dwa boczne kołki z ziemi i namiot się pochylił.

— Bo też nie jest to pół do dziewiątej rano — rzekł — ale wieczorem. Prędejj. Jezioro zaczyna zamarzać. Musimy dziś się z niego wydostać.

Stine siedział skrzywiony i wściekły.

— Niech sobie zamarza. My się nie ruszymy.

— Bardzo słusznie. Wobec tego my dwaj siądziemy na łódź i pojedziemy.

— Najęliśmy was...

— Abyśmy was dowieźli do Dawson. Wieziemy was czy nie?

To mówiąc zwałił im na głowy pół namiotu. Wyrąbali sobie drogę w cienkim lodzie zatoki i wydostali się na jezioro, gdzie woda, ciężka i jakby zmieszana ze szkłem, za każdym uderzeniem wiosła przymarzała do nich. Wydawało się, jak gdyby się ciągnęła, tak się przylepiała do wiosła i ściekając zamarzała w powietrzu. Powierzchnia ścinała się coraz bardziej, hamując i tak powolne posuwanie się łodzi.

Nieraz później Kit, odtwarzając sobie w pamięci tę noc i zbierając na pół zatarte wspomnienia, ze zdumieniem myślał o tym, jak strasznie musieli wówczas cierpieć Sprague i Stine. On sam miał wrażenie, jak gdyby to była jakaś straszna, tysiącletnia walka z mrozem i wyczerpaniem.

Świt zastał ich uwięzionych w lodzie. Stine płakał nad odmrożonymi palcami, Sprague nad odmrożonym nosem, a dotkliwy ból nosa i policzka pozwalał Kitowi domyślać się, że i jego mróz nie oszczędził. W miarę jak się rozwidniało, widzieli dalej, ale dokąd wzrok ich sięgał, wszystko zamieniło się w lód. Woda jeziora zniknęła. O jakieś sto sążni dalej widać było północny brzeg. Krótki przysięgał, że widzi tam koryto rzeki i wodę. Ale tylko on i Kit byli jeszcze zdolni do pracy, wiosłami więc rozbijali lód i tak posuwali się naprzód. Kiedy już siły ich wyczerpały się ostatecznie, porwał ich szybki prąd rzeki. Obejrzawszy się ujrzeli za sobą kilka łodzi, które przez

całą noc posuwały się naprzód, a teraz beznadziejnie osiadły na lodzie. Ale wkrótce nurt, pędzący z szybkością sześciu mil na godzinę, poniósł łódź za zakręt rzeczny i jezioro zniknęło im z oczu.

VI

Dzień za dniem mknęli z szybkim nurtem rzeki, lecz z każdym dniem rozszerzała się też powierzchnia lodu. Kiedy wieczorem przybijali do brzegu, trzeba było wybijać dla łodzi przerębel i przenosić na brzeg sprzęt obozowy nieraz kilkaset stóp przez zamarznąłą rzekę. Rano siekierami torowali drogę łodzi przez nowy lód ku nie zamarznętemu prądowi rzeki. Krótki ustawił na łodzi przenośny piecyk żelazny. Kucali przy nim Stine i Sprague przez długie bezczynne godziny. Poddali się, nie wydawali już rozkazów, a jedyną rzeczą, której pragnęli, było dotrzeć wreszcie do Dawson. Krótki, usposobiony jak zwykle pesymistycznie, lecz nieznużony i wesoły, wyśpiewywał na cały głos trzy pierwsze wiersze strofy jakiejś dawno zapomnianej pieśni, a im zimniej było, tym głośniejsze śpiewał:

*Jak Argos starych czasów
Idziemy z Grecji w świat,
By zdobyć — tum-tum, tum-tum, tum-tum!
Złotego Runa kwiat.*

Kiedy mijali ujście rzek: Hootalinąua, Wielkiego i Małego Łososia, zauważyli, że rzeki te niosą kry do samego Yukonu. Kry zbierały się i gromadziły dokoła łodzi, przylepiały się do niej i wieczorem trzeba ją było wyrąbywać z lodu. Tak samo było rano.

Ostatnią noc na łądzie spędzili między ujściem rzeki Białej i rzeki Stewarta. O świcie spostrzegli, że pas Yukonu, szeroki na pół mili, był cały biały od jednego skutego lodem brzegu do drugiego. Krótki klął na czym świat stoi, ale z mniejszym humorem niż zwykle, i zafrasowany spojrzał na Kita.

— Nasza łódź będzie ostatnią, która tego roku przyjedzie do Dawson — rzekł Kit.

— Kiedy nie ma wody, Kurzawa!

— To pojedziemy lodem. Jazda, w drogę.

Sprague'a i Stine'a, na próżno protestujących, wrzucili do łodzi jak tłumoki.

Kit i Krótki z siekierami w rękach przez pół godziny torowali drogę ku silnemu, szybkiemu prądowi. Kiedy im się wreszcie udało przebić przez lód przybrzeżny, płynąca kra przycisnęła łódź do lodu i tarła ją o jego skraj przez jakieś sto sążni. Oderwała się połowa burty i łódź omal się nie wywróciła. W dolnej części zakrętu znów wypłynęli na prąd, który w tym miejscu odbijał się od brzegu. Kierowali się wciąż ku środkowi. Rzeka niosła już nie drobną krę, lecz wielkie bryły lodu, w oczach rosnące i przymarzające do siebie. Odpychając je wiosłami, a czasem skacząc na nie, aby pomóc łodzi precyzyjnie się dalej, po godzinie pracy dotarli do środka rzeki. W pięć minut później łódź znów zamrzła. Cała rzeka tężała w biegu. Bryła zrastała się z bryłą, aż wreszcie łódź znalazła się w środku bryły o średnicy siedemdziesięciu pięciu stóp. Chwilami płynęli teraz bokiem, czasem zwróceniu ku przodowi rufą łodzi, podczas gdy zmieniający się punkt ciężkości zrywał więzy zlepiających ruchomych mas, aby je w chwilę później skuć jeszcze mocniej. Godziny mijały. Krótki palił w piecu, gotował i śpiewał swą pieśń wojenną.

Nadeszła noc. Po niezliczonych daremnych próbach przybicia do brzegu zrezygnowali i lecieli bezradnie w ciemną noc.

— Co będzie, jeśli miniemy Dawson? — spytał Krótki.

— Wrócimy pieszko — odpowiedział Kit — jeśli przedtem kry nie zetrą nas w proch.

Niebo było jasne i w zimnym świetle drżących gwiazd widać było czasem góry lodowe wynurzające się z dala po obu stronach rzeki. O jedenastej godzinie dał się słyszeć głuchy, zgrzytliwy ryk. Szybkość, z jaką dotąd mknęła wiążąca ich bryła lodu, zmniejszyła się, lód zaczął się piętrzyć, trzeszczeć i sunął na nich. Rzeka ścinała się. Jedna bryła lodu przesunęła się przez ich bryłę i zerwała bok łodzi. Łódź nie utonęła, ponieważ bryła, w którą wmarzła, wciąż ją jeszcze niosła, ale kiedy się okręciła, ujrzeli czarną wodę nie dalej jak w odległości stopy. A potem wszelki ruch ustał. W pół godziny później cała rzeka zerwała się i ruszyła. Ruch ten trwał godzinę, po czym znowu stłumiła go kra. Rzeka szarpnęła się jeszcze raz i gwałtownie, dziko, z wielkim chrzęstem i zgrzytem skoczyła naprzód.. Wtedy ujrzeli światła na brzegu. Kiedy znaleźli się naprzeciw nich, Yukon się poddał i przestał być rzeką na sześć miesięcy.

Kilku ciekawych mieszkańców z Dawson, stojąc na brzegu i przyglądając się zamarzaniu rzeki, usłyszało dolatujący z ciemności bojowy śpiew Krótkiego:

Jak Argos starych czasów

Idziemy z Grecji w świat,

By zdobyć — tum-tum, tum-tum, tum-tum!

Złotego Runa kwiat.

VII

Kit i Krótki pracowali przez trzy dni jak konie, przenosząc ze środka rzeki półtorej tony bagażu do drewnianego domku, który kupili Sprague i Stine. Domek stał na wzgórzu nad Dawson. Po ukończeniu pracy Sprague o zmroku wezwał Kita do swego ciepłego pokoju. Na dworze termometr wskazywał sześćdziesiąt pięć stopni poniżej zera.

— Byliście u mnie niecały miesiąc, prawda, Kurzawa? — odezwał się Sprague. — Ale oto zapłata za cały miesiąc. Życzę wam szczęścia.

— A cóż będzie z umową? — zapytał Kit. — Wiecie, że tu jest głód. Nawet w kopalniach nie można dostać roboty, jeśli się nie ma własnych zapasów żywności. Umówiliśmy się.

— Nie wiem o żadnej umowie — przerwał mu Sprague. — Stine, czy słyszałeś o jakiej umowie? Najęliśmy was na miesiąc. Oto wasza zapłata. Czy chcecie pokwitować?

Kitowi zrobiło się ciemno w oczach i ręce zaczęły mu latać. Obaj młodzi ludzie cofnęli się. W życiu swoim Kit nie uderzył w gniewie człowieka, lecz tak był pewny, że stłucze Sprague'a na kwaśne jabłko, iż nie mógł się na niego zamierzyć.

Krótki zauważył jego zmieszanie i przyszedł mu z pomocą.

— Słuchajcie, Kurzawa! Nigdy w życiu nie podróżowałem jeszcze z tak brudnym bagażem. Dopiero teraz wdepnąłem. Musimy się trzymać kupy, rozumiecie? No a teraz zabierzcie swoje kocy i sypcie pod „Jeleni Róg”. Czekaście tam na mnie. Ja się tu tymczasem rozprawię z nimi, wezmę, co mi się należy, i dam, co im się należy. Na wodzie nie jestem bardzo mocny, ale teraz jestem już na stałym lądzie i ani chybi pierze się tu posypie.

W pół godziny później Krótki zjawił się pod „Jelenim Rogiem”. Po zakrwawionych kostkach palców i zadraśnięciu na policzku można było poznać, że istotnie dał Stine'owi i Sprague'owi, co im się należało.

— Trzeba wam było widzieć, jak ta chałupa wyglądała! — zaśmiał się, gdy stanęli przy

szynkwasio. — Bójka w karczmie to mało! Stawiam dolary przeciw orzechom, że przez cały tydzień nie będą się mogli pokazać na ulicy.

A teraz musimy pomyśleć o sobie. Żarcie kosztuje półtora dolara funt. Roboty nie można dostać, jeśli się nie ma własnych zapasów żywności. Ale mięso łosia sprzedaje się po dwa dolary funt i brak tego mięsa. Jeśli powędrujemy w głąb Klondike, mamy dość pieniędzy na miesięczny zapas żywności i amunicję. Nie będzie łosi — przezimujemy u Indian. Ale jeśli w ciągu sześciu tygodni nie zdobędziemy pięciu tysięcy funtów mięsa, pójdę do naszych pryncypałów i przeproszę ich. Stoi?

Podali sobie ręce.

Ale Kit zmarszczył brwi.

— Kiedy ja zupełnie się nie znam na polowaniu! — rzekł po chwili.

Krótki podniósł swój kieliszek.

— Ale z pewnością jadacie mięso! Tak? No, to ja was nauczę.

BIEG DO SQUAW CREEK

I

W dwa miesiące po wyprawie na łosie w celu zdobycia żywności Kurzawa Bellew i Krótki, wróciwszy do Dawson, siedzieli pod „Jelenim Rogiem”. Polowanie udało się, mięso zwieźli i sprzedali po dwa i pół dolara za funt, wobec czego w ich posiadaniu znalazł się worek złotego piasku wartości trzech tysięcy dolarów i dobry zaprzęg psów. Poszczęściło się. Mimo że ruch, powstały z powodu złotej gorączki, wypłoszył zwierzynę na sto mil w góry, Kurzawa i Krótki w połowie tej odległości ubili w ciasnym wąwozie cztery łosie.

Zabłąkanie się tu łosi było rzeczą nie mniej cudowną niż szczęście myśliwych, którzy zwierzęta zabili. Albowiem nie dalej jak w odległości jednego marszu dziennego obozowały cztery wygłodniałe rodziny indiańskie, które podczas trzydniowej podróży nie natrafiły ani na jeden ślad zwierzyny. Myśliwi sprzedali im część mięsa za jeden zaprzęg wygłodzonych psów, a po tygodniu karmienia Kurzawa i Krótki zaprzęgli je i zaczęli ładować na sanki mięso przeznaczone na zgłodniały targ Dawson.

Szło teraz o to, aby złoty piasek zamienić w żywność. Bieżąca cena mąki i fasoli wynosiła półtora dolara za funt, cała trudność jednak polegała na wyszukaniu kogoś, kto by te prowianty chciał sprzedać. Dawson wiło się w męczarniach głodu. Setki ludzi, którzy mieli pieniądze, lecz nie zdobyli zapasów żywności, musiały opuścić kraj. Wielu puściło się w drogę powrotną rzeką, zanim pokrył ją lód, a jeszcze więcej, mając skąpy zapas żywności na drogę, wędrowało sześćset mil z powrotem do przystani.

Kurzawa znalazł Krótkiego w dobrze ogrzanym szynku. Krótki promieniał.

— Życie bez wódki i słodyczy nie jest przyjemne! — zawołał na powitanie, kiedy Kurzawa ścigał ze swych wásów kawały lodu i strzepywał je na podłogę, że aż chrzęściły. — A właśnie udało mi się zdobyć osiemnaście funtów słodkości. Zbój zażądał tylko po trzy dolary za funt. A cóż ty znalazłeś?

— Ja też nie próżnowałem — odpowiedział Kurzawa z dumą. — Kupiłem pięćdziesiąt funtów mąki. A mam kogoś z Adam Creek, co mi obiecuje do jutra drugie pięćdziesiąt.

— Bajecznie! Doczekamy się z pewnością ruszenia lodów. Słuchaj, Kurzawa, nasze psy są — jak się okazuje — wcale dobre. Handlarz ofiarował mi za pięć z nich po dwieście dolarów. Powiedziałem mu: nie da rady! Na szczęście wypasły się tak, że można się z nimi pokazać, ale tylko wariat karmiłby psy mięsem, którego funt kosztuje dwa i pół dolara. Chodź, napijemy się czego. Właśnie chciałem oblać te osiemnaście funtów cukru.

W kilka minut później, kiedy odważał złoty piasek za wódkę, drgnął.

— Ach, zupełnie zapomniałem o człowieku, którego poznałem w Tivoli. Ma na sprzedaż zepsuta wędzonkę po półtora dolara za funt. Możemy nią karmić psy i na każdym funcie oszczędzimy w ten sposób dolara. Trzymaj się ciepło!

— Do widzenia — odpowiedział Kurzawa. — Zaraz wracam do chałupy i kładę się spać.

Ledwie Krótki odszedł, w podwójnych, ciężkich drzwiach stanął człowiek zakutany w kozuch i futra. Na widok Kurzawy twarz jego rozjaśniła się szerokim uśmiechem. Kurzawa poznał w nim Brecka, tego samego, którego czółno przewoził swego czasu przez Pułapkę Kanionu i Grzywę Białego Konia.

— Dowiedziałem się, że jesteście w Dawson — mówił Breck pośpiesznie, ściskając mu dłoń. — Szukam was już pół godziny. Wyjdźmy stąd, chcę wam coś powiedzieć.

Kurzawa rzucił żalosne spojrzenie w stronę huczącego pieca, rozpalonego do czerwoności.

— Czy nie można by tutaj?

— Nie. To ważna rzecz. Wyjdźcie ze mną.

Kiedy stanęli pod domem, Kurzawa zdjął wełnianą rękawicę, zapalił zapałkę i rzucił okiem na termometr wiszący u drzwi. I zaraz pośpiesznie włożył rękawicę, jak gdyby mróz sparzył mu rękę. Na niebie płonąła zorza polarna, a całe Dawson aż jęczało od żalosego wycia tysięcy wilczurów.

— Ile? — spytał Breck.

— Sześćdziesiąt poniżej zera.

Kit plunął na próbę. Ślina z trzaskiem zamarła w powietrzu na lód.

— A termometr z pewnością jeszcze pracuje — dodał — wciąż spada. Godzinę temu pokazywał pięćdziesiąt dwa stopnie. Nie powiecie chyba, że przysłiście zawiadomić mnie o jakimś biegu.

— Właśnie o to idzie — szepnął Breck oglądając się podejrzliwie, jakby w obawie, by go kto nie podsłuchał. — Znacie Squaw Creek, rzeczkę wpadającą po drugiej stronie do Yukonu, trzydzieści mil stąd.

— Nie ma tam co robić — rzekł Kurzawa. — Teren przetrząśnięty dokładnie przed laty.

— Tak samo jak i inne bogate jary. Słuchajcie. To wielka gra. Skała leży na głębokości około dwudziestu stóp wszystkiego. Mówią, że tam nie ma działu, który by nie był wart pół miliona. Nikt o tym nie wie. Przypuściło mnie do tajemnicy kilku moich najserdeczniejszych przyjaciół. Mieliśmy już iść, ale tuż przed wymarszem powiedziałem żonie, że chcę i wam dać znać. A teraz do widzenia. Moje rzeczy są już na dole, ukryte na brzegu. Moi współnicy obiecali mi nie ruszać w drogę, póki Dawson nie zaśnie. Rozumiecie, co by to było, gdyby zauważono, że teraz, w nocy, puszczacie się w drogę. Całe Dawson poleciałoby za wami. Zabierzcie swego współnika i jazda za nami. Będziecie mogli wbić swoją żerdkę w czwarty lub piąty dział od działu odkrycia. Pamiętajcie — Squaw Creek. Trzeci jar, jak miniecie Swede Creek.

II

Kurzawa wszedł do małej chaty na śnieżystym stoku za Dawson i usłyszał dobrze mu znany ciężki oddech.

— Ach, idźże spać! — wymamrotał Krótki, kiedy Kurzawa wziął go za ramię i potrząsnął nim. — Nie należę do nocnej zmiany! — brzmiała jego następna uwaga, gdy potrząsanie zaczęło się stawać coraz silniejsze. — Idź ze swymi zmartwieniami do szynkarza.

— Właż w swój przydziewek! — odezwał się Kurzawa. — Pójdziemy wbić żerdki w parę działów.

Krótki usiadł i chciał wybuchnąć, ale dłoń Kurzawy zakryła mu usta.

— Sza! — ostrzegł go Kurzawa. — To wielka gra! Nie budź sąsiadów. Dawson śpi.

— Ale chciałbym to widzieć! Nikt nikomu nigdy o wielkiej grze nie mówi, to się wie! Ale czy to nie jest pocieszne, że mimo to jakimś dziwnym sposobem wszyscy zawsze walą na tę samą ścieżkę?

— Squaw Creek — szeptał Kurzawa. — Doskonale. Wiem od Brecka. Płytkie, skaliste łożo. Złoto już u korzonków trawy. Wstawaj. Spakujemy parę lekkich tobołków i pójdziemy.

Krótki zamknął oczy i znów zasnął. W tej chwili Kit zdarł z niego koce.

— Jeśli ty ich nie potrzebujesz na drogę, mnie się przydadzą! — wyjaśnił mu Kurzawa.

Pozbawiony koców, Krótki zaczął się ubierać. — Weźmiemy psy? — zapytał.

— Nie. Szlak do rzeczki jest z pewnością zasypany śniegiem. Bez psów będzie nam lżej.

— To pójdę je nakarmić, żeby mogły wytrzymać do naszego powrotu. Nie zapomnij wziąć trochę kory brzozonej i świeczkę.

Krótki otworzył drzwi, zmiarkował, jak mróz gryzie, i cofnął się, aby spuścić kłapy na uszy i włożyć rękawice.

— Kurzawa! Ja się na ten bieg nie zgadzam. Tam taki mróz, jakiego nie było u wrót piekła tysiąc lat przed rozpaleniem pierwszego ognia piekielnego. W dodatku dziś mamy piątek i trzynastego. Dostaniemy takiego łupnia, że aż się iskry z nas posypią.

Zarzuciwszy niewielkie plecaki na plecy, zamknęli chatę i zaczęli schodzić ze wzgórza. Gloria zorzy polarnej zgasła i tylko gwiazdy dygotały w potwornym zimnie. Ich niepewne światło zastawiało pułapki na nogi. Krótki na zakręcie ścieżki wpadł w głęboki śnieg. Podniósł głos błogosławiąc dzień, tydzień, miesiąc i rok.

— Będiesz ty cicho! — syknął Kurzawa. — Daj spokój kalendarzowi. Pobudzisz ludzi i całe Dawson za nami polecą.

— Ale! A nie widzisz to światła w tej chałupie? I w tamtej? Nie słyszałeś, jak ktoś trzasnął przed chwilą drzwiami? O, Dawson śpi, to pewne! A te światła? To nic, to tylko umarłego chowają. Nikt z nich o biegu nie myśli, głowę za to dają!

Kiedy stanęli u stóp zbocza i znaleźli się w Dawson, zewsząd dolatywał chybotliwy blask świateł w chatach i trzaskanie drzwiami, a na tyłach chałup słychać było skrzywienie licznych mokasynów na ubitym śniegu. Krótki znów sobie pofolgował.

— Do diabła, ileż tu tych żałobników!

Minęli jakiegoś człowieka, który stał na ścieżce i cichym głosem wołał niecierpliwie: — Charley, chodź już!

— Kurzawa, widzisz ten worek na plecach? Musi być daleko na cmentarz, skoro żałobnicy biorą ze sobą nawet koce.

Zanim doszli do głównej ulicy, setki ludzi szło sznurem za nimi, a gdy przy zwodniczym świetle gwiazd szukali ścieżki biegnącej z wysokiego brzegu ku rzece, słyszeli, jak nadchodzą wciąż nowi ludzie. Krótki pośliznął się i po wysokim na trzydzieści stóp zboczu zjechał w miękki śnieg na dole. Kiedy wstawał, zwałił go z nóg Kurzawa, który zjechał tuż za nim.

— Ja pierwszy wpadłem na tę myśl! — zachichotał zdejmując rękawice i wytrząsając z nich śnieg.

Po chwili zmykali co sił przed walącymi się na dół ciałami swych naśladowców. W czasie zamarzania rzek powstało tu pole zbitej kry, której spiczaste bryły pomieszały się ze śniegiem. Kurzawa, przewróciwszy się kilka razy i potłukłszy się boleśnie, wyjął świecę i zapalił.. Idący za nim ludzie przyjęli to radosnym okrzykiem. W bezwietrznej nocy świeca paliła się jasno i nie gasła, a przy jej świetle szło się raźniej.

— To chyba bieg! — stwierdził Krótki. — A może to tylko lunatycy?

— W każdym razie idziemy na czele tej procesji — odpowiedział Kurzawa.

— Nie jestem znów tak bardzo tego pewny. Chyba że to światełko przed nami to tylko robaczek świętojański. Może te wszystkie światła to robaczki świętojańskie — to i to, i to. Sam popatrz. Wierz mi, niejedna procesja już nas wyprzedziła.

Milę szło się przez kry na zachodni brzeg Yukonu, a na całej przestrzeni wijącego się szlaku migotały za nimi światełka aż ku samemu brzegowi i było tych światełek coraz więcej.

— Słuchaj, Kurzawa, to stanowczo nie bieg, ale emigracja! Przed sobą mamy z tysiąc ludzi, za

sobą co najmniej dziesięć tysięcy. Wobec tego posłuchaj, co ci wuj powie. Radzę dobrze i wiem, co mówię. Ten bieg nie dla nas. Wracajmy do domu spać.

— Lepiej oszczędzałbyś płuc, jeśli nie chcesz zostać w tyle! — odpowiedział niechętnie Kurzawa.

— O, ja wiem, że nogi mam krótkie i zginam je podczas marszu w kolanach, ale dzięki temu nie męczę sobie mięśni i pewien jestem, że wezmę każdego charta na tym lodzie.

Kurzawa wiedział, że to nie przechwałki, bo dawno już przekonał się, że jego towarzysz jest niepospolitym piechurem.

— A ja umyślnie szedłem wolniej, abyś mógł mi dotrzymać kroku — droczył się z Krótkim.

— To ja wciąż depczę ci po piętach. Jeśli nie możesz iść prędzej, puść mnie naprzód i — długi krok!

Kurzawa przyśpieszył kroku i po chwili był już na tyłach najbliższej garści współzawodników.

— Ty, Kurzawa, wal przez nich! — wołał jego towarzysz. — Wal przez ich nie pogrzebanego nieboszczyka To nie pogrzeb! Gwiżdż na mróz i goń jak z piórkim!

Kurzawa naliczył w tej grupie ośmiu mężczyzn i dwie kobiety, a zanim przeszli przez kry, pozostawili za sobą drugą grupę, liczącą dwadzieścia głów. W odległości kilku stóp od zachodniego brzegu szlak, skręcając na południe, wychodził na gładkie pole lodowe. Lód ukryty był teraz pod grubą na kilka stóp warstwą sypkiego śniegu. W śniegu wiodła wyjeżdżona przez sanki droga, właściwie wąska ścieżyna, jako tako ubita, a szeroka nie więcej niż na dwie stopy. Po obu jej stronach zapadało się w śnieg po kolana i głębiej. Dopędzeni uczestnicy biegu nie chcieli zejść z drogi, Kurzawa i Krótki często więc grzęzli w śniegu i z najwyższym wysiłkiem mijali poprzedników.

Krótki usposobiony był zaczepnie. Kiedy uczestnicy biegu sarkali, że ich mijają, odpowiadał uprzejmie.

— Czemu się tak śpieszycie? — zapytał jeden z nich.

— A wam dokąd się pali? — krzyknął Krótki. — O ile mi wiadomo, już wczoraj po południu w Indian River rozpoczął się bieg, który was pobił. Wolnych działów już nie ma.

— Jeśli tak, powtarzam, dlaczego się tak śpieszycie?

— Kto? Ja? Ja nie biorę udziału w biegu. Pracuję dla rządu. Jestem tu służbowo. Właśnie dostałem polecenie, żeby oszacować Squaw Creek.

Drugiemu, który zaczepił go wołając: — Dokąd to malutki? Myślicie, że uda wam się wbić żerdkę w jaki dział? — Krótki odpowiedział:

— Ja? Przecie to ja odkryłem Squaw Creek! Wracam teraz z komisariatu zobaczyć, czy mi się jaki głupi *chechaquo* nie wpakował na dział.

Uczestnicy biegu na równej drodze robili przeciętnie trzy i pół mili na godzinę. Kurzawa i Krótki — cztery i pół mili, a oprócz tego od czasu do czasu krótkie przestrzenie przebywali biegiem, dzięki czemu posuwali się naprzód jeszcze prędzej.

— Krótki, schodzisz sobie przeze mnie nogi po kolana! — rzucił Kurzawa wyzwanie swemu towarzyszowi.

— Wielkie rzeczy! Pokuśtykam choćby na kulasach i jeszcze ci nimi rozdepczę pięty mokasynów. Ale to wszystko na nic. Policzyłem dokładnie. Działy łożyska mają jakieś pięćset stóp. Niech idzie dziesięciu na milę.. Przed sobą mamy z tysiąc ludzi, a łożysko nie ma nawet stu mil długości. Ktoś osiadzie na lodzie, i coś mi się widzi, że to będziemy ty i ja.

Kurzawa nie odpowiedział, tylko dał takiego susa, że Krótki pozostał za nim o sześć stóp w tyle. Dopiero teraz. Kurzawa syknął:

— Gdybyś nie szafował tak płucami i dotrzymywał mi kroku, moglibyśmy kilku z tego tysiąca utracić!

— Kto? Ja? Zejdź mi tylko z drogi, a już ja ci pokażę, co to znaczy krok!

Kurzawa roześmiał się i znów dał susa. Teraz cała historia nabrała zupełnie innego wyglądu. Przez myśl przemknęły mu słowa szalonego filozofa: „przewartościowanie wartości”. W tej chwili zupełnie już mu nie zależało na zdobyciu majątku, lecz na pobiciu Krótkiego w szybkości marszu. „Ostatecznie — zakonkludował — ważna jest nie tyle wygrana, ile sama gra”. Jego mózg, mięśnie, krew i dusza — wszystko rwało się do walki z tym Krótkim, człowiekiem, który nie przeczytał ani jednej książki, nie widział ani jednej opery i dla którego epopea była niczym w porównaniu z wrzodem spowodowanym przez odmrożenie.

— Krótki, słuchaj, bo teraz to ja cię ze skóry obedrę! Od czasu kiedy stanąłem nad brzegiem Dyea, odnowiłem w swym ciele każdą komórkę. Ciało moje jest żyłaste jak rzemień, a jadowite jak ukąszenie żmii. Przed kilku miesiącami tarzałbym się po ziemi z radości, gdybym mógł coś podobnego napisać — ale wówczas nic podobnego napisać nie mogłem. Trzeba to było naprzód przeżyć, a dziś, gdy się to już spełniło, nie czuję potrzeby pisania. Jestem dziś prawdziwą, morową, jadowitą cholera i żaden mydłek z gór nie zwali mi na łeb czegoś, czego bym nie potrafił oddać mu w dwójnasób. A teraz słuchaj: goń naprzód i smaruj pół godziny, a wyciągaj się dobrze z portek, bo kiedy będziesz myślał, żeś wygrał, ja wyjdę naprzód i przez pół godziny dam ci takiego rumu, że zobaczysz!

— Ale! — zaśmiał się Krótki wesoło. — To-to ma jeszcze mleko pod nosem. Zleźże z drogi, niech ci ojciec pokaże, jak się chodzi!

Zmieniali się tak co pół godziny. Dużo już nie mówili. Ruch grzał ich, mimo że każde tchnienie pokrywało szronem ich twarze od ust aż do brody. Mróz był tak straszny, że bezustannie tarli rękawicami nosy i policzki. Gdy tylko na chwilę przestali, ciało drętwiało, trzeba było potem trzeć silniej, aby je doprowadzić do stanu piekącego bólu przy wznowionym obiegu krwi.

Nieraz zdawało się im, że wyszli na czoło procesji, ciągle jednak mijali wciąż nowych uczestników biegu, którzy wyruszyli przed nimi. Czasem ta lub owa grupa starała się dotrzymać im kroku, jednakże po mili czy dwóch zniechęcała się i znikła w ciemnościach za nimi.

— Byliśmy przez całą zimę na szlaku — tłumaczył Krótki — a te zniewieściałe od wylegiwania się po chałupach niedołęgi wyobrażają sobie, że potrafią dotrzymać nam kroku. Widzisz, gdyby to były prawdziwe włóczęgi, wyglądałoby to zupełnie inaczej. Jedno o włóczędze można powiedzieć: chodzić umie!

Raz Kurzawa zapalił zapałkę i spojrzął na zegarek. Więcej już tego nie robił, bo mróz tak jadowicie ugryzł go w gołe ręce, że minęło pół godziny, zanim znowu poczuł w nich życie.

— Czwarta godzina — rzekł wkładając rękawice — a my wymiñliśmy już trzystu ludzi.

— Trzystu trzydziestu ośmiu — poprawił Krótki. — Liczyłem. Zejdźcie z drogi, obcy człowieku, nie przeszkadzajcie ludziom, którzy wiedzą, co znaczy bieg.

Z tymi słowy zwrócił się do człowieka widocznie już zupełnie wyczerpanego, który szedł zataczając się i zawadzał na ścieżce. Ten człowiek, a potem drugi byli jedynymi wykreślonymi z gry, jakich widzieli. Znajdowali się już bardzo blisko czoła biegu. Dopiero później dowiedzieli się o okropnościach tej nocy. Wyczerpani ludzie przysiadali po drodze, by już więcej nie powstać. Siedmiu zamarzło na śmierć, a tych, którzy tę noc przeżyli, operowano w szpitalach Dawson dziesiątkami, obcinając im palce u nóg, nogi i palce u rąk. Ze wszystkich nocy, w których odbywały się biegi, noc biegu do Squaw Creek była najzimniejszą w całym roku. Nad ranem alkoholowe termometry w Dawson wskazywały 70° poniżej zera. Uczestnicy biegu byli, z małymi wyjątkami,

nowicjuszami w tym kraju i nie umieli poradzić sobie z mrozem.

Drugiego człowieka wykreślonego z gry spotkali w kilka minut później przy świetle zorzy polarnej, które strzeliło naraz jak promień reflektora z horyzontu do zenitu. Człowiek ten siedział na bryle lodu przy ścieżce.

— Kulej dalej, Marysiu! — powitał go wesoło Krótki. — Ruszaj się. Jak tu będziesz tak siedział, zmarzniesz na kamień.

Nie odpowiedział, wobec czego, stanęli, aby się dowiedzieć, co mu się stało.

— Sztywny jak pogrzebacz — oświadczył Krótki. — Pchniesz go, złamie się,

— Zobacz, czy nie oddycha — odpowiedział Kurzawa szukając gołymi rękami serca tego człowieka wśród futer i wełnianych koszul.

Krótki podniósł jedną klapę z ucha i pochylił się ku zamarzniętym ustom.

— Ani zipnie — odpowiedział.

— A serce też nie bije — rzekł Kurzawa.

Włożył rękawice i z minutę bił się nimi po bokach, zanim znów wystawił ręce na mróz, by zapalić zapałkę. Zamarznięty, człowiek już starszy, był niewątpliwie martwy. Przy świetle zapałki ujrzeli długą, siwą brodę, okrytą lodem aż po nos, policzki białe z odmrożenia i zamknięte oczy ze zlepionymi szronem rzęsami. W tej chwili zapałka zgasła.

— Chodźmy — rzekł Krótki trąc ucho. — Dla tego starego dziada nic już nie możemy zrobić. Pewien jestem, że sobie odmroziłem ucho. Będzie mi się teraz tydzień łuszczyło.

W parę minut później, kiedy płonąca wstęga dygocącego ognia rozlała się na niebie, ujrzeli przed sobą na lodzie w odległości ćwierć mili dwie postacie. Poza tym na przestrzeni mili nie ruszało się już nic.

— Widzisz, to oni prowadzą całą procesję — rzekł Kurzawa, kiedy znów zapadła ciemność. — Naprzód, weźmy ich!

Minęło pół godziny, a jednak tych dwóch przed sobą doścignąć nie mogli. Wobec tego Krótki zaczął biec.

— Choćbyśmy ich nawet doścignęli, nigdy ich nie przegonimy — mówił dysząc. — Boże, co za krok! Stawiam dolary przeciw orzechom, że to nie *chechaquo*. To z pewnością jakaś prawdziwa odmiana włóczęgów — może się załóżysz?

Kiedy wreszcie dognali parę, Kurzawa szedł pierwszy i bardzo był zadowolony, że potrafi dotrzymać im kroku. W tej chwili doznał wrażenia, że ten, za kim szedł, jest kobietą. Skąd się wzięło to wrażenie, nie miał pojęcia. Ta ciemna, zakapturzona i zawinięta w futra postać niczym się nie różniła od innych. A jednak było w niej coś znajomego. Kurzawa zczekał na następny płomień zorzy polarnej i przy jego świetle zauważył drobny kształt stóp obutych w mokasyny. I jeszcze coś — chód! Poznał natychmiast, że to był ten jedyny chód, który postanowił sobie zapamiętać do śmierci.

— Tęgi z niej piechur! — zauważył Krótki zdyszczym głosem. — Założę się, że to Indianka.

— Jak się pani ma, panno Gastell? — zwrócił się do niej Kurzawa.

— Dzień dobry — odpowiedziała zwracając się ku niemu i rzucając bystre spojrzenie. — W ciemnościach nie widzę. Kto mówi?

— Kurzawa.

Zaśmiała się na mrozie, a on był pewny, że miłszego śmiechu w życiu swoim nie słyszał.

— No i cóż, ożenił się pan i ma pan już wszystkie te dzieci, o których mi pan opowiadał? — Zanim zdążył odpowiedzieć, mówiła dalej: — Iluż tam *chechaquo* za nami?

— Może kilka tysięcy. My przegoniliśmy przeszło trzystu. Nie tracą czasu.

— Stara historia! — odpowiedziała z goryczą. — Nowi przybysze pchają się w bogate łóżyska, a

dawni traperzy, którzy wszystko zaryzykowali, tyle wycierpieli i ostatecznie stworzyli ten kraj, nie dostają nic. Starzy traperzy odkryli Squaw Creek — jak się to wydało, doprawdy nie wiadomo — i zawiadomili o tym starych traperów nad Lwim Jeziorem. Ale to o dziesięć mil dalej od Dawson. Kiedy przyjdą, znajdą łożysko wytyczone aż po horyzont żerdkami *chechaquo* z Dawson. To jest niesprawiedliwe, to okrutne.

— Zapewne to bardzo przykre — wyraził jej swoje współczucie Kurzawa. — Ale niech mnie licho weźmie, jeśli wiem, co na to poradzić. Pani wie — kto późno przychodzi, sam sobie szkodzi.

— A jednak chciałabym jakoś temu zaradzić — rzekła patrząc na Kurzawę. — Chciałabym, żeby wszyscy zamarli na szlaku albo żeby im się stało coś straszego, byle tylko wyprawa z Lwiego Jeziora mogła przyjść pierwsza.

— Źle nam pani życzy — rzekł z uśmiechem.

— Wcale nie — odpowiedziała żywo — ale tych ludzi znad Lwiego Jeziora znam wszystkich dobrze. To są naprawdę ludzie. Za dawnych czasów przymierali w tym kraju głodem, a mimo to pracowali jak olbrzymy nad jego rozwojem. Jako mała dziewczynka przeżyłam z nimi ciężkie czasy w Kojokuk. Pamiętam głód w Birch Creek, wraz z nimi przecierpiałam też głód w osadzie Czterdziestej Mili. To bohaterowie zasługujący na pewne względy, a jednak widzi pan tu tysiące mazgajów, którzy wcale nie zdobyli sobie jeszcze prawa wbijania żerdeń w nowe działki, a wyprzedzili ich już o całe mile. A teraz, jeśli pan wybaczy mi moje kazanie, wolę już oszczędzać oddech, bo nie wiem, czy wy i ci, co idą za wami, nie zechcą wyprzedzić tatusia i mnie. Joy i Kurzawa nie rozmawiali już ze sobą prawie przez godzinę. Za to zauważył, że przez jakiś czas po cichu porozumiewała się z ojcem.

— Już wiem, kto to taki! — rzekł Krótki do Kurzawy. — To stary Louis Gastell, morowy chłop, a to musi być jego brzdąc. Stary sprowadził się tu tak dawno, że nie ma już nikogo, kogo by z tych czasów pamiętał. Przywiózł ze sobą tę dziewczynę, kiedy była jeszcze niemowlęciem. Pracował do spółki z Beetlesem i oni to puścili na Kojokuk pierwszy mały, zasmarkany parowiec.

— Zdaje mi się, że nie wypada nam ich przeganiać — odezwał się Kurzawą. — Tak czy siak wyprzedziliśmy wszystkich i jest nas tu tylko czworo.

Krótki zgodził się, po czym nastąpiła druga godzina milczenia, podczas której wciąż parli naprzód. O godzinie siódmej ciemności przerwał ostatni błysk zorzy polarnej, który oświetlił na zachodzie szeroką wyrwę wśród gór pokrytych śniegiem.

— Squaw Creek! — krzyknęła Joy.

— Robi się pomalutku! — zawołał z radością Krótki. — Ale jak mi się zdaje, nie będziemy tam nawet za pół godziny. Muszę trochę naciągnąć giczały.

W tym właśnie miejscu zatarasowany przez kry szlak z Dyea skręcał nagle przez Yukon ku wschodniemu brzegowi. Tu trzeba już było zejść z ubitej, często uczęszczanej ścieżki, przejść przez kry i iść dalej wąską, z lekka tylko ubitą drożyną wiodącą ku zachodniemu brzegowi. Idący na przedzie Louis Gastell pośliznął się nagle w ciemnościach na lodzie i siadł łapiąc się obu rękami za nogę w kostce. Wstał z wysiłkiem i ruszył naprzód, teraz jednak szedł znacznie wolniej i wyraźnie kulał. Po kilku minutach nagle stanął.

— Na nic! — rzekł do córki. — Zwichnąłem nogę w kostce. Idź dalej sama i naznacz działki dla mnie i dla siebie.

— Czy nie moglibyśmy wam pomóc? — zapytał Kurzawa.

Louis Gastell potrząsnął przecząco głową.

— Ona może naznaczyć tak samo dwa działki jak i jeden. Ja tymczasem dowlokę się do drugiego brzegu, rozpalę ogień i obandażuję sobie kostkę. Nic mi nie będzie. Idź, Joy. Naznacz nasze działki

powyżej działów odkrycia. Górne działły są bogatsze.

— Oto trochę kory brzozonej — odezwał się Kurzawa dzieląc na dwie równe części swój zapas. — Zaopiekujemy się pańską córką.

Louis Gastell zaśmiał się szorstko:

— Ano, dziękuję wam — rzekł. — Ale ona sama doskonale da sobie radę. Idźcie za nią i pilnujcie jej, jeśli chcecie.

— Czy chcecie, żebym was poprowadziła? — zwróciła się Joy do Kurzawy stając na czele. — Znam te strony lepiej od was.

— Niech pani prowadzi — odpowiedział Kurzawa z galanterią — aczkolwiek zgadzam się z panią, że doprawdy to wstyd, abyśmy, nędzni *chechaquo*, mieli pobić ekspedycję znad Lwiego Jeziora. Czy nie można by się tych *chechaquo* pozbyć w jakiś sposób?

Potrząsnęła przecząco głową.

— Nie możemy przecież zatrzeć za sobą śladów. Pójdą za nami jak barany.

Zrobiwszy z ćwierć mili, zwróciła się pod ostrym kątem ku zachodowi. Kurzawa zauważył, że szli znowu nie udeptanym śniegiem. Ale ani on, ani Krótki nie widzieli, że wąska ścieżka, którą szli dotąd, biegła w dalszym ciągu na południe. Gdyby mogli zobaczyć, co teraz robił Louis Gastell, historia Klondike wyglądałaby zupełnie inaczej. Albowiem ujrzeliby, że stary traper już nie kuleje, lecz biegnie z nosem tuż przy ścieżce, niczym ścigający ich pies. Zobaczyliby także, jak udeptuje i poszerza ścieżkę, którą oni wydeptali idąc ku zachodowi. I wreszcie zobaczyliby, jak idzie starym, niewyraźnym szlakiem, prowadzącym na południe.

Ścieżka prowadziła w górę jaru. Była tak niewyraźna, że wciąż ginęła w ciemnościach. Po kwadransie Joy Gastell zgodziła się iść na końcu, pozostawiając obu swym towarzyszom trud torowania na przemian ścieżki w śniegu. To powolne posuwanie się naprzód ludzi prowadzących bieg pozwoliło dogonić ich znacznej liczbie współzawodników, tak że kiedy o godzinie dziewiątej nastął świt, jak daleko wzrokiem sięgnąć czerniał nieprzerwany łańcuch ludzi. Na ten widok czarne oczy Joy sypnęły skrami.

— Ile czasu minęło od chwili, kiedy ruszyliśmy w górę jaru? — zapytała.

— Pełne dwie godziny — odpowiedział Kurzawa.

— I dwie godziny z powrotem, to razem cztery — zaśmiała się. — Wyprawa z Lwiego Jeziora jest uratowana.

Lekkie podejrzenie przemknęło przez głowę Kurzawy, stanął więc i spojrzał jej w oczy.

— Nie rozumiem — rzekł.

— Nie rozumie pan? No to ja panu wytłumaczę. Jesteśmy w Norway Creek. Squaw Creek — to najbliższy jar na południe.

Kurzawie na chwilę odebrało mowę.

— Pani to zrobiła rozmyślnie? — zapytał Krótki.

— Tak jest, zrobiłam to, żeby dać szansę starym kolonistom.

Zaśmiała się przekornie. Mężczyźni spojrzeli po sobie i w końcu zaczęli się śmiać razem z nią.

— Gdyby w tych stronach nie było tak mało kobiet, przełożyłbym panią przez kolano i wsypałbym pani lanie — zapewniał ją Krótki.

— Więc pani ojciec nie zwichnął sobie nogi, lecz czekał, póki nie znikniemy mu z oczu, a potem poszedł dalej? — zapytał Kurzawa.

Potwierdziła skinieniem głowy.

— A pani była wabikiem?

Znowu potwierdziła skinieniem głowy i tym razem śmiech Kurzawy zabrzmiał jasno i szczerze.

Był to żywiołowy śmiech mężczyzny pobitego w ucziwej walce.

— Czemuż się na mnie nie gniewacie? — zapytała skruszona. — Czemu, czemu... nie dacie mi lania?

— Wobec tego musimy wracać! — poganiał Krótki. — Stojąc tutaj jeszcze sobie nogi odmrozę. Kurzawa potrząsnął głową.

— Przepadłyby nam cztery godziny! Do Squaw Creek nie ma stąd więcej jak osiem mil, a widać, że Norway Creek robi szeroki zakręt na południe. Pójdziemy przez Norway Creek, przejdziemy gdzieś na drugą stronę jaru i dostaniemy się do Squaw Creek ponad działem odkrycia.

Tu spojrział na Joy.

— Pani pójdzie z nami? Obiecałem ojcu czuwać nad panią.

— Ja? Zawahała się.

— Pójdę, jeśli pan nie ma nic przeciwko temu.

Patrzyła mu prosto w oczy, a wyraz jej twarzy nie był już ani wzgardliwy, ani przekorny.

— Panie Kurzawa, przykro mi teraz bardzo, że was wywiodłam w pole. Ktoś jednak musiał uratować starych kolonistów.

— A wie pani co? Przychodzę do przekonania, że taki bieg jest znakomitym pomysłem sportowym.

— A ja przychodzę do przekonania, że wy dwaj padliście jego ofiarą — odparła i dodała z leciutkim westchnieniem: — Jaka szkoda, że nie jesteście starymi kolonistami.

Dwie godziny jeszcze szli zamrzniętym łożyskiem Norway, po czym skręcili w ciasne i dzikie łożysko jednego z jego dopływów płynących z południa. W południe zaczęli się wspinać na zbocze gór dzielących ich od Squaw Creek. Za nimi, jak daleko okiem sięgnąć, widać było ciągnących całymi sznurami uczestników biegu. Liczne dymy wskazywały, że ludzie rozbijają obozy.

Oni jednak szli dalej ostro. Często brnęli po pas w śniegu. Musieli wtedy zatrzymywać się co parę łokci. Krótki pierwszy zażądał postoju.

— Dyrdamy już przeszło dwanaście godzin! — powiedział. — Wyznam szczerze, że mam dość i jestem zmęczony. A ty też. I wolno mi zawołać na cały głos, że w dalszym ciągu trzymałbym się tego szlaku, jak zdychający z głodu Indianin trzyma się zębami wędzonego niedźwiedziego ścierwa. Ale ta biedna pannica nie będzie mogła ruszać giczałami, jeżeli czegoś nie opchnie. Tu rozpalimy ognisko. Cóż wy na to?

Tak szybko, zręcznie i zmyślnie zabrali się do rozbicia biwaku, że Joy, przyglądając się im krytycznie, musiała przyznać, że starzy koloniści nie zrobiliby tego lepiej. Podściółka z sosnowych gałęzi przykrytych kocami stanowiła miejsce do odpoczynku i czynności kuchennych. Nie zbliżali się jednak do ognia, póki bezlitośnie nie wyszorowali swoich nosów i policzków.

Kurzawa plunął w powietrze, trzask był tak bezpośredni i głośny, że potrząsnął głową.

— Poddaję się! — rzekł. — Nigdy jeszcze nie widziałem takiego mrozu.

— Jednej zimy w Kojokuk było osiemdziesiąt sześć stopni mrozu — odpowiedziała Joy. — W tej chwili mamy najmniej siedemdziesiąt, siedemdziesiąt pięć. Jestem pewna, że odmroziłam sobie policzki. Palą mnie jak ogień.

Na stromych stokach góry nie było lodu — za to napełnili czajnik delikatnym, twardym, kryształowym śniegiem niby mialkim cukrem i na nim ugotowali kawę. Kurzawa przysmażył wędzonkę i odgrzał suchary. Krótki dostarczał paliwa i podtrzymywał ogień, Joy zakrzętała się koło skromnego nakrycia, składającego się z dwóch talerzy, dwóch kubków, dwóch łyżek, blaszanki z solą zmieszaną z pieprzem i blaszanki z cukrem. Kiedy przyszło do jedzenia, musiała się każdym daniem dzielić z Kurzawą. Jedli z jednego talerza i pili z jednego kubka.

Było około drugiej po południu, kiedy przedostali się na drugą stronę i zaczęli z wolna schodzić ku Squaw Creek. Z początkiem zimy jakiś myśliwy, polujący na łosie, wydeptał ścieżkę w kanionie — to znaczy idąc do góry i schodząc na dół szedł ciągle swoimi starymi śladami.

W rezultacie wśród sypkiego, delikatnego śniegu utworzyła się linia nieregularnych wzniesień przykrytych późniejszym śniegiem. Jeśli ktoś nie trafił nogą na taki wzniesienie, wpadał w nie udeptany śnieg i najczęściej się przewracał. Na domiar złego ów myśliwy, polujący na łosie, był gościem o niesłychanie długich nogach. Joy, która teraz szczerze pragnęła, aby jej dwaj towarzysze zdobyli jakiś działo, a obawiała się, że ze względu na jej zmęczenie będą szli wolniej, uparła się, że będzie prowadziła. Szybkość i sposób, w jaki ich prowadziła tą niebezpieczną drogą, wywołały zachwyt Krótkiego.

— Spójrz tylko na nią! — wołał — To człowiek, to prawdziwe czerwone mięso! Patrz tylko, jak latają jej mokasyny. Tu nie ma wysokich obcasów. Używa nóg takich, jakie jej Bóg dał! Jedyna *squaw* dla człowieka polującego na niedźwiedzie.

Odpowiedziała mu uśmiechem uznania, który obejmował i Kurzawę.

Kurzawa doznał uczucia serdecznego koleżeństwa, choć równocześnie było w tym wszystkim bardzo dużo kobiecości, całującej go tym swoim koleżeńskim uśmiechem.

Kiedy wreszcie stanęli na brzegu Squaw Creek i obejrzeni się, ujrzeli wszystkich uczestników biegu rozsypanych w nieregularne szeregi i z wysiłkiem schodzących po stokach działa wód.

Ześliznęli się z brzegu w stronę koryta. Rzeczka, zamarznięta aż do dna, miała dwadzieścia do trzydziestu stóp szerokości i płynęła między gliniastymi i bagnistymi brzegami szerokości około ośmiu stóp. Na śniegu, który pokrywał rzeczkę, nie widać było ani jednego świeżego śladu i wszyscy zrozumieli, że znajdują się ponad działem odkrycia i ostatnimi żerdkami zatkniętymi przez członków wyprawy znad Lwiego Jeziora.

— Uważajcie na źródła — ostrzegła Joy, kiedy Kurzawa prowadził ich wzdłuż rzeki. — Przy siedemdziesięciu stopniach mrozu można stracić nogę, jeśli się wdepnie w takie źródło.

Źródła te, jak wszystkie źródła rzek w Klondike, nie zamarzają nawet podczas największych mrozów. Odrzucana przez brzegi woda tworzy oparzeliska, które cienki lód i śnieg chronią przed zamrożeniem.

Pod człowiekiem, idącym po tym suchym śniegu, łatwo załamuje się gruba na pół cala powierzchnia lodu — wędrowiec wpada po kolana w wodę. Jeśli nie może natychmiast zmienić przemoczonego ubrania i ubuwia, przypląca to w ciągu pięciu minut utratą przynajmniej jednej nogi.

Mimo że było dopiero około godziny trzeciej po południu, zapadł długi, szary zmierzch podbiegunowy. Szukali po obu stronach rzeki rozszczępionego drzewa, które by wskazało im środkową żerdkę ostatniego działa. Pierwsza znalazła je Joy. Pobiegnęła jak strzała przed Kurzawą, wołając:

— Ktoś tu już był — spojrzycie na śnieg. Zaczekajcie, aż zorza znowu zaświeci. To tu, widzicie tę gałąź!

Nagle zapadła w śnieg aż po pas.

— Przepadłam! — krzyknęła z bólem. A potem zawołała: — Nie zbliżajcie się do mnie, ja sama się wydostanę.

Krok za krokiem, brnąc wciąż po załamującym się pod nią lodzie, ukrytym pod suchym śniegiem, szła ku brzegowi. Kurzawa nie czekał, lecz skoczył na brzeg, gdzie leżały wyschłe konary i gałęzie zwalone przez wiatr, i zaczął rozpalać ognisko. Kiedy stanęła u jego boku, z gałęzi strzelały już pierwsze płomienie dobrze roznieconego ogniska.

— Niech pani siada — rozkazał.

Posłusznie usiadła na śniegu. Zsunął plecak z ramion i podesłał jej koc.

Z góry dolatywały głosy uczestników biegu, którzy szli za nimi.

— Niech pan każe Krótkiemu wytyczyć dział — przypomniała.

— Idź, Krótki — powiedział Kurzawa zabierając się do jej mokasynów zupełnie już stężonych z lodu. — Zrób te tysiąc stóp i wetknij tam dwie środkowe żerdki.. Na rogach powtykamy później.

Nożem poprzecinał sznurowadła i rzemienie mokasynów. Tak już zamarzyły, że aż świszcząły i zgrzytały, kiedy je przecinał i przepiłowywał. Indiańskie skarpetki i grube wełniane pończochy zmieniły się w pochwy z lodu. Zdawało się, że stopy i łydki dziewczyny są otoczone lanym żelazem.

— Jak pani nogi? — spytał pracując.

— Zupełnie bez czucia, ani palcem ruszyć nie mogę i nic nie czuję. Ale wszystko będzie dobrze. Tylko proszę uważać, żeby pan sobie ręk nie odmroził. Pewnie już zdrętwiały, tak pan nimi wywija.

Włożył rękawice i przez chwilę z całej siły bił dłońmi o boki. Gdy poczuł szczypanie nabiegającej krwi, zdjął rękawicę i znowu rwał, przepiłowywał i rąbał złodowaciałe obuwie. Wreszcie pokazała się biała skóra jednej nogi, potem drugiej, wystawiona na działanie siedemdziesięciu stopni poniżej zera, co odpowiada stu dwóm stopniom poniżej stopnia zamarzania.

Nastąpiło nacieranie nóg śniegiem, wykonane z tak intensywną i okrutną gwałtownością, że dziewczyna zaczęła się wić, z radością ruszać palcami nóg i skarżyć się na swój przykry wypadek.

Zaciągnął ją bliżej ogniska. Umieściła nogi na kocu, w pobliżu zbawczych płomieni.

— Niechże pani przez chwilę na nie uważa — rzekł Kurzawa.

Teraz mogła już bezpiecznie zdjąć rękawice i opatrzeć swe nogi, z całą wiedzą człowieka wtajemniczonego uważając, aby ciepło ogniska przenikało je zwolna. Kiedy była tym zajęta, Kurzawa przystąpił do ratowania swych własnych rąk. Śnieg już na nich nie tajał ani nie wilgotniał. Jego lekkie kryształki były jak piasek. Po chwili jednak w odmrożonym ciele dały się odczuć ukłucia i bóle obiegu krwi. Wtedy dopiero zbliżył się do ogniska, rozpakował swój plecak i wydobył parę ciepłych pończoch. Tymczasem Krótki wrócił idąc wzdłuż łożyska i wdrapał się do nich po stoku góry.

— Mogę się pochwalić, że wytyczyłem naszymi żerdkami najmniej tysiąc stóp — oświadczył. — Numer dwudziesty siódmy i dwudziesty ósmy. Prawdę mówiąc, kiedy udało mi się oznaczyć górną część numeru dwudziestego siódmego, spotkałem pierwszego łazika z bandy, która za nami ciągnęła. Oświadczył mi wręcz, że dwudziestego ósmego numeru oznaczać nie mogę. A ja mu powiedziałem...

— Właśnie! — zawołała Joy. — Coście mu powiedzieli?

— Powiedziałem mu po prostu, że jeżeli nie cofnie się o pięćset stóp, to mu z jego nosa zrobię porcję lodów zmieszanych z czekoladą. Wobec tego cofnął się, a ja wbiłem nasze żerdki w dwa porządne działki, każdy po pięćset stóp. On wbił swą żerdkę w najbliższym sąsiedztwie, z czego wnioskuję, że ci, co szli za nami, zajęli działki po drugiej stronie rzeki. Nasze działki są pewne. Teraz już za ciemno, ale jutro rano będziemy mogli zatknąć żerdki w rogach działów.

III

Kiedy się zbudzili, zauważyli, że w nocy nastąpiła zmiana. Było tak ciepło, że Krótki i Kurzawa, jeszcze w kocach, orzekli, że może być najwyżej dwadzieścia stopni poniżej zera. Mróz stracił już swą kąśliwość. Na ich kocach było ze sześć cali lodowatych kryształków.

— Dzień dobry, jakże tam nóżki? — zawołał Kurzawa na powitanie przez popioły ogniska do Joy Gastell, która otrząsnawszy się starannie ze śniegu, siedziała na swoim kożuchu.

Krótki rozpałił ognisko i zaczął nosić lód z rzeczki. Kurzawa gotował śniadanie. Kiedy skończyli jeść, zrobił się dzień.

— Idźże, Kurzawa, i wbij te narożne żerdki — mówił Krótki. — Tam, gdzie brałem lód na kawę, jest piasek. Chciałbym z tego skorzystać, stopić trochę lodu i przepłukać na próbę jedną lub dwie miski.

Kurzawa z siekierą w ręku udał się na działą, aby wbić żerdki. Od środkowej żerdki działą dwudziestego siódmego, leżącego w dolnej części rzeki, poszedł pod prostym kątem przez wąską dolinę ku jej brzegowi. Robił to wszystko niemal automatycznie, ponieważ głowę miał zaprzątniętą wspomnieniami minionej nocy. Czuł, że do pewnego stopnia uzyskał władzę nad delikatnie zarysowanymi, ale silnymi mięśniami stóp i kostek, które nacierał śniegiem, i zdawało mu się, że jego władza rozciąga się na wszystkie kobiety. Opanowało go niewyraźne, lecz gorące poczucie własności. Miał wrażenie, że wystarczy podejść do Joy Gastell, wziąć ją za rękę i powiedzieć: „Chodź!”

Kiedy sobie to wszystko tak pięknie wyobrażał, spostrzegł nagle coś, co kazało mu zupełnie zapomnieć o władzy nad kobiecymi nóżkami. Na skraju doliny nie zatknął żadnej narożnej żerdki. Nie dotarł bowiem wcale do skraju doliny, lecz stanął naprzeciw jakiejś drugiej rzeczki. Objął wzrokiem pochyloną wierzbę i wielką, rzucającą się w oczy gałąź sosnową. Wrócił znów ku strumieniowi, gdzie tkwiły żerdki środkowe. Obszedł łożysko wyginające się w kształcie podkowy i zauważył, że łożyska obu tych strumieni są właściwie jednym i tym samym łożyskiem. Dwa razy przebrnął śniegiem od jednego końca doliny do drugiego, zdążając naprzód od niższego skraju numeru „dwudziestego siódmego”, potem od górnego skraju numeru „dwudziestego ósmego”, i doszedł do wniosku, że górny skraj drugiego działą znajdował się niżej od niższego skraju pierwszego. W półmroku zmierzchu Krótki oba ich działą obrał w owej podkowie.

Kurzawa wrócił do małego obozu. Na jego widok Krótki, który właśnie kończył przemywanie piasku w misce, zaczął krzyczeć:

— Wygraliśmy — wołał podsuwając mu miskę. — Popatrz tylko! Złota jajecznicza. Zaledwie dwieście kroków stąd masz to, co jest w tym piasku. Byłem już tu i ówdzie, ale jeszcze nie widziałem takiego masła jak w tej misce.

Kurzawa rzucił obojętne spojrzenie na złoto, nalał sobie przy ognisku filiżankę kawy i usiadł.

Joy domyśliła się, że coś się tutaj nie zgadza, i przyglądała mu się z ciekawym, badawczym wzrokiem.

Ten brak zachwyty ze strony współnika zirytował Krótkiego.

— Czemu nie kopiesz i nie awanturujesz się? — zapytał. — Tu się dobierzemy wreszcie do swego, chyba że ci taka miska z dwustu dolarami cuchnie.

Kurzawa zamiast odpowiedzi połknął łyk kawy.

— Krótki, dlaczego te nasze dwa działą podobne są do Kanału Panamskiego?

— Cóż to ma znaczyć?

— Widzisz, w Kanale Panamskim wschodnie wejście znajduje się na zachód od zachodniego. I tyle.

— Idźże! — odpowiedział Krótki. — Cóż to znowu za dowcip?

— Po prostu mówiąc, Krótki, naznaczyłeś nasze dwa działą na krzywiźnie wielkiej podkowy. Krótki postawił miskę na śniegu i wstał.

— Idźże! — powtórzył.

— Górny kraniec „dwudziestego ósmego” numeru znajduje się o dziesięć stóp niżej od dolnego krańca numeru „dwudziestego siódmego”.

— Chcesz przez to powiedzieć, Kurzawa, żeśmy nic nie dostali?

— Gorzej, dostaliśmy o dziesięć stóp mniej niż nic. Krótki pobiegł jak strzała ku rzeczce. W pięć

minut później wrócił. W odpowiedzi na pytające spojrzenie Joy kiwnął potakująco głową. Bez słowa usiadł na pniu i siedział tak, patrząc uporczywie na śnieg przed swoimi mokasynami.

— Nie ma co, trzeba zwinąć obóz i wracać do Dawson — rzekł Kurzawa zabierając się do zwijania koców.

— Bardzo mi przykro, Kurzawa — powiedziała Joy. — To wszystko przeze mnie.

— Nie szkodzi — odpowiedział. — To się zdarza.

— Ale to moja wina, tylko moja — powtarzała uporczywie. — Wiem, że tatuś wytyczył dla mnie dział niedaleko działu odkrycia, oddam go panu.

Potrząsnął przecząco głową.

— Krótki! — prosiła.

Krótki potrząsnął głową i zaczął się śmiać.

Był to potężny śmiech. Chichot i coraz to nowe wybuchy śmiechu zamieniały się w donośne rżenie.

— Nie myślcie, że to atak hysterii — tłumaczył. — Czasami istotnie bajecznie się bawię. A to ci heca!

Przypadkiem spojrział na miskę ze złotem. Podeszedł ku niej, kopnął ją i z powagą rozsypał złoto.

— Nie nasze — rzekł — należy do tego cymbała, którego wczoraj odsadziłem o pięćset stóp. A do mnie należy czterysta dziewięćdziesiąt stóp gruntu... który jest jego gruntem. Chodźmy, Kurzawa. Kuśtykajmy znowu do Dawson. Ale gdybyś mnie chciał zabić, wiedz, że palcem nie ruszę.

SEN KRÓTKIEGO

I

— Dziwna rzecz, że ty nie grasz — rzekł Krótki do Kurzawy pewnego wieczoru, kiedy siedzieli w barze pod „Jelenim Rogiem”. — Hazard cię nie ciągnie?

— I owszem — odpowiedział Kurzawa — ale mam też w głowie statystykę. Lubię wydawać pieniądze w równym tempie.

W obszernym barze wszystko głużyły odgłosy, szmery i zgiełk tuzina rulet i innych gier, w których ludzie odziani w futra i mokasyny próbowali swego szczęścia. Kurzawa zrobił dłonią gest obejmujący ich wszystkich.

— Spójrz na nich! — powiedział. — Zimne obliczenie wskaże ci, że tracą dzisiejszego wieczoru więcej, niż wygraają, i że większość już teraz przegrywa.

— Bity jesteś w rachunkach — mruknął Krótki z zachwytem — i w gruncie rzeczy masz słuszość. Faktem jest jednak, że bywa też inaczej. Do takich wyjątków należy przebłysk szczęścia. Zdarza się, że lada cymbał wygrywa. Ręczę ci za to, bo nieraz byłem świadkiem takiej gry i widziałem rozbicie niejednego banku. Jedyne przepisy na wygranie w grze hazardowej jest: wyczekać natchnienia, które ci powie, że nadeszła twoja szczęśliwa chwila, a wtedy grać do końca.

— Brzmi to bardzo prosto — odpowiedział z powątpiewaniem Kurzawa — tak prosto, że nie mogę zrozumieć, jakim cudem ludzie przegrywają.

— Cała trudność polega na tym — zgodził się Krótki — że ludzie przeważnie myślą się co do swego natchnienia. Przynajmniej ja zwykle się myliłem. Należałoby to wypróbować i wynaleźć jakąś regułę.

— Nie, Krótki, to już zawadza o statystykę. Większość ludzi myli się co do swoich szczęśliwych chwil.

— A czy ty nigdy nie miałeś takiego niezłomnego przekonania, że gdybyś postawił wszystkie swoje pieniądze, wygrałbyś na mur?

Kurzawa roześmiał się.

— O, ja też odniosłem niemało blizn w walkach z moim wrogiem, hazardem. Ale wiesz, Krótki — coś ci powiem. Właśnie teraz postawię na jedną kartę dolara. Przekonam się, czy ta karta kupi nam kieliszeczek czegoś dobrego.

Kurzawa skierował się ku stołowi, gdzie grano w faraona, ale Krótki złapał go za ramię.

— Czekaj, mam właśnie chwilę natchnienia. Daj tego dolara na ruletę.

Podeszli do stołu z ruletą, niedaleko lady.

— Czekaj, póki nie powiem — radził Krótki.

— Jaki numer? — zapytał Kurzawa.

— Jaki chcesz, ale czekaj, dopóki nie zobaczę, jak biegnie gałka...

— Nie sądzisz chyba, że przy tym stole mam większe szanse? — zapytał Kurzawa.

— Tak dobre jak każdy inny.

— Ale nie tak dobre jak bank.

— Czekaj, sam się przekonasz — nastawał Krótki. — Teraz! Stawiaj!

Właśnie krupier puścił wirującą gałkę na gładki brzeg toczącego się, podzielonego na działki koła. Kurzawa stał na szarym końcu stołu, przechylił się więc przez jednego z graczy i na ślepo rzucił

swego dolara.

Pieniądz potoczył się po gładkim, zielonym suknie i padł w samym środku liczby „34”. Gałka zatrzymała się, a krupier zawołał: — „34” wygrywa! — To mówiąc zgarnął wszystkie stawki i położył obok dolara Kurzawy trzydzieści pięć dolarów. Kurzawa zgarnął pieniądze, a Krótki trzasnął go w plecy.

— A co, Kurzawa, może to nie prawdziwe natchnienie? Skąd wiedziałem? Nie ma gadania, byłem pewny, że wygrasz. Gdyby twój dolar padł na inny numer, też byś wygrał. Kiedy natchnienie jest prawdziwe, musisz wygrać.

— A wyobraź sobie, co by było, gdyby wyszły dwa zera? — przekomarzał się Kurzawa, kiedy szli ku ladzie.

— Twój dolar padłby na dwa zera — odpowiedział Krótki. — Z tej sytuacji nie ma innego wyjścia. Co natchnienie, to natchnienie. Tak jest, a nie inaczej. Natchnienie mówi mi, że kiedy już zdobyłem wygraną dla ciebie, mogę postawić na parę numerów dla siebie.

— Czy grasz według jakiegoś systemu? — zapytał Kurzawa po dziesięciu minutach, gdy jego wspólnik przegrał już około stu dolarów.

Krótki potrząsnął z oburzeniem głową, rozsypując swe sztony w sąsiedztwie numerów „3”, „11” i „17”, a garstkę ich stawiając równocześnie na czerwone.

— Piekło z pewnością roi się od wariatów, którzy grali według systemu — oświadczył, kiedy krupier zgarniał pieniądze ze stołu.

Bezczynnie przyglądając się grze Kurzawa zagłębił się w nią, bacznie śledząc najmniejszy jej szczegół, poczynając od wirowania gałki, a skończywszy na stawianiu i wypłacaniu stawek. Nie grał, poprzestając wyłącznie na obserwowaniu gry. Był tym jednak tak zajęty, że kiedy Krótki wstał oświadczając, że ma już zupełnie dość, z trudnością udało mu się oderwać Kurzawę od stołu.

Krupier zwrócił Krótkiemu worek ze złotem, złożony jako poręka za grę. Równocześnie zaś wręczył mu paperek, na którym było napisane: „należność — trzysta pięćdziesiąt dolarów”.

Krótki zaniósł swój worek i kwitek do znajdującej się po drugiej stronie sali wagi na złoto.. Siedzący za nią człowiek odważył z worka Krótkiego równowartość trzystu pięćdziesięciu dolarów i wsypał złoto do szkatułki firmy.

— To twoje natchnienie wchodzi istotnie w zakres statystyki, o której ci mówiłem.

— A jednak musiałem grać, choćby tylko po to, aby się przekonać, że natchnienie było zawodne — odpowiedział Krótki. — Wyznaję, że kusilo mnie przekonać się, że natchnienie naprawdę istnieje.

— Nic nie szkodzi, Krótki — roześmiał się Kurzawa. — Ja właśnie teraz mam natchnienie.

Oczy Krótkiego błysnęły. Zawołał z zapalem:

— Co ty mówisz? Idź i graj natychmiast!

— Moje natchnienie jest innego rodzaju, Krótki. Widzisz, moje natchnienie mówi mi, że pewnego dnia opracuję system, który pobije wszystkie punkty na tym stole.

— System — jęknął Krótki, z niewymowną litością spoglądając na swego wspólnika. — Kurzawa, posłuchaj swego szlafkamrata i daj pokój systemowi. Systemy gwarantują ci pewną przegraną. Natchnień w nich nie ma.

— Oto dlaczego wolę system — odpowiedział Kurzawa. — Opiera się na statystyce. Jeśli stworzysz sobie odpowiedni system, nie możesz przegrać i to właśnie jest cała różnica między nim a natchnieniem. Bo nigdy nie możesz przewidzieć, kiedy cię natchnienie zawiedzie.

— Za to ja znam całą masę systemów, które zawodziły, i ani jednego, który by nie skrewił.

Krótki umilkł, westchnął i po chwili dodał:

— Słuchaj, Kurzawa. Jeżeli zaczynasz się chwytać systemów, to nie mamy tu co robić i musimy

znowu iść w świat.

II

Przez kilka następnych tygodni dwaj wspólnicy pracowali każdy na własną rękę. Kurzawa spędzał swój czas na przyglądaniu się rulecie pod „Jelenim Rogiem”, a Krótki studiował drogi w okolicy. Wreszcie Kurzawa, kiedy mu zaproponowano bieg na dwieście mil w dół Yukonu, zabrał głos.

— Słuchaj, Krótki — rzekł — ja nie pójdę. Ta wycieczka potrwa pewnie dziesięć dni, a do tego czasu mój system będzie gotów. Już dziś mógłbym za jego pomocą wygrać. Po kiego licha masz mnie włączyć za sobą po tym kraju?

— Kurzawa, moim obowiązkiem jest czuwać nad tobą — brzmiała odpowiedź Krótkiego. — Zaczynasz wariować. Zmusiłbym cię do biegu do Jerycha albo do Bieguna Północnego, byle tylko oderwać cię od tego stołu.

— Bardzo słusznie, Krótki. Pomyśl jednak, że jestem człowiekiem zupełnie już dorosłym i żywię się od dawna, mięsem. Jedyna rzecz, którą będziesz mógł wlec za sobą, to złoty piasek, który wygram za pomocą swego systemu, a i ty najprawdopodobniej będziesz w tym celu musiał zaprzęgać psy.

Krótki zamiast odpowiedzi jęknął.

— Oprócz tego oświadczam ci, że wcale nie życzę sobie, abyś grał na własną rękę — mówił dalej Kurzawa. — Podzielimy się zyskami, ale muszę włożyć w ten interes cały nasz kapitał. Mój system jest nowy, dlatego zanim go puszczę w ruch, muszę wypróbować kilka wypadków bardziej rzadkich.

III

Nareszcie po długich godzinach i dniach spędzonych na obserwowaniu stołu nadszedł wieczór, kiedy Kurzawa oświadczył, że jest gotów. Krótki posepny i z miną człowieka, który udaje się na pogrzeb, towarzyszył swemu wspólnikowi pod „Jeleni Róg”. Kurzawa kupił cały stos sztonów i usiadł na samym końcu stołu. Gałka wirowała bezustannie, gracze wygrywali i przegrywali, a Kurzawa nie stawiał. Krótki zaczął się niecierpliwić.

— Zaczynajże — poganiał wspólnika. — Niech się ten pogrzeb raz skończy. Co ci się stało? Boisz się?

Kurzawa, potrząsnął przecząco głową i czekał. Gałka potoczyła się jeszcze ze dwanaście razy, aż nagle postawił dziesięć dolarowych sztonów na „26”. Numer wygrał i krupier wypłacił Kurzawie trzysta pięćdziesiąt dolarów. Dwanaście do dwudziestu gier minęło, zanim Kurzawa postawił wreszcie dziesięć dolarów na „32”. Wygrał znowu trzysta pięćdziesiąt dolarów.

— To natchnienie! — szepnął mu Krótki do ucha na cały głos. — Teraz jazda, jazda!

Kurzawa jednak przez całe pół godziny siedział beczynnie, po czym postawił dziesięć dolarów na „34” i wygrał.

— Natchnienie! — szepnął Krótki.

— Bynajmniej — odpowiedział mu szeptem Kurzawa. — System. Może zły?

— Tego mi nie powiesz — odparł Krótki. — Natchnienie ma swoje dziwne drogi. Ty sobie możesz wyobrażać, że to system, ale to nieprawda. Systemy to bzdura. Nie ma ich w ogóle, a ty z wszelką pewnością grasz pod natchnieniem.

Kurzawa zmienił teraz sposób gry. Coraz częściej stawiał pojedyncze sztony, rozrzucając je tu i tam, przy czym częściej przegrywał, niż wygrywał.

— Daj już spokój! — strofował go Krótki. — Zabierz swoje pieniądze. Trzy razy trafiłeś w sam środek i wygrałeś tysiąc dolarów. Dłużej nie wytrzymasz.

W tej chwili gałka znów zaczęła wirować. Kurzawa rzucił dziesięć sztonów na „26”. Gałka wpadła w przegródkę „26” — krupier wypłacił mu trzysta pięćdziesiąt dolarów.

— Wściekłeś się i jesteś teraz w szale wygrywania. Postaw najwyższą stawkę — radził Krótki. — Wal dwadzieścia pięć dolarów.

Minął kwadrans, podczas którego Kurzawa wygrywał i przegrywał rozrzucone po rulecie drobne stawki. A potem z nieobliczalnością, która charakteryzowała całą jego grę, postawił dwadzieścia pięć dolarów na „00” i krupier wypłacił mu znów osiemset pięćdziesiąt dolarów.

— Kurzawa, zbudź mnie, śnię! — jęczał Krótki.

Kurzawa uśmiechnął się, zajrzał do swego notesu i pogrążył się w obliczeniach. Notes wyciągał z kieszeni podczas gry nieustannie i od czasu do czasu coś w nim pilnie zapisywał.

Dokoła stołu zebrał się gęsty tłum, gracze zaś starali się stawiać na te same numery, co Kurzawa. Wówczas zmienił sposób gry, dziesięć razy z rzędu stawiał po dziesięć dolarów na „18” i za każdym razem przegrywał. Wobec tego opuścili go nawet najśmielsi. Wtedy zmienił swój numer i znów wygrał trzysta pięćdziesiąt dolarów.

Gracze natychmiast zaczęli stawiać wraz z nim, aby go znowu po dłuższej serii przegranych opuścić.

— Rzuć to już, Kurzawa, rzuć! — radził Krótki. — Najdłuższa passa trwa zwykle dopóty, dopóki się nie skończy. Już dziś więcej nie wygrasz.

— A jednak pociągnę jeszcze raz, zanim wezmę pieniądze — odpowiedział Kurzawa.

Przez pięć minut ze zmiennym szczęściem stawiał na stole pojedyncze sztony, a potem rzucił dwadzieścia pięć dolarów na „00”.

— A teraz zagarnę już swoją flotę — powiedział do współnika.

— O, nie potrzebujesz mi nawet mówić, ile wygrałeś — oświadczył Krótki idąc ku wadze. — Uważałem przez cały czas. Wygrałeś około trzech tysięcy sześciuset dolarów. O dużo się omyliłem?

— Trzy tysiące sześćset trzydzieści — powiedział Kurzawa. — A teraz odniesiesz ten piasek do domu. Taka była umowa między nami.

IV

— Tylko nie nadużywaj swojego szczęścia — dogadywał Krótki Kurzawie następnego wieczoru, siedząc w chałupie i widząc, że jego współnik znowu wybiera się pod „Jeleni. Róg”. — Natchnienie ci wczoraj potężnie pomogło. Ale swoją passę wygrałeś. Jeśli teraz znów tam pojedziesz, przegrasz wszystko.

— Kiedy ja ci mówię, Krótki, że to nie jest żadne natchnienie. To statystyka, niezawodny system.

— Niech diabli wezmą system, w ogóle go nie ma. Ja raz u jednego stołu miałem siedemnaście pass, czy to był system? Guzik! To było szalone szczęście, tylko ja miałem boja i nie przejechałem się na tym szczęściu do końca. Gdybym na nie wsiadł i puścił się galopem, zamiast wycofać się po trzeciej passie, wygrałbym trzydzieści tysięcy, a nie marnych dziesięć dolarów.

— A mimo wszystko, Krótki, mówię ci, to jest najprawdziwszy system.

— Psiakość, musisz mi go pokazać.

— Przecież ci go pokazałem. Chodź ze mną, pokażę ci jeszcze raz.

Kiedy weszli pod „Jeleni Róg”, oczy wszystkich zwróciły się ku Kurzawie, a ci, którzy już grali

przy jego stole, zrobili mu miejsce. Dziś jego gra była zupełnie niepodobna do wczorajszej. Przez półtorej godziny postawił tylko cztery razy, za każdym razem po dwadzieścia pięć dolarów. Wziął trzy tysiące pięćset dolarów, a Krótki odniósł piasek do domu.

— Ostatni czas zaprzestać tej zabawy — napominał Krótki współnika, siedząc na skraju swego łóżka i zdejmując mokasyny. — Wygrałeś już siedem tysięcy. Tylko wariat wystawiałby swe szczęście na dalszą próbę.

— Krótki, tylko skończony wariat porzuciłby tak pewny system, jak mój.

— Słuchaj, Kurzawa, jesteś równy chłop, skończyłeś uniwersytet, w jednej minucie możesz wiedzieć więcej, niż ja mógłbym się nauczyć za czterdzieści tysięcy lat. Ale mimo wszystko mylisz się grubo, jeśli sądzisz, że twoje szczęście jest naprawdę systemem. Przecież i ja coś niecoś wiem, coś niecoś w świecie widziałem. I powiem ci po prostu, szczerze i z całą pewnością, że nie ma takiego systemu, który by mógł pobić bank.

— A przecież ja ci taki system pokazałem, jest chyba prosty jak drut.

— Nie, Kurzawa, nieprawda, nic mi nie pokazałeś, to jest po prostu nic innego, tylko sen. A potem zbudzę się, rozpalę ognisko i zacznę gotować śniadanie.

— Słuchaj, niedowiarku, tu jest złoty piasek, zważ go! — Z tymi słowami Kurzawa rzucił swemu współnikowi na kolana wór pełen złotego piasku. Worek ważył trzydzieści pięć funtów i Krótki dokładnie zdał sobie sprawę z jego ciężaru i siły uderzenia.

— To chyba jest rzeczywistość — dowodził w dalszym ciągu Kurzawa.

— A bo ja wiem. Miałem już niejedną bardzo rzeczywisty sen w moim życiu. Wszystko mi się śniło. Ale w rzeczywistości system jest niemożliwy. Otóż na uniwersytecie nigdy nie byłem, mam jednakże pełne podstawy do twierdzenia, że ta nasza szulerska orgia nie jest niczym innym, jak tylko po prostu snem.

— Hamiltona *Zasady oszczędności* — zaśmiał się Kurzawa.

— Nigdy nie słyszałem o takim dudku, ale on na pewno ma słuszność. To sen, Kurzawa, a ty straszysz mnie we śnie i dręczysz mnie swoim systemem. Jeśli mnie naprawdę kochasz, wrzaśnij na całe gardło: — Krótki, wstawaj! — A ja wstanę i zacznę gotować śniadanie.

V

Trzeciego wieczoru, kiedy Kurzawa postawił swą pierwszą stawkę, krupier wydał mu piętnaście dolarów.

— Wolno stawiać tylko dziesięć dolarów — rzekł. — Zniżono stawki.

— Dostajecie pietra! — zaśmiał się Krótki.

— Nikt nie musi grać przy tym stole, jeśli mu się nie podoba. A jeśli wolno mi przy sposobności powiedzieć po prostu, co myślę, to wołałbym, żeby wasz współnik w ogóle się do naszego stołu nie przysiadł.

— Aha, boicie się jego systemu? — rzucił Krótki wyzwanie, kiedy krupier wypłacał trzysta pięćdziesiąt dolarów.

— Nie powiem, abym się bał, bo w żadne systemy nie wierzę. Nie było nigdy systemu, który by pobił ruletę albo jakąkolwiek inną grę procentową. Nie przeczę jednak, że widziałem szczególne wypadki szczęścia i nie mam bynajmniej zamiaru dopuścić do rozbicia banku.

— Tchórzostwo!

— Mój złoty! Gra jest takim samym interesem jak każdy inny. Nie jesteśmy zakładem dobroczynnym.

A tymczasem Kurzawa co wieczór wygrywał.

Metoda jego gry wciąż się zmieniała. Ekspert po ekspercie, tkwiąc w tłumie cisnącym się wokół stołu, notował jego stawki i numery w daremnej nadziei przeniknięcia tajemnicy systemu.

Wszystkich dręczyło, że nie mogą odnaleźć klucza. Przysięgali, że to było tylko szczęście, ale zaraz dodawali, że tak szalonej passy nigdy jeszcze nie widzieli.

Dezorientował ich zupełnie nieuchwytny styl gry Kurzawy. Czasem mijała godzina, zanim po długim wertowaniu notesu i głębokiej kalkulacji zaryzykował jakąś stawkę. Kiedy indziej wygrywał trzy najwyższe stawki i ściągał tysiąc dolarów w przeciągu głupich pięciu lub dziesięciu minut. A potem znowu stosował taktykę rozrzucania pojedynczych sztonów — hojnie i bez żadnego sensu, po całym stole. Trwało to dziesięć do trzydziestu minut, a kiedy gałka zataczała ostatnie kręgi, stawiał najwyższe stawki na kolumnę, kolor i numer i wygrywał. Jednego razu ku największemu zmieszaniu wszystkich, którzy usiłowali odgadnąć jego tajemnicę, przegrał jedną po drugiej czterdzieści najwyższych stawek.

Jednakże jakkolwiekby grał, Krótki noc w noc odnosił do domu trzy tysiące pięćset dolarów.

— To nie jest żaden system — tłumaczył mu Krótki podczas jednej ze zwykłych dyskusji przed spaniem. — Ja cię obserwuję, obserwuję, ale w twojej grze nie ma absolutnie żadnej kalkulacji. Ty nigdy nie grasz dwa razy tak samo. Cała sztuka polega na tym, że wygrywasz, kiedy chcesz, a jeśli przegrywasz, to rozmyślnie.

— Może być, Krótki, że jesteś bliższy prawdy, niż ci się zdaje. Czasem muszę przegrać, to też wchodzi w mój system.

— Do cholery z systemem. Rozmawiałem o tym ze wszystkimi szulerami miasta, ale ani jeden nie uznał, aby w ogóle mógł istnieć jakikolwiek system.

— A przecież przez cały czas wykazuję ci, że mam swój system.

— Słuchaj, Kurzawa — rzekł po chwili Krótki pochylony nad świecą, którą właśnie chciał zgasić — mnie już doprawdy diabli biorą. Tobie się może zdawać, że to jest świeca, a to nieprawda. Nieprawda, że ja tu jestem. Wędruję gdzieś zawinięty w swój koc, leżąc na wznak z otwartą gębą — a to wszystko tylko mi się śni. I wcale nieprawda, że ty ze mną rozmawiasz. Taka sama nieprawda, jak to, że ta świeca jest świecą.

— W takim razie ciekawe, jak to może być, że mnie się śni to samo co i tobie — odpowiedział Kurzawa.

— Nie, tak wcale nie jest, ty jesteś tylko częścią mojego snu. We śnie rozmawiam z różnymi ludźmi. Chciałbym ci tylko jedno powiedzieć, Kurzawa. Mnie zaczyna tu już szlag trafiać. Jeżeli ten sen potrwa jeszcze dłużej, poprzegryzam sobie żyły i zacznę wyć.

VI

Szóstego wieczoru podczas gry pod „Jelenim Rogiem” najwyższą stawkę znizono do pięciu dolarów.

— Wystarczy! — zapewniał Kurzawa krupiera. — Muszę mieć jak zwykle swoje trzy tysiące pięćset dolarów, to znaczy, że będę musiał grać dłużej. Trzeba mi będzie wygrać dwa razy tyle stawek — to wszystko.

— Czemu nie uszczęśliwicie innego stołu? — zapytał krupier zgryźliwie.

— Bo ten mi się podoba!

Tu Kurzawa spojrział w stronę huczącego pieca, oddalonego od nich zaledwie o kilka stóp.

— Prócz tego tu nie ma przeciągów, jest ciepło i wygodnie.

Krótki, odnosząc dziewiątego wieczoru złoty piasek do domu, dostał jakiegoś napadu.

— Poddaję się, Kurzawa, poddaję się! — zaczął. — Wiem już, że zostałem pobity. Nie śnię. Czuwam z szeroko otwartymi oczami. Nie może to być system, ale ty masz swój system. To znaczy, że z reguły trzech nie ma już ani śladu. Kalendarz nie istnieje. Świat pękł na kawałki. Nie ma już nic prawidłowego i jednolitego. Tabliczka mnożenia poszła do licha. Dwa jest osiem, dziewięć — jedenaście, a dwa razy dwa jest osiemset sześćdziesiąt sześć... i... i... i pół. Każda rzecz jest czym innym, nie jest wszystkim, a dwa razy wszystko to lody, angielskie biszkopty i fale morskie.

Wynalazłeś system. Liczba bije rachunek. Czego nie ma, jest, a co jest, nie istnieje, przestało istnieć. Słońce wschodzi na zachodzie, księżyc to mała żyłka złota, gwiazdy to mrożona wołowina w puszkach, skorbut to błogosławieństwo boże, umarli zmartwychwstają, głązy pływają, woda to gaz, ja nie jestem ja, ty jesteś kim innym, a może też jesteśmy bliźniakami, o ile nie jesteśmy usmażonymi na grynspanie, pokrajanymi w kostkę ziemniakami.

Rety, zbudźcie mnie! Ludzie kochani, zbudźcie mnie!

VII

Następnego ranka w chacie zjawił się gość. Kurzawa znał go. Był to Harvey Moran, właściciel wszystkich stołów gry w Tivoli. Kiedy przystąpił do interesu, w jego niskim, szorstkim głosie brzmiała nuta jak gdyby skargi.

— Otóż, Kurzawa, rzecz ma się tak! — zaczął. — Dojedliście nam wszystkim. Przychodzę do was w imieniu swoim i dziewięciu właścicieli wszystkich stołów gry w mieście. Nie możemy zrozumieć, Wiemy z całą pewnością, że nie ma systemu, który mógłby pobić ruletę. Potwierdzili nam to wszyscy uczeni matematycy z uniwersytetów. Oni twierdzą, że ruleta sama jest systemem, jedynym jedynym systemem, to znaczy, że żaden system nie może jej pobić, bo inaczej cała matematyka zdałaby się psu na budę.

Krótki gwałtownie potakiwał głową.

— Gdyby system mógł pobić system — mówił dalej właściciel domu gry — znaczyłoby to, że systemu w ogóle nie ma. A wówczas wszystko byłoby możliwe — jedna i ta sama rzecz mogłaby się znajdować w dwóch miejscach na raz, lub też na odwrót, dwa ciała mogłyby się równocześnie znajdować w miejscu mogącym pomieścić tylko jedno ciało.

— Cóż, widzieliście przecież, jak gram! — odpowiedział lekceważąco Kurzawa. — Jeśli myślicie, że to tylko passa szczęścia, nie macie się o co martwić.

— Otóż w tym właśnie sęk. Nie możemy się nie martwić. Wy macie swój system, a równocześnie wiemy z całą pewnością, że to jest niemożliwe. Przyglądałem się wam przez pięć wieczorów i zauważyłem tylko tyle, że macie swoje ulubione numery i na nich stale wygrywacie. Wobec tego my wszyscy, dziesięciu właścicieli stołów gry, zebraliśmy się i postanowiliśmy zrobić wam ugodową propozycję. Postawimy stół z ruletą w tylnym pokoju „Jeleniego Rogu”, złożymy bank przeciw wam i zmierzmy się. Wszystko odbędzie się cicho, prywatnie. Prócz was, Krótkiego i nas nie będzie nikogo. Cóż wy na to?

— Mnie się zdaje, że tu właściwsza byłaby inna droga — odpowiedział Kurzawa. — Wam wypada przyjść do mnie. Będę dziś wieczorem grał w barze pod „Jelenim Rogiem”. Jeśli chcecie, możecie tam przyjść i zobaczyć, jak gram.

VIII

Kiedy Kurzawa zajął tego wieczoru swe zwykłe miejsce za stołem, krupier przykrył ruletę.

— Ruleta zamknięta! — rzekł. — Na rozkaz „starego”. Ale zgromadzeni właściciele domów gry nie dali tak łatwo za wygraną. Złożyli się po tysiącu na bank i obsiedli stół.

— Chodźcie, spróbujcie się z nami! — wyzwał Kurzawę Harvey Moran, gdy krupier pierwszy raz rzucił wirującą gałkę.

— Pozwólcie mi stawiać po dwadzieścia pięć dolarów.

— Owszem, stawiajcie.

Kurzawa postawił natychmiast na „00”. Wygrał. Moran obtarł sobie pot z czoła.

— Jazda dalej! — powiedział. — W banku jest dziesięć tysięcy.

W ciągu półtorej godziny dziesięć tysięcy dolarów stało się własnością Kurzawy.

— Bank rozbity! — ogłosił krupier.

— Macie dość? — zapytał Kurzawa.

Właściciele domów gry spojrzeli po sobie. Ogarnęło ich przerażenie. Oni, wybrańcy hazardu, opływający w szczęście, zostali pokonani. Stanęli wobec kogoś, kto miał głębszy wgląd w prawa gry lub też odwołał się do praw wyższych, o których nikomu ani się śniło.

— Poddajemy się! — oświadczył Moran. — Prawda, Burke?

Wielki Burke, właściciel gier w szynkach, skinął głową.

— Stała się rzecz niemożliwa! — rzekł. — Ten Kurzawa istotnie wymyślił prawdziwy system. Jeśli go wypuścimy z rąk, zbankrutujemy wszyscy. Będziemy musieli ograniczyć stawki do wysokości dolara, dziesięciu centów, a może nawet centa. Przy takich stawkach niewiele przez noc wygra.

Wszyscy patrzyli na Kurzawę.

Wzruszył ramionami.

— Wobec tego, szanowni panowie, będę musiał najmować ludzi do grania przy waszych stołach. Dam im dolara za cztery godziny pracy i zrobię majątek.

— To my skasujemy ruletę — odpowiedział Wielki Burke. — Chyba że...

Tu zawahał się i powiódł wzrokiem po swych towarzyszach, aby się przekonać, czy się z nim zgadzają.

— Chyba, że chcielibyście rozumnie z nami pogadać. Ile chcecie za ten swój system?

— Trzydzieści tysięcy dolarów! — odpowiedział Kurzawa. — Opłata po trzy tysiące od głowy.

Pomówili ze sobą i skinęli głowami.

— Za to wtajemniczycie nas w swój system?

— Oczywiście.

— I przyrzekniecie nam nigdy już więcej nie grać w ruletę w Dawson?

— O nie, mój panie — odrzekł Kurzawa stanowczo. — Mogę tylko przyrzec, że nie będę grał więcej według tego systemu.

— Do pioruna! — wybuchnął Moran. — Nie chcecie chyba przez to powiedzieć, że macie kilka systemów!

— Czekajcie! — zawołał Krótki. — Chciałbym pomówić ze swym współnikiem. Chodź tu, Kurzawa.

Kurzawa usunął się z nim do cichego kąta, gdzie skupiły się na nich spojrzenia setki oczu.

— Uważaj, Kurzawa! — szeptał Krótki chrapliwie. — Może być, że to nie sen. Jeśli nie sen, to sprzedajesz swój sekret za psie pieniądze. Cały świat możemy za jego pomocą zdobyć. Wart jest miliony! Trzymaj się! Nie daj się! — Ale jeżeli to tylko sen? — przekomarzał się łagodnie Kurzawa.

— W takim razie w imię miłości, samego snu duś tych szulerów i wydrzyj im jak najwięcej, ile tylko możesz. Co wart sen, jeśli nie możesz go zamienić w rzeczywistość, dośnić do samego końca.

— Na szczęście, Krótki, to nie sen.

— W takim razie nigdy ci nie daruję, jeżeli go sprzedasz za trzydzieści tysięcy.

— Jak go sprzedam za trzydzieści tysięcy, rzucisz mi się na szyję i zbudzisz się wreszcie, aby się przekonać, że w ogóle przez cały ten czas nie spałeś. To nie sen, Krótki. Przekonasz się w ciągu dwóch minut, że przez cały ten czas czuwałeś. Powiem ci tylko tyle, że jeśli teraz ten swój system sprzedaję, to właśnie dlatego, że go w tym celu wymyśliłem.

Powróciwszy do stołu Kurzawa oświadczył właścicielom domów gry, że swej oferty nie cofa. Ofiarowali mu pieniądze w banknotach, po trzy tysiące od głowy.

— Zażądaj złotego piasku — ostrzegł go Krótki.

— Chciałbym właśnie zaznaczyć, że pragnąłbym, aby mi tę sumę odważono w złotym piasku — rzekł Kurzawa.

Właściciel „Jeleniego Rogu” zainkasował banknoty, a Kurzawa otrzymał złoto.

— Teraz wcale już nie pragnę się zbudzić — śmiał się ważąc w rękach worki rozmaitej wielkości. — Razem wzięwszy, jest to sen wartości siedemdziesięciu tysięcy. Byłoby rzeczą zbyt kosztowną otworzyć teraz oczy, wygrzebać się z koców i zabrać się do gotowania śniadania.

— Na czymże polega wasz system? — pytał niecierpliwie Wielki Burke. — Kupiliśmy go. i chcemy poznać.

Kurzawa poprowadził ich ku stołowi.

— Moi panowie, miejcie odrobinę cierpliwości. To niezwykły system. Nie wiem nawet, czy można by go nazwać legalnym. Jednakże jego wielką zaletą jest to, że działa. Co prawda, mam pewne podejrzenia, ale — nie mówmy o tym. Proszę uważać Panie krupier, proszę przygotować gałkę. Niech pan czeka, stawiam na „26”. Przypuśćmy, że postawiłem. Gotów? Jazda!

Gałka potoczyła się.

— Proszę zapamiętać — zwrócił uwagę Kurzawa — że naprzeciw, po drugiej stronie, był numer „9”.

Gałka skończyła swój bieg w przegródce numeru „26”. Wielki Burke zaklął z głębi płuc, reszta czekała.

— Aby móc wygrać stawiając na „00”, musi się naprzeciw mieć numer „11”.

— Dobrze, ale gdzie system? — krzyknął Moran niecierpliwie. — Że wy umiecie stawiać na numery, które wygrywają, to my wiemy, i wiemy, które to są numery, ale w jaki sposób to robicie?

— Obserwując sekwencje. Przypadkowo zauważyłem dwa razy, jak gałka biegała, kiedy naprzeciw mnie był numer „9”. Obydwa razy wygrał numer „26”. Potem zauważyłem to częściej. Wobec tego zacząłem obserwować inne sekwencje i powoli je odkryłem. Na przykład „00” znajdują się naprzeciw „32” i „11” przynosi „00”. Nie udaje się to zawsze, zwykle jednak działa! Jak już zauważyłem, mam pewne podejrzenia, ale — nie mówmy o tym!

Wielki Burke, któremu nagle zaczęło świtać w głowie, wstał, pochylił się, zatrzymał wirujący krążek rulety i zaczął mu się starannie przyglądać. Głowy dziewięciu pozostałych właścicieli domów gry również pochyliły się nad stołem, pogrążone w szczegółowym badaniu. Wielki Burke wyprostował się i rzucił wzrokiem na stojący w pobliżu piec.

— Do diabła! — rzekł — To w ogóle nie był żaden system! Stół stoi zbyt blisko pieca i ten przeklęty krążek wypaczył się: daliśmy się zbujać! Nic dziwnego, że on lubił ten stół. Przy innym stole nie grałby ani o orzechy!

Harvey Moran odetchnął głęboko i otarł sobie czoło.

— W każdym razie — powiedział — za wiadomość, że systemu nie ma, tośmy jeszcze stosunkowo niewiele zapłacili.

Naraz twarz jego zaczęła drgać, po czym wybuchnął głośnym śmiechem i z całej siły palnął Kurzawę dłonią w plecy.

— Wzięliście nas na kawał, Kurzawa! I pomyśleć! Myśmy Bogu dziękowali, że omijacie nasze stoły! Słuchajcie, mam coś, co warto byłoby otworzyć! Gdybyście tak wszyscy przeszli do mnie, do Tivoli.

Wróciwszy późną nocą do chaty Krótki w milczeniu przeglądał i ważył w zębach pękate worki ze złotem. Wreszcie ustawił z nich cały stos na stole, usiadł na brzegu łóżka i zdejmując mokasyny zaczął mówić:

— Siedemdziesiąt tysięcy! — kalkulował. — Waży to trzysta pięćdziesiąt funtów. A wszystko dzięki spaczonemu krążkowi i bystremu oku. Kurzawa, zjadłeś ich na surowo, zjadłeś ich żywcem, pracowałeś pod wodą, dałeś im szkołę. Ale mimo wszystko ja wiem, że to tylko sen. Bo dobre rzeczy dzieją się tylko we śnie. Wcale a wcale nie zależy mi na tym, abym się obudził. Mam nadzieję, że nigdy już się nie zbudzę.

— Uspokój się! — odpowiedział Kurzawa. — Nie obudzisz się. Cała kupa mędrków - filozofów uważa ludzi za lunatyków. Znajdujesz się w bardzo dobrym towarzystwie.

Krótki wstał, podszedł do stołu, dźwignął najcięższy worek i huśtając go w ramionach jak dziecko w powiciu, rzekł:

— Być może, że jestem lunatykiem. Jednakże, jak to sam powiedziałeś, znajduję się istotnie w świetnym towarzystwie.

CZŁOWIEK Z DRUGIEGO BRZEGU

I

Zanim jeszcze Kurzawa sprzedał działki nie istniejącego miasta Tra-lee, omal nie doprowadził do bankructwa banku Billa Swiftewatera w słynnej aferze z wykupywaniem jaj i wygrał wyścig psim zaprzęgiem wzdłuż Yukonu o równy milion dolarów — zdarzyło się, że raz wrócił z Krótkim do górnego Klondike. Krótki miał wrócić do Dawson, aby zgłosić kilka działów, które wspólnie nazaczyli. Kurzawa zaś skręcił ze swym psim zaprzęgiem na południe. Celem jego poszukiwań było Jezioro Niespodzianek i legendarne Dwie Chaty. Musiał więc przedostać się przez źródła Rzeki Indiańskiej i przez nieznane okolice górskie dotrzeć do rzeki Stewarta. Jak wieść niosła, gdzieś w tamtych stronach znajdowało się, otoczone dzikimi szczytami i lodowcami, Jezioro Niespodzianek z dnem wybrukowanym szczerym złotem.

Opowiadano sobie, że dawni koloniści, których nazwiska nawet przepadły w puszczy zapomnienia dawnych dni, nurkowali w lodowato zimnych głębiach Jeziora Niespodzianek i w obu rękach wynosili na powierzchnię bryły złota. Ci dawni koloniści w rozmaitych czasach docierali do niezdobytej twierdzy, usiłując zdobyć złote dno jeziora. Jednakże woda była zbyt zimna. Niektórzy umierali w wodzie, tak że na brzeg wyciągano tylko ich trupy. Inni kończyli na suchoty. A byli i tacy, którzy zanurzywszy się w wodzie już się więcej nie pokazali. Pozostali przy życiu obiecywali sobie wrócić i spuścić wody jeziora, nie wrócił jednak ani jeden. Stale przytrafiały im się nieszczęścia. Ktoś tam wpadł w bąbel lodową poniżej Czterdziestej Mili, drugiego rozdarły i pożarły jego własne psy, trzeciego zmiotło padające drzewo. I tak dalej — niosła wieść. Jezioro Niespodzianek stało się postrachem. Zapomniano nawet, gdzie leży. A złoto wciąż pokrywało jego nie osuszone dno.

Co się tyczy niemniej legendarnych Dwóch Chat, wiedziano przynajmniej dokładnie, gdzie leżą. Dwie te stare chałupiny znajdowały się w odległości pięciu noclegów od Rzeki Stewarta, w górę ku rzece Mc Question. Były tak stare, że zbudowano je chyba, zanim jeszcze pierwsi poszukiwacze złota znaleźli się w dolinie Yukonu. Polujący na łosie wędrowni myśliwi, których Kurzawa czasem spotykał, rozmawiając z nim o tych chatach twierdzili, że pamiętają je od najdawniejszych lat, na próżno jednak poszukiwali kopalń, które dawni awanturnicy niewątpliwie wykopali.

— Wolałbym, żebyś mnie wziął ze sobą! — powiedział Krótki, gdy się rozstawali. — To, że zahartowałeś się jak Indianin, nie znaczy jeszcze, abyś miał się narażać. Sądząc z tego, co mówią wszyscy, tam z pewnością straszny.

— Nie szkodzi, Krótki. Zrobię tę okrężną wycieczkę, a za sześć tygodni będę z powrotem w Dawson. Szlak wiodący Yukonem jest ubity, a pierwsze sto mil na Stewarcie też powinno być ubite. Dawni koloniści z Henderson mówili mi, że w jesieni po zamrożeniu rzek przeszła tamtędy większa wyprawa z bagażem. Jeśli pójdę tym śladem, mogę odwalić dziennie czterdzieści do pięćdziesięciu mil. Jeśli tylko przedostanę się na drugą stronę, będę z powrotem najpóźniej za miesiąc.

— Jeśli tylko przedostaniesz się na drugą stronę. Rozumie się. Ja właśnie boję się o to przedostawanie się na drugą, stronę. No, trzymaj się ciepło, Kurzawa. I mówię ci, miej oko na te strachy. A nie wstydź się wracać, gdybyś niczego nie ubił.

II

W tydzień później Kurzawa znajdował się wśród bezładnie splątanych łańcuchów górskich, na południe od Rzeki Indiańskiej. Gdy opuścił Klondike i stanął na dziale wód, porzucił sanki i obciążył bagażem psy. Każdy z sześciu wielkich psów dźwigał pięćdziesiąt funtów. Tyleż niósł na barkach Kurzawa. Szedł miękkim śniegiem, ubijając go nartami. A za nim gęsiego z trudem biegły psy.

Pokochał to życie, głęboką zimę podbiegunową, milczące pustkowia, nieskończoną powierzchnię śniegu nie tkniętą nogą ludzką. Nad nim piętrzyły się lodowate szczyty, bezimienne i nie zaznaczone na żadnej mapie. Oko jego nie spotykało nawet dymu z obozowiska myśliwych, wznoszącego się w cichym powietrzu dolin. Sam jeden wędrował przez zamysłoną ciszę dziewiczych przestrzeni. Lecz nie przygnębiała go ta samotność. Kochał tu wszystko, trud dnia, zrące się wilczury, rozbijanie obozu podczas długiego zmierzchu, gwiazdy dygocące na wysokościach, płomienną glorię zorzy polarnej.

Najszczęśliwszy czuł się w rozbitym u schyłku dnia obozie, który chciałby utrwalić na obrazie, wiedząc zresztą, że widoku tego nigdy nie zapomni. Ubity w śniegu plac, na którym rozpałał ognisko: posłanie — para worków z zajętych futer, rozesłana na świeżo ściętych sosnowych gałęziach; namiot, płótno brezentowe, rozciągnięte tak, że chwyciło ciepło ogniska, a zarazem ochraniało przed zbytnim żarem; osmolony kociołek na kawę i wiadro stojące na podstawce z polan, suszące się nad ogniem na kijach mokasyny i zatknięte w śniegu do góry końcami narty; dokoła ognia wilczury garnące się do jego ciepła, zamysłone a czujne, kudłate, okryte szronem i przykrywające nogi puszystymi ogonami,; ze wszystkich zaś stron — odsunięty zaledwie o parę kroków mur otaczających ciemności.

W takich chwilach San Francisco, *Fala* i O'Hara — wszystko zdawało mu się bardzo odległe, pogrążone w zamierzchłej przeszłości — nie rzeczywistość, lecz cienie jakichś snów. Trudno mu było uwierzyć, że kiedykolwiek żył inaczej niż na pustyni, a jeszcze trudniej przychodziło mu pogodzić się z faktem, że kiedyś mógł brać udział w lekkomyślnym i jałowym życiu miejskiej cyganerii. Samotny, nie mając nikogo, do kogo by mógł się odezwać, myślał dużo, głęboko i po prostu.

Przerażało go teraz marnotrawstwo lat spędzonych w mieście, taniość szkolnej i książkowej filozofii, zuchwały cynizm pracowni i gabinetów wydawców, żargon spekulantów w klubach. Żaden z nich nie miał pojęcia ani o pożywieniu ani o śnie, ani o zdrowiu. Prawdopodobnie nigdy nie czuli żądła prawdziwego apetytu, błędnego bólu zmęczenia, szybkiego krążenia bujnej, oszalałej krwi, gryzącej całe ciało jak wino — kiedy dzieło zostało dokonane.

Przez cały tamten czas istniał piękny, mądry, spartański Kraj Północy, a on nic o nim nie wiedział. Dziwiło go, że mimo tak silnych wewnętrznych skłonności do tego życia nigdy nie słyszał najcichszego wewnętrznego wezwania, nigdy nie próbował nawet szukać. Ale i to zagadnienie po pewnym czasie rozwiązał.

— Uważasz, Bury, już wiem.

Pies szybkim, pojedynczym ruchem podniósł naprzód jedną przednią łapę, potem drugą, owinał je kosmatym ogonem i uśmiechnął się do niego poprzez ogień.

— Herbert Spencer miał około czterdziestu lat, kiedy wreszcie doczekał się wizji swej najbardziej owocnej działalności i zrozumiał, czego właściwie chce. U mnie przyszło to prędzej. Nie czekałem na swoją wizję nawet trzydziestu lat. Mimo wszystko, Bury, wolałbym urodzić się wilkiem i być przez całe życie waszym bratem.

Całymi dniami wędrował wśród chaosu kanionów i działów wód, nie stosujących się do żadnego rozumnego planu topograficznego. Zdawało się, że stworzył je jakiś kosmiczny żartowniś. Na próżno szukał rzeczki lub strumyka, który by naprawdę płynął na południe ku rzece Mc Question lub Stewarta. A potem zerwała się burza górską, która ogarnęła wichurą chaos wysokich i niższych

działów wód. Znajdował się ponad strefą lasów. Przez dwa dni walczył po omacku, starając się w jakiś sposób zejść trochę niżej. Drugiego dnia stanął na skraju olbrzymiego wału. Padał śnieg tak gęsty, że Kurzawa nie mógł dostrzec podnóża wału i nie śmiał nawet spróbować zejść po jego zboczu. Zawinał się w kozuchy i w głębokim śniegu zebrał dokoła siebie psy, ale nie ważył się zasnąć ani na chwilę. Rano, kiedy burza ucichła, wypełznął ze swej nory na zwiady. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że o ćwierć mili poniżej leży zamrożone i zasypane śniegiem jezioro. Z wszystkich stron okalały je poszarpane turnie. Wszystko to najzupełniej odpowiadało opisowi. Jak ślepa kura ziarnko znalazł Jezioro Niespodzianek.

— Dobrze się nazywa — mruknął, gdy stanął nad brzegiem jeziora. Całą roślinność stanowiło tu kilka starych sosen. Idąc ku nim natknął się na trzy groby zasypane śniegiem, lecz łatwe do poznania dzięki zręcznie wyciosanym krzyżom z nieczytelnymi napisami. Na skraju zarośli stała mała, na pół zbutwiała chałupa. Pchnął drzwi i wszedł. W jednym kącie chałupki na czymś, co kiedyś było posłaniem z gałązek sosnowych, dotychczas jeszcze otulony wyliniałymi, rozpadającymi się kozuchami leżał szkielet.

— Ostatni gość nad Jeziorem Niespodzianek — stwierdził Kurzawa podnosząc z ziemi bryłę złota, wielką jak dwie jego pięści. Tuż przy tej bryle leżała puszka na pieprz, pełna drobniejszych bryłek złota o nierównej powierzchni, nie zdradzającej śladu przemycania.

Wszystko się zgadzało. Kurzawa był już pewny, że złoto pochodzi z dna jeziora. Wobec tego że dostępu do dna bronił lód grubości kilku stóp, Kurzawa nie miał tu nic do roboty. W południe, stojąc znów na skraju wału, rzucał w dół pożegnalne spojrzenia.

— Wszystko w porządku, moje lube jeziorko — mówił — masz zupełną słuszość, że kryjesz się tutaj! Wróć, aby cię osuszyć — jeśli twe upiory nie złapią mnie w swe szpony. Nie wiem, w jaki sposób tu się znalazłem, ale dowiem się, kiedy będę usiłował stąd się wydostać.

III

W cztery dni później Kurzawa rozpałał ognisko w małej dolince niedaleko zamrożonego strumienia, pod błogosławionymi sosnami. Gdzieś w tej białej anarchii pozostawił za sobą Jezioro Niespodzianek — gdzie, sam nie wiedział. Albowiem stugodzinne przebijanie się przez góry i walka z oślepiającą zawieją śnieżną do tego stopnia pozbawiła go orientacji, że zupełnie już nie wiedział, w którym kierunku jezioro zostało poza nim. Było to, jak gdyby otrząsnął się z okropnego snu. Nie był pewny, czy to trwało cztery dni, czy tydzień. Sypiał z psami, przechodził przez nieskończoną ilość działów wód, szedł zakrętami dziwnie wijących się, ślepych kanionów, a przez cały ten czas dwa razy tylko zdołał rozniecić ognisko, nad którym mogło odtajać zamrożone mięso łosiowe. A oto wreszcie znalazł się tu, syty i w przytulnym obozie. Burza minęła, pogoda była jasna i zimna. Ukształtowanie kraju stało się znowu rozsądne. Jar, w którym się zatrzymał, miał wygląd naturalny i biegł, jak należało, ku południowemu zachodowi. Ale Jezioro Niespodzianek zginęło dla niego, jak zginęło dla wszystkich, którzy szukali go przed nim.

Po południowej wędrówce brzegiem rzeczki płynącej jarem znalazł się w dolinie większej rzeki, którą uznał za Mc Question. Tu ubił łosia i znowu każdy jego wilczur dźwigał na grzbiecie pełnych pięćdziesiąt funtów mięsa. Ruszył w dół Mc Question i natrafił na drogę wyjeżdżoną przez sanki. Późniejsze śniegi przysypały ją nieco, pod spodem jednak szlak był dobrze ubity. Kurzawa wywnioskował stąd, że nad rzeką Mc Question leżą dwa obozy, które łączy ta droga. Widocznie odnaleziono Dwie Chaty i gdzieś tutaj milsi znajdować się niżej położone osiedle. Wobec tego ruszył w dół rzeki.

Było czterdzieści stopni poniżej zera, kiedy rozbijał obóz. Zасыpiając myślał wciąż, co to za ludzie odszukali Dwie Chaty i czy jutro dostanie się do nich. Z pierwszym brzaskiem był już w drodze, z łatwością posuwając się na pół zasypaną drogą i ubijając świeży śnieg nartami, aby psy się w nim nie zapadały.

A potem przyszło nieoczekiwane — skoczyło nań z brzegu rzeki. Zdawało mu się, jak gdyby słyszał i czuł równocześnie. Z prawej strony doleciał trzask wystrzału karabinowego, a równocześnie pocisk przeszył na plecach jego kurtkę i wełniany kaftan. Siła uderzenia aż nim określiła. Kurzawa zatoczył się na swych spętanych nartach, starając się odzyskać równowagę. W tej chwili usłyszał drugi wystrzał. Tym razem było to pudło. Nie czekał dłużej, lecz skoczył przez śnieg ku rosnącym o paręset kroków nad brzegiem jaru drzewom, za którymi można się było ukryć. Karabin trząsknął raz po raz. Kurzawa z wielką przykrością zauważył, że coś ciepłego cieknie mu wzdłuż pleców. Wydrapał się na brzeg, wlokąc za sobą opierające się psy, i ukrył się wśród drzew i krzaków. Odpiął narty, wyciągnął się jak długi, popęzł naprzód i ostrożnie wystawił głowę. Nikogo nie było. widać. Ten, kto do niego strzelał, leżał spokojnie między drzewami, na drugim brzegu rzeki.

— Jeżeli zaraz coś się nie zdarzy — mruknął po pół godzinie — będę musiał albo zemknąć i rozpalić gdzieś ogień, albo też odmrozić sobie nogi. Bury, cóż byś ty zrobił leżąc tak na mrozie z zamierającym obiegiem krwi i mając naprzeciw siebie człowieka, który chce cię ukatrupić?

Popęzł kilka łokci wstecz, uderzył śnieg, zatańczył trepaka, który pchnął falę krwi w jego stopy, i starał się wytrzymać jeszcze pół godziny. Wówczas usłyszał dolatujący z rzeki zupełnie wyraźny brzęk psich dzwonek. Wychylił się i ujrzał na zakręcie sanki.

Szedł przy nich jeden jedyny człowiek. Pchał hamowidło i poganiał psy. Na Kurzawie widok ten sprawił wstrząsające wrażenie, bo był to pierwszy człowiek, jakiego ujrzał po trzech tygodniach od chwili rozstania się z Krótkim. Ale natychmiast wrócił myślą do podstępnego mordercy, ukrytego na drugim brzegu rzeki.

Nie pokazując się, gwizdnął ostrzegawczo. Człowiek przy sankach nie usłyszał i w dalszym ciągu szybko się zbliżał. Kurzawa gwizdnął drugi raz, jeszcze głośniejszym. Nieznajomy krzyknął na psy, stanął i zwrócił się twarzą ku Kurzawie, gdy nagle znów rozległ się wystrzał z karabinu. W chwilę później Kurzawa wypalił w zarośla, w kierunku strzału.

Kula z drugiego brzegu trafiła człowieka na rzece. Zachwiał się i zatoczył niezgrabnie ku sankom. Słaniając się wyjął spod siedzenia karabin. Gdy usiłował przyłożyć go do ramienia, złapał się nagle za brzuch i powoli — jakby siadając — osunął się na sanki. Naraz jego strzelba wypaliła w powietrze, on sam zaś zwałił się w tył przez leżący na sankach bagaż, tak że Kurzawa ujrzał tylko jego nogi i brzuch.

Z dołu dolatywał brzęk większej ilości dzwonek. Człowiek już się nie ruszał. Z za zakrętu wyjechało troje sanek, przy których szło sześciu mężczyzn. Kurzawa zawołał na nich, aby ich ostrzec, oni jednak zauważyli, co się stało z pierwszymi saniami, i czym prędzej ku nim poskoczyli. Strzały z drugiego brzegu już nie padały, wobec czego Kurzawa krzyknął na swe psy i wyszedł z ukrycia. Na jego widok rozległy się okrzyki, a dwóch mężczyzn, ściągając z prawych rąk rękawice, wzięło go na cel.

— Chodź no tu, ty krwawy morderco! — zawołał jeden z nich, czarnobrody mężczyzna. — I rzuć mi natychmiast karabin w śnieg.

Kurzawa zawahał się, po czym rzucił karabin i poszedł ku nim.

— Louis, idź, zrewiduj go i odbierz mu broń — rozkazywał w dalszym ciągu Czarnobrody.

Louis — kanadyjski Francuz (pomyślał Kurzawa) podobnie jak i czterech jego towarzysze — wypełnił rozkaz. Zrewidował Kurzawę i znalazł przy nim nóż myśliwski, który mu. natychmiast

odebrał.

— A teraz cóż powiecie na swoją obronę, nieznajomy człowieku? — zapytał Czarnobrody.

— Że jesteście w błędzie, jeśli sądzicie, że to ja zabiłem tego człowieka — odpowiedział Kurzawa.

Jeden z podróżnych nagle krzyknął. Przyglądając się ścieżce, znalazł ślady Kurzawy w miejscu, gdzie on szukał schronienia na brzegu. Natychmiast podzielił się tym spostrzeżeniem z towarzyszami.

— Dlaczego zabiliście Joye Kinade'a? — zapytał Czarnobrody.

— Mówiłem wam, że to nie ja — zaczął Kurzawa.

— E, nie zawracajcie głowy. Złapaliśmy was na gorącym uczynku. Na prawo od tego miejsca zjechaliście z drogi słysząc, że ktoś nadjeżdża. Zaczailiście się za drzewami i zamordowaliście go skrytobójczo. Strzał na krótki dystans. Nie mogliście chybić. Pierre, idź i przynieś jego strzelbę.

— Może byście pozwolili mi powiedzieć, jak to było — zauważył Kurzawa.

— Stulcie pysk — syknął Czarnobrody. — Moim zdaniem całą historię opowie najlepiej wasz karabin.

Wszyscy przyglądali się karabinowi Kurzawy, wyrzucali i liczyli naboje, badali zamek, i wylot lufy.

— Jeden strzał — oświadczył Czarnobrody.

Pierre, nozdrzami drżącymi i rozszerzonymi jak u jelenia, wachał zamek.

— Tu niedawno strzelano — rzekł łamaną angielszczyzną.

— Kula trafiła go z tyłu — powiedział Kurzawa — a on był wtedy zwrócony twarzą do mnie. Sami widzicie, że strzał padł z drugiego brzegu rzeki.

Po chwili namysłu Czarnobrody potrząsnął głową.

— Bzdury, to się wam nie uda. Właśnie kiedy był zwrócony twarzą ku tamtemu brzegowi rzeki, wyście do niego strzelili z tyłu. Chłopcy, skocz no który drogą tam i z powrotem. Zobaczcie, czy są tam jakie ślady, które by prowadziły na drugi brzeg rzeki.

Kiedy wrócili, zameldowali, że żadne ślady nie prowadziły na drugą stronę rzeki. Nawet zając tam nie przebiegł. Czarnobrody pochylił się nad trupem i nagle się wyprostował. Trzymał w ręku kłak z wełny i futra. Rozwinąwszy go, wyjął pocisk, który przeszył ciało. Spłaszczony koniec był wielkości pół dolara, dalej jednak pocisk, osłonięty stalowym płaszczem, był nie uszkodzony. Czarnobrody porównał go z nabojem wyciągniętym z pasa Kurzawy.

— To najzupełniej wystarczy, aby przekonać nawet ślepego, nieznajomy człowieku. Ten pocisk ma koniec zaokrąglony i stalowy płaszcz. Wasz pocisk ma koniec zaokrąglony i stalowy płaszcz. Ten pocisk ma kaliber 33, wasz pocisk ma kaliber 33. Ten pocisk pochodzi z fabryki J. i T. Arms-Company i wasz pocisk został zrobiony w fabryce J. i T. Arms-Company. A teraz pójdziecie z nami na brzeg, byśmy mogli zobaczyć, jak się to wszystko stało.

— Powtarzam wam, że to do mnie ktoś strzelał zza krzaka — rzekł Kurzawa. — Przyjrzyjcie się dziurze w mej kurtce.

Kiedy Czarnobrody zajęty był badaniem tej dziury, jeden z podróżnych otworzył zamek karabinu zabitego. Było oczywiste, że z tego karabinu padł jeden strzał. Łuska wystrzelonego naboju tkwiła w lufie.

— Wielka szkoda, że biedny Joye chybił — rzekł Czarnobrody z goryczą. — Ale przynajmniej zgrabnie wywiercił wam dziurę, bardzo podobną do tej, którą wyście w nim zrobili. Chodźcie.

— Przeszukajcie najpierw drugi brzeg — nastawał Kurzawa.

— Stulcie pysk i chodźcie! Niech mówią fakty.

Zeszli z drogi w tym samym miejscu co on i szli jego śladem w górę rzeki aż ku drzewom.

— Tu tańczył, żeby sobie rozgrzać nogi — pokazywał

Louis. — Na tym miejscu czołgał się na brzuchu. Tu oparł się na łokciu do strzału.

— Na Boga, tu leży łuska wystrzelonego naboju, którym go zabił!—zrobił nagle odkrycie Czarnobrody.— Chłopcy, pozostaje nam do zrobienia tylko jedno...

— Moglibyście mnie zapytać, w jaki sposób doszło do tego strzału — przerwał Kurzawa.

— Mógłbym wam wybić wszystkie zęby, jeśli jeszcze raz otworzycie gębę. Przyjdzie czas odpowiedzi na pytania. Słuchajcie, chłopcy, jesteśmy ludźmi przyzwoitymi, szanujemy prawo i załatwimy tę sprawę jak należy. Pierre, jak daleko jesteście?

— Zdaje mi się, że co najmniej dwadzieścia mil.

— Dobra. Zabierzemy ten bagaż i odwieziemy tego tu i biednego Joye z powrotem do Dwóch Chat. Sądzę, że widzieliśmy wszystko, co trzeba, i spokojnie możemy zaświadczyć, że należy mu się stryczek.

IV

W trzy godziny po zapadnięciu ciemności trup, Kurzawa i ludzie, którzy go ujęli, przybyli do Dwóch Chat. Przy świetle gwiazd Kurzawa zauważył z tuzin, a może i więcej świeżo zbudowanych chat otaczających starą chałupę, która stała na równinie, niedaleko brzegu rzeki. Wepchnięty do tej chałupy, dowiedział się, że zajmuje ją jakiś młody olbrzym, jego żona i ślepy starzec. Żoneczka, którą jej małżonek nazywał Lucy, była rosłą, typową kobietą z pogranicza. Starzec, jak się Kurzawa później dowiedział, był przez długi czas traperem nad rzeką Stewarta i ośleplł ostatecznie zeszłej zimy. powiedział się również, że osada Dwóch Chat powstała, ostatniej jesieni dzięki tuzinowi ludzi, którzy przybyli tu w sześciu czółnach, naładowanych żywnością. W pobliżu Dwóch Chat odnaleźli ślepego traperę i dokoła jego chaty pobudowali swoje. Późniejsi przybysze przyjechali psimi zaprzęgami po łodzie i potroili ilość, mieszkańców. W osadzie była wielka obfitość mięsa, a oprócz tego odkryto pokłady złotego żwiru, który przepłukiwano.

W ciągu pięciu minut wszyscy mieszkańcy Dwóch Chat stłoczyli się w izbie. Kurzawa, wepchnięty w kąt izby, ignorowany lub też mierzony groźnymi spojrzeniami, z rękami i nogami skrępowanymi rzemieniami z łosiowej skóry, przyglądał się mieszkańcom osady. Naliczył trzydziestu ośmiu ludzi, na pół zdziczałych i groźnych, przeważnie pograniczników z granic Stanów Zjednoczonych lub też włóczęgów z Górnej Kanady. Ludzie, którzy go ujęli, bez przerwy powtarzali swą opowieść, a dokoła każdego z nich zebrała się grupa podnieconych i gniewnych słuchaczy. Odezwały się głosy: — Zlinczować go natychmiast, na co czekać? — a kiedy jakiś olbrzymi Irlandczyk chciał się rzucić na Kurzawę i zbić go, trzeba było użyć siły, aby go powstrzymać.

Licząc tych ludzi Kurzawa zauważył znajomą twarz. Był to Breck, człowieka, którego łódź przewiózł swego czasu przez wiry. Dziwił się, dlaczego Breck nie zbliża się do niego i nic nie mówi. Sam jednak udawał, że go nie poznaje. Dopiero kiedy Breck, zasłoniwszy sobie twarz, skinął na niego znacząco, Kurzawa zrozumiał.

Czarnobrody, którego nazywano Hardingiem, zakończył swe przemówienie pytaniem, czy jeńca należy zlinczować natychmiast, czy nie.

— Zaczekajcie chwilę! — ryczał Harding. — Nie zakasujcie za wcześnie rękawów. Ten człowiek należy do mnie. Ja go złapałem i ja go tu przywiozłem. Czy myślicie, że wlokłem go tu całą drogę po to, by go zlinczowano? Ani mi się śni. To bym potrafił zrobić sam, kiedy go złapałem. Przywiozłem go tu po to, aby wydano na niego sprawiedliwy i bezstronny wyrok, i do pioruna, musi być wydany wyrok sprawiedliwy i bezstronny. On sam jest skrępowany, zdrów i nic mu nie grozi. Przywiążcie go do ławki i niech tak leży do rana, póki nie zrobimy nad nim sądu.

Kurzawa zbudził się. Leżał odwrócony do ściany i lodowato zimny strumień powietrza świdrował mu ramię. Gdy go przywiązywano do ławki, nie było jeszcze takiego przeciągu. Teraz prąd powietrza z zewnątrz, wciskając się w rozgrzaną atmosferę chaty z ciśnieniem pięćdziesięciu stopni poniżej zera, był wyraźną wskazówką, że ktoś wydłubał mech służący jako spoidło między belkami. Kurzawa przysunął się tak blisko, jak tylko mu na to pozwalały więzy, i wyciągnawszy szyję jak mógł najdalej, przytknął usta do szpary.

— Kto to? — szepnął.

— Breck — brzmiała odpowiedź. — Uważajcie, żebyście nie narobili hałasu. Dam wam nóż.

— Po co? — odpowiedział Kurzawa. — Nie mógłbym go użyć. Mam ręce skrępowane na plecach i przywiązane do ławy. Poza tym nóż przez tę szparę nie przejdzie. Ale trzeba coś zrobić. Widzę, że te draby chcą mnie powiesić, a chyba nie przypuszczacie, że zabiłem tego człowieka.

— Szkoda każdego słowa, Kurzawa. Gdybyście nawet zabili, to mielibyście po temu swoje powody. Zresztą mniejsza z tym. Chcę was stąd wydobyć. To ludzie zupełnie dzicy. Samiście widzieli. Żyjąc w tej dziurze zabitej deskami, sami ustanawiają i wykonują swe prawa. Na zgromadzeniach górników, rozumiecie? Już dwóch ludzi skazali na śmierć — obaj kradli żywność. Jednego wygnali z obozu bez uncji żywności i zapalek. Zrobił jakieś czterdzieści mil i męczył się kilka dni, aż wreszcie zamarł na śmierć. Przed dwoma tygodniami złapali na kradzieży drugiego człowieka. Dali mu do wyboru: albo ani odrobiny żywności, albo dziesięć kijów za każdą rację dzienną. Gdy otrzymał czterdzieści kijów, uciekł. A teraz złapali was i wszyscy są pewni, że to wy zabiliście Kinade'a.

— Zabójca Kinade'a strzelał też i do mnie. Jego kula drasnęła mnie w łopatkę. Namówcie ich, żeby odłożyli rozprawę i żeby ktoś poszedł przeszukać drugi brzeg, gdzie ukrył się morderca.

— Nie ma sensu, im wystarczy zeznania Hardinga i pięciu Francuzów, którzy mu towarzyszyli. Chodzi o to, że nikogo jeszcze nie powiesili i palą się do tego. Widzicie, żyło się. tu dotychczas bardzo monotennie. Nic nadzwyczajnego nie zrobili, a wieczne poszukiwania Jeziora Niespodzianek już im się sprzykrzyły. Z początkiem zimy wzięli udział w biegu po działą, ale teraz i tego im się nie chce. Na dobitkę zaczyna się pojawiać skorbut, tak że w tej chwili niewiele brakuje, aby krew uderzyła im do głowy.

— I jak się zdaje, ja mam być iskrą, która ten pożar wywoła — odezwał się na to Kurzawa. — Słuchajcie, Breck, jak mogliście przystać do tej przeklętej bandy?

— Kiedy wyeksploatowałem działą w Squaw Creek, znalazłem kilku robotników i jadąc brzegiem rzeki Stewarta w poszukiwaniu Dwóch Chat, dotarłem tutaj. Uprzedzili mnie, wobec czego udałem się w górę rzeki Stewarta. Właśnie wczoraj wróciłem, bo żywność mi się skończyła. — Znaleźliście co?

— Nic nadzwyczajnego. Zdaje mi się jednak, że wpadłem na niezły pomysł, który może dać sporo grosza, jak się zacznie eksploatacja kraju. Płuczka złota.

— Zaraz — przerwał Kurzawa — zaczekajcie chwilę. Pozwólcie mi pomyśleć!

Przysłuchując się potężnemu chrapaniu śpiących w chacie ludzi, zastanawiał się nad myślą, która mu przemknęła przez głowę.

— Słuchajcie, Breck. Czy oni otworzyli wszystkie paczki z mięsem, które niosły moje psy?

— Kilka, byłem przy tym. Schowali je w skrytce Hardinga. — Co znaleźli?

— Mięso. — To dobrze. Poszukajcie paczki zawiniętej w brązowe

plótno żaglowe z łata z nie wyprawionej skóry łosiowej. Znajdziecie tam kilka funtów szczerego złota. Ani wy, ani w ogóle nikt takiego złota w tych stronach nie widział. A teraz będziecie musieli zrobić tak. Słuchajcie...

W kwadrans później Breck odszedł dobrze poinformowany. Stękał tylko, że odmroził sobie palce u nóg. Kurzawa, który przysunął się zbyt blisko do szpary, odmroził sobie nos i jeden policzek. Tarł je pół godziny o koc, dopóki piekący ból powracającej krwi nie przekonał go, że jest cały i zdrow.

VI

— Mój pogląd na tę sprawę jest zupełnie jasny. Że to on zabił Kinade'a — nie ulega najmniejszej wątpliwości. Nie wiemy tylko z jakiego powodu. Wczoraj wieczorem słyszeliśmy całą historię. Po co znów zaczynać od początku. Ja głosuję — winien.

W taki sposób zaczęła się rozprawa Kurzawy. Mówca, wysoki, chudy, kościsty człowiek z Colorado, okazał niezadowolenie, a nawet rozdrażnienie, kiedy Harding sprzeciwił się jego wnioskowi, zażądał, aby rozprawa odbyła się według wszelkich prawideł, i mianował przewodniczącym sądu niejakiego Shunka Wilsona. Mieszkańcy Dwóch Chat zorganizowali się w trybunał sędziów przysięgłych z tym tylko wyjątkiem, że Lucy odmówiono prawa głosowania w sprawie, czy Kurzawa jest winien czy nie winien.

Kiedy się to działo, Kurzawa siedząc na ławie w kącie izby usłyszał prowadzoną szeptem rozmowę między Breckiem a jednym z górników.

— Nie sprzedalibyście pięćdziesięciu funtów mąki? — spytał Breck.

— Nie macie dość piasku, by zapłacić tyle, ile bym zażądał.

— Dam wam dwieście.

Potrząsnął przecząco głową.

— Trzysta, trzysta pięćdziesiąt.

Zgodzili się na czterysta. Górnik skinął głową i rzekł:

— Chodźcie do mnie, odważymy złoto, Zwolna przecisnęli się przez ciżbę i wymknęli się z chaty.

Po kilku minutach Breck wrócił sam.

Właśnie Harding składał swe zeznania, kiedy Kurzawa, ujrzał, jak drzwi pomału się uchylają i w otworze pojawia się twarz górnika, który sprzedał Breckowi mąkę. Człowiek ten zaczął robić różne miny i gwałtownie kiwał na kogoś w izbie. Ten ktoś siedział przy piecu. Wstał teraz i zaczął się przeciskać przez tłum ku drzwiom.

— Dokąd, Sam? — zapytał Shunk Wilson.

— Zaraz wrócę — odpowiedział Sam. — Muszę wyjść.

Kurzawie pozwolono zadać świadkom parę pytań i właśnie Harding znajdował się w krzyżowym ogniu pytań, kiedy z zewnątrz doleciało skomlenie psów w uprząży oraz chrzęst śniegu i zgrzyt płozów. Ktoś znajdujący się niedaleko drzwi wyjrzał na dwór.

— To Sam i jego wspólnik pełnym psim zaprzęgiem jadą ku rzece Stewarta — oznajmił człowiek przy drzwiach.

Przez pół minuty panowało milczenie, podczas którego zgromadzeni znacząco spoglądali po sobie. Ogólne podniecenie ogarnęło zebranie. Kurzawa patrząc spod oka ujrzał, jak Breck, Lucy i jej mąż coś między sobą szepczą.

— No dalej — szorstko odezwał się Shunk Wilson do Kurzawy. — Skończcie z tymi pytaniami. Wiemy, co staracie się udowodnić, mianowicie, że nie przeszukano drugiego brzegu. Świadczenie

potwierdzają to, my również temu nie przeczymy. Dochodzenie było zbyteczne. Ani jeden ślad nie prowadził na drugi brzeg.

— A jednak mimo wszystko na drugim brzegu był ktoś — obstawał Kurzawa.

— Na tym daleko nie zajedziecie, młody człowieku. Me jest nas tu zbyt dużo nad Mc Question i z łatwością możemy się policzyć.

— A kogoście to wygnali przed dwoma tygodniami z obozu? — zapytał Kurzawa.

— To był Alonzo Miramar, Meksykanin. Cóż wspólnego z tym wszystkim ma ten złodziej żywności?

— Nic, panie sędzio, wyjąwszy to, że jego nie wzięliście w rachubę.

— On poszedł w dół rzeki, nie w górę.

— A skąd wiecie, dokąd poszedł?

— Widziałem, jak stąd wyszedł.

— I to wszystko, co o nim wiecie?

— Wcale nie, młody człowieku, wiem, zresztą my wszyscy wiemy, że miał żywność tylko na cztery dni, a nie miał strzelby, aby coś upolować. Jeśli się nie dostał do jakiejś osady nad Yukonem, z pewnością dawno już odwalił kitę.

— Zdawałoby się, że policzyliście w tym kraju nie tylko wszystkich ludzi, ale i wszystkie strzelby — złośliwie zauważył Kurzawa.

Shunk Wilson wpadł w gniew.

— A mnie się zdaje, że wy mnie uważacie za oskarżonego, skoro śmiecie zadawać takie pytania. Następny świadek. Gdzie jest French Louis?

Kiedy French Louis przedzierał się ku przodowi, Lucy otworzyła drzwi.

— Dokąd? — krzyknął Shunk Wilson.

— Zdaje mi się, że nie mam tu chyba nic do roboty — odpowiedziała Lucy lekceważąco. — Głosować i tak nie mogę, a izba jest tak natłoczona, że tchu nie można złapać.

W kilka minut później wyszedł za nią jej mąż.

Odgłos zatrzaśniętych drzwi był dla sędziego pierwszym ostrzeżeniem, że coś się święci.

— Kto to był? — zapytał przerywając opowiadanie Pierre'a.

— Bill Peabody! — krzyknął ktoś — Powiedział, że musi o coś zapytać żonę i że zaraz wróci.

Zamiast Billa wróciła Lucy i zrzuciwszy kozuch zajęła swe dawne miejsce przy piecu.

— Moim zdaniem, możemy zrezygnować z przesłuchania pozostałych świadków — zdecydował Shunk Wilson, kiedy Pierre skończył. — Wiemy, że dalsi świadkowie mogą tylko potwierdzić to wszystko, cośmy dotychczas słyszeli. Słuchajcie, Sorensen, idźcie i przyprowadźcie tu Billa Peabody. Zaraz poddamy pod głosowanie wyrok. A teraz wy, nieznamy, możecie wstać i powiedzieć, co chcecie, o tym wszystkim. My zaś, korzystając z tego, nie zmarnujemy czasu, lecz kolejno obejrzymy sobie obie strzelby, amunicję i kule, które spowodowały śmierć.

W połowie opowiadania, jak się dostał w te strony, i właśnie w chwili, kiedy opisywał, jak do niego strzelano z zasadki i jak się schronił na brzeg, oburzony Shunk Wilson przerwał Kurzawie:

— Młody człowieku, przecież takie zeznania nie mają żadnego sensu, to jest tylko marnowanie drogiego czasu. Prawda, wy macie prawo łąć, aby się wykręcić od stryczka, ale nam ani w głowie słuchać takich głupstw. Strzelba, amunicja, kula, która zabiła Joye Kinade'a — Wszystko świadczy przeciw wam. Co to takiego, znów ktoś wychodzi?

Wdarł się mróz, nabierając kształtów i substancji w ciepłej izbie, podczas gdy zza okien doleciało szybko oddalające się skomlenie psów.

— To Sorensen i Peabody — krzyknął ktoś. — Grzmocą psy ile wlezie i lecą w dół rzeki.

— Co do diabła? — przerwał Shunk Wilson i z otwartymi ze zdumienia ustami patrzył chwilę na Lucy.

— Moim zdaniem, chyba pani Peabody może nam to wytłumaczyć.

Lucy potrząsnęła przecząco głową i zacisnęła wargi, wobec czego gniewne i nieufne spojrzenie Shunka Wilsona zsunęło się na Brecka i zawisło na nim.

— Moim zdaniem, ten nowoprzybyły, z którym się pani zadaje, mógłby nam to wyjaśnić, gdyby chciał.

Breck, zakłopotany, spostrzegł, że wszystkie oczy zwrócone są ku niemu.

— Sam coś z nim motał przed odjazdem! — ktoś krzyknął.

— Słuchajcie, panie Breck! — mówił w dalszym ciągu Shunk Wilson. — Spowodowaliście przerwę w procesie i teraz musicie się wytłumaczyć. Czego się tu kręcicie?

Breck chrząknął bojaźliwie i odpowiedział: — Próbowałem tylko, czy nie mógłbym dostać trochę żywności.

— Niby za co?

— Oczywiście za złoty piasek.

— A skądżeście go wzięli? Breck nie odpowiedział.

— On się włóczył nad górnym brzegiem Stewarta — zawołał któryś z mężczyzn. — Spotkałem go przed tygodniem, kiedy byłem na polowaniu, i muszę wam powiedzieć, że już wtedy wyraźnie z czymś się krył.

— Ten piasek nie jest stamtąd — odezwał się Breck. — Ja badałem tam tylko warunki dotyczące pewnego sposobu płukania piasku.

— Przynieście tu swoje sakwy i pokażcie swój piasek — rozkazał Wilson.

— Mówię wam jeszcze raz, że ten piasek nie jest stamtąd.

— Niech będzie, pokażcie go!

Breck udawał, że się wzdraga, jednakże otaczające go twarze były groźne. Wobec tego ociągając się zaczął szukać w kieszeni swego kaftana, Kiedy wyciągał z niej blaszaną puszkę na pieprz, zawadził o coś, co było niewątpliwie twardym przedmiotem.

— Wyjmijcie wszystko! — huknął Shunk Wilson.

A wtenczas ujrzał światło dzienne jeden złoty kamuszek pierwszej klasy, żółty, złoto, jakiego nikt jeszcze nie widział. Shunk Wilson otworzył szeroko oczy ze zdumienia. Sześciu sędziów przysięgłych, rzuciwszy okiem na te skarby, skierowało się ku drzwiom. Stanęli w nich równocześnie. Klnąc i potrącając się, wysypali się za drzwi. Sędzia wytrząsnął na stół zawartość puszek. Na widok kanciastych brył szczerego złota znowu kilkunastu ludzi kropnęło się do drzwi.

— Dokąd? — zapytał Eli Harding, kiedy Shunk rzucił się za nimi.

— Rozumie się — po psy. — Więc nie powiesicie go?

— Teraz nie ma na to czasu. Niech poczeka, aż wrócimy. Posiedzenie, moim zdaniem, należy odroczyć. Nie czas na marudzenie.

Harding zawahał się. Rzucił wściekle spojrzenie na Kurzawę. Równocześnie jednak zauważył Pierre'a kiwającego od drzwi na Louisa. Popatrzył jeszcze raz na złoto leżące na stole i powziął postanowienie.

— Ucieczka na nic się nie zda! — rzucił Kurzawie przez ramię. — Zwłaszcza, że ja pożyczę sobie od was psy.

— A tam co się dzieje? Może znowu jedna z tych przeklętych gonitw? — zapytał stary traper kłótliwym i płaczkliwym falsetem, gdy krzyki mężczyzn i skomlenie psów zmąciły ciszę izby.

— Rozumie się — odpowiedziała Lucy. — W życiu swoim nie widziałam takiego złota.

Pomacajcie, dziadku.

Starzec wziął do ręki wielką bryłę. Wcale nie był zachwycony.

— Kiedyś, zanim ci opętani górnicy tu przyszli i zaczęli płoszyć zwierzynę — skarżył się — był to kraj, w którym można było upolować mnóstwo futer.

Drzwi otwarły się naraz i do izby wszedł Breck.

— Doskonale! — rzekł. — Nas czworo, oto wszystko, co zostało w obozie. Moimi śladami zajadą czterdzieści mil w górę Stewarta, a przy największym pośpiechu nie będą mogli wrócić z tej okężnej wycieczki prędzej jak za pięć do sześciu dni. Ale mimo to, Kurzawa, ostatni czas, byście ruszyli w drogę.

Breck przyłożył swój nóż myśliwski do więzów podsądnego.

— Przypuszczam, że pani nie będzie miała nic przeciwko temu — rzekł z wyszukaną grzecznością.

— Jeśli ma się tu znowu odbyć jakaś strzelanina, to chciałbym, aby mnie kto przedtem odprowadził do innej chałupy — wtrącił ślepy.

— Róbcie swoje i nie krępujcie się moją osobą — odparła Lucy — Jeśli nie zasługuję na to, aby głosować za powieszeniem człowieka, nie mam prawa go zatrzymywać.

Kurzawa wstał rozcierając przeguby w miejscach, w których więzy zatamowały obieg krwi.

— Wszystko dla was przygotowałem — mówił Breck. — Żywność na dziesięć dni, koce, zapaliki, tytoń, siekierę i karabin.

— Idźcie — dodawała mu ducha Lucy. — Schrońcie się w górach, nieznajomy człowieku, i niech Bóg was prowadzi.

— Zanim odejdę, chciałbym się porządnie najeść — odpowiedział Kurzawa — a kiedy stąd wyruszę, wiedźcie, że pojedę w górę rzeki Mc Question, a nie w dół. I chciałbym, Breck, żebyście pojechali razem ze mną Musimy na drugim brzegu rzeki odszukać tego człowieka, który naprawdę dopuścił się morderstwa.

— A ja wam mówię, posłuchajcie lepiej mojej rady i sypcie z biegiem Stewarta ku Yukonowi — sprzeciwił się Breck. — Kiedy ta banda wróci z pustymi rękami, będzie wściekła.

Kurzawa roześmiał się.

— Breck, nie mogę teraz opuścić tych stron, znalazłem tu parę interesów. Muszę tu na jakiś czas się osiedlić i popracować. Wszystko mi jedno, uwierzycie czy nie, ja rzeczywiście znalazłem Jezioro Niespodzianek. Właśnie stamtąd jest to złoto. A poza tym zabrali mi moje psy, muszę poczekać, aż mi oddadzą. Wiem, co robię. Na pewno ktoś się ukrywał na drugim brzegu rzeki. Prawie cały magazyn do mnie wystrzelał.

Kiedy w pół godziny później siedział nad wielkim talerzem, na którym leżał stek z łosia, i właśnie podnosił do ust garnek kawy, nagle zerwał się z krzesła. Potem usłyszał brzęk dzwonek. Lucy otworzyła drzwi na oścież.

— Halo, Spike, halo, Methody! — witała dwóch okrytych szronem mężczyzn pochylonych nad jakimś brzemieniem, leżącym na sankach.

— Wracamy prosto z Górnego Obozu — rzekł jeden z nich, kiedy wtoczyli się do izby z jakimś owiniętym w kozuch przedmiotem, który dźwigali z niezwykłą ostrożnością. — Oto cośmy po drodze znaleźli.

— Zanieście go tu, do tej komórki — wskazała Lucy. Pochyliła się i odgarnęła kozuch, z którego wynurzyła się twarz składająca się głównie z wielkich, wytrzeszczonych, czarnych oczu i brązowej skóry zżartej do cna przez mróz i ściśle przylegającej do kości, — Przecież to Alonzo! — zawołała. — Biedny zagłodzony wariacie.

— Oto człowiek z drugiego brzegu rzeki — mruknął Kurzawa do Brecka.

— Znaleźliśmy go plądrującego schowek , który prawdopodobnie zrobił sobie Harding — tłumaczył jeden z nowoprzybyłych. — Żarł surową mąkę i zamarznąłą wędzonkę. Jakiś go złapali, krzyczał i piszczał jak jastrząb. Spójrzcie tylko na niego. Jest zagłodzony i na pół zamarznąły. Kipnie lada chwila.

W pół godziny później, kiedy naciągnięto kozuch na nieruchomy kształt w komórce, Kurzawa zwrócił się do Lucy:

— Pani Peabody! Jeśli pani nie weźmie mi tego za złe, chętnie bym wsunął jeszcze jeden taki stek. Tylko proszę jeśli łaska, żeby był grubszy i nie tak wysmażony.

GONITWA O NUMER PIERWSZY

I

— Ha! Wkładaj że te pyszne łachy!

Krótki przyglądał się swemu współnikowi z udaną niechęcią, a poirytowany Kurzawa na próżno wyglądał fałdy na spodniach, które właśnie był włożył.

— Jak na ubranie kupione z drugiej ręki — mówił dalej Krótki — leży dobrze. Co zapłaciłeś?

— Sto pięćdziesiąt — odpowiedział Kurzawa. — Ten człowiek był prawie mego wzrostu. Myślałem, że robię dobry interes. Czego tak łazisz dokoła mnie?

— Kto? Ja? Ani mi w głowie. Myślałem tylko o pewnym: pożeraczu mięsa, który przyjechał do Dawson na krze lodowej, bez żywności, w jednym komplecie bielizny, w parze podartych mokasynów i w ubraniu, które wyglądało, jakby przeszło katastrofę „Hesperusa”. Byczo wyglądasz, luby współniku, byczo!

— Cóż jeszcze? — zapytał cierpliwie Kurzawa.

— Jak jej na imię?

— Tu nie ma żadnej „jej”, mój kochany! Jeśliś ciekaw, to dowiedz się, że jestem zaproszony na obiad do pułkownika. Bowie. Sęk w tym, mój Krótki, że mi zazdrościsz, bo będę dziś w wytwornym towarzystwie, a ciebie nie zaproszono

— Nie spóźnisz się? — zapytał ironicznie Krótki. — Cóż to znaczy?

— Pytam, czy się nie spóźnisz na obiad. Zdaje mi się, że jak tam przyjdiesz, będą już siedzieli przy stole.

Kurzawa, siląc się na złośliwości, zaczął mu coś tłumaczyć, kiedy naraz zauważył ironiczny błysk w jego oczach. Wobec tego ubierał się dalej, zgrubiałymi palcami z trudem zawiązując krawat na kołnierzu miękkiej, wełnianej koszuli

— Żałuję bardzo, że właśnie niedawno posłałem do pralni wszystkie swoje koszule z twardym gorsem — mruknął Krótki ze współczuciem. — Chętnie bym ci służył.

Tymczasem Kurzawa mocował się z parą trzewików. Nie mógł ich włożyć, bo wełniane skarpetki były za grube. Spojrzał błagalnie na Krótkiego, ten jednak potrząsnął przecząco głową.

— Nic z tego, nawet gdybym miał cienkie skarpetki, nie pożyczylbym ci. Wracaj do mokasynów, współniku. Odmroziś sobie palce nóg w takim lekkim obuwiu.

— Kupiłem je z drugiej ręki za piętnaście dolarów.

— Zdaje mi się, że tam wszyscy będą w mokasynach.

— Ależ tam będą także panie, Krótki. Będę musiał się i jeść razem z prawdziwymi, żywymi paniami — z panią Bowie i jakimiś innymi jeszcze. Sam pułkownik mi to powiedział.

— Wielkie rzeczy, mokasyny apetytu im nie odbiorą — twierdził Krótki. — Ciekaw jestem, czego pułkownik od ciebie chce?

— Nie wiem. Musiał coś słyszeć o tym, że odnalazłem Jezioro Niespodzianek. Spuścić je — to fortuna. Guggenheimowie chcą dać pieniądze na tę imprezę.

— Moim zdaniem o to idzie. Zupełnie słusznie, bierz mokasyny. Słuchaj, to ubranie jest trochę zmięte i odrobinę za ciasne na ciebie. Nie obżeraj się zanadto. Jak zaczniesz jeść, z pewnością trzaśnie. Jakby która z tych bab upuściła chusteczkę, zostaw, niech leży. Nie schylaj się. W ogóle zapamiętaj sobie, cokolwiek byś chciał robić — nie rób tego.

II

Jak przystało na doskonale opłacanego eksperta i przedstawiciela wielkiej firmy Guggenheimów, pułkownik Bo wie mieszkał w jednym z najwspanialszych domów Dawson. Dom ten, zbudowany z ręcznie ciosanych belek, był tak ogromny, że znajdował się w nim wielki salon, który naprawdę służył tylko do przyjmowania gości i do niczego więcej.

Na podłodze z nie heblowanych desek leżały skóry niedźwiedzie, a ściany ozdobione były rogami łośi i renów. Ogień huczał na kominku i w wielkim piecu, opalanym drzewem. Kurzawa ujrzał tu śmietankę Dawson — nie tylko milionerów, ale sam kwiat górniczego miasta, którego ludność rekrutowała się ze wszystkich stron świata. W salonie pułkownika znaleźli się między innymi Warburton Jones, słynny podróżnik i pisarz, Consadine, kapitan konnej policji, Haskell, komisarz kopalni złota Zachodnio-Północnego Terytorium, wreszcie baron von Schroeder, ulubieniec cesarza, międzynarodowej sławy pojedynkowiec.

I tu właśnie znalazł Kurzawa czarującą w wieczorowej sukni Joy Gastell, którą swego czasu spotykał tylko na szlaku, w kozuchu i w mokasynach. Tak się jakoś złożyło, że przy stole siedzieli obok siebie.

— Czuję się jak ryba na piasku — zwierzał się jej. — Widzi pani, wszyscy ci ludzie są naprawdę tacy wspaniali! Nawet nie przypuszczałem, że w Klondike może istnieć taki wschodni przepych. Niech pani spojrzy na von Schroedera, przecież on ma prawdziwy żakiet. A Consadine ma nawet nakrochmaloną koszulę z twardym gorsem. Chociaż, swoją drogą, wszyscy są w mokasynach. A jak się pani podoba *mój* ryszczunek?

Podał naprzód pierś, jak gdyby czekał pochwały ze strony Joy.

— Czy aby nie przytył pan trochę od czasu, jak widzieliśmy się na przełęczy? — zapytała z uśmiechem.

— Nie, nie zgadła pani.

— Nie na pana robione ubranie?

— Otóż to. Kupiłem je od jednego z urzędników A. C. Company.

— To doprawdy wstyd, jakie te pisarczyki są wątłe w ramionach — powiedziała ze współczuciem. — Ale nie słyszałam, co pan myśli o moim ryszczunku?

— Nie mogę powiedzieć. Mowę mi odjęło. Za długo już żyję na szlaku. Wie pani, te rzeczy są dla mnie po prostu wstrząsające. Zupełnie zapomniałem, że kobiety mają ramiona i plecy. Gdy się jutro rano obudzę, powiem sobie za przykładem mego przyjaciela Krótkiego, że wszystko to było snem. A swoją drogą, kiedy panią widziałem ostatni raz w Squaw Creek...

— Nie byłem niczym innym jak tylko *squaw*.

— Nie to chciałem powiedzieć. Przypominam sobie, że w Squaw Creek odkryłem, że pani ma także nogi.

— A ja nigdy nie zapomnę, że pan mi je uratował — odpowiedziała. — Tyle razy pragnęłam panu podziękować. (Wzruszył lekceważąco ramionami). Oto dzięki czemu jest pan tu dzisiaj.

— To pani kazała pułkownikowi mnie zaprosić?

— Nie, pani Bowie. Ja prosiłam ją tylko, żeby pana posadzono przy mnie. A teraz kolej na mnie. Wszyscy zajęci są rozmową. Proszę słuchać i nie przerywać. Pan zna Mono Creek?

— Znam.

— Odkryto w nim bogactwa, straszne bogactwa, każdy dział oceniają na przeszło milion dolarów. Działy wytyczono niedawno.

— Pamiętam ten bieg.

— Otóż całe łóżyisko rzeki i dopływów aż po horyzont wytyczono. Jeden tylko dział w głównym łóżyisku, numer trzeci poniżej działu odkrycia, nie należy do nikogo. Jar znajduje się tak daleko od Dawson, że komisarz ustanowił sześćdziesięciodniowy termin zgłoszenia się po naznaczeniu działu. Zgłoszono wszystkie działki, wyjąwszy numer trzeci. Dział ten wytyczył Cyrus Johnson. Więcej nie wiadano. Ale ten Cyrus Johnson zniknął. Nikt nie wie, czy umarł, czy powędrował w dół rzeki, czy w górę. Dość na tym, że za sześć dni termin zgłoszenia upłynie. Wtenczas dział dostanie ten, kto go naznaczy i pierwszy przybędzie do Dawson, aby to zgłosić.

— Milion dolarów — mruknął Kurzawa.

— Gilchrist, który ma poniżej dział sąsiedni, z jednej jedynej miski żwiru rzecznoego wydobył złota za sześćdziesiąt dolarów. Wykopał po prostu dół. Dział po drugiej stronie jest jeszcze bogatszy. Wiem na pewno.

— Ale dlaczego nikt o tym nie wie? — zapytał Kurzawa z niedowierzaniem.

— Zaczynają wiedzieć. Długi czas trzymano to w tajemnicy, dopiero teraz rzecz wychodzi na jaw. Za dzień lub dwa ceny dobrych psich zaprzęgów skoczą w górę. Teraz niech mnie pan słucha: zaraz po obiedzie wymknie się pan zupełnie przyzwoicie, nie zwracając niczyjej uwagi. Ja się już o to postarałam. Przyjdzie Indianin i przyniesie panu list. Trzeba go przeczytać, udać, że jest pan bardzo zaambarasowany, przeprosić towarzystwo i pojechać sobie.

— No — a tego, jeśli nie usłucham?

— Ani mowy — powiedziała dobitnym szeptem, — Dziś w nocy musi pan zebrać jak największą ilość psich zaprzęgów. O dwóch wiem. Jeden zaprzęg ma Hanson, siedem wielkich psów znad zatoki Hudsona — za każdego psa żąda czterysta dolarów. To dziś najwyższa cena, ale jutro psy będą znacznie droższe. Prócz tego Sitka Charley ma osiem małych psów po trzysta pięćdziesiąt od sztuki. Jutro będzie się śmiać, gdy mu będą dawali pięć tysięcy. Pan także ma swój własny zaprzęg. Trzeba się będzie postarać jeszcze o kilka. Niech pan wybiera najlepsze. Ten wyścig wygrają równie dobrze psy, jak i ludzie. Przez te sto dziesięć mil będzie pan musiał zmieniać psy tak często, jak tylko będzie pan mógł.

— O, widzę, że pani koniecznie chce mnie w to wrobić — zauważył Kurzawa.

— Jeśli pan nie ma pieniędzy na kupno psów, ja... — Zająknęła się i zanim zaczęła mówić dalej, odezwał się Kurzawa:

— Mam pieniądze na kupno psów. Ale-e-e-e, czy pani nie obawia się, że to hazard?

— Po pańskim zwycięstwie nad ruletą pod „Jelenim Rogiem” nie obawiam się, aby pan się obawiał. Jest to po prostu sport, jeśli pan o to pyta. Zupełnie w pańskim duchu. Jest to wyścig o milion, a będzie pan miał do czynienia z najwytrawniejszymi poganiaczami psów i awanturnikami z całego kraju. Jeszcze się nie zgłosili, ale jutro o tej porze wystąpią, a wówczas ceny psów pójdą tak w górę, że tylko najbogatsi ludzie będą mogli je kupić. Wielki Olaf już jest tu. Przed miesiącem wrócił z Circle City. Jest to najzręczniejszy poganiacz psów w całym kraju i jeśli weźmie udział w gonitwie, będzie pan miał w nim najniebezpieczniejszego przeciwnika. Drugi taki jest Arizona Bili. Przez długie lata był zawodowym pocztym. Jeśli weźmie udział w wyścigu, powszechna uwaga skupi się na nim i na Wielkim Olafie.

— Krótko mówiąc, pani chce puścić mnie na ten wyścig jako *fuksa*.

— Właśnie. Będzie to miało swoje dobre strony, nikt pana nie będzie poważnie brał w rachubę. Ostatecznie sam pan rozumie, że wciąż jeszcze uważa się pana za *chechaquo*. Nie widział pan tu jeszcze czterech pór roku. Nikt się panem nie będzie zajmował, dopóki pan nie wróci, lecąc pierwszy do mety.

— Zatem w powrotnej drodze fuksa ma się pokazać w swej klasycznej formie, czy tak?

Skinęła głową i mówiła dalej z wielką powagą: — Niech pan sobie zapamięta: jeśli pan nie zdobędzie tego działu w Mono, nigdy nie przebaczę sobie, że pana wzięła na kawał w biegu do Squaw Creek. A jeśli kto może zwyciężyć w tym wyścigu starych kolonistów, to tylko pan. Powiedziała to w taki sposób, że krew mu uderzyła do serca i do głowy. Rzucił na nią szybkie, badawcze spojrzenie, niespodziewane a poważne, i kiedy oczy jej uporczywie patrzyły mu w twarz, zdawało mu się, że wyczytał w nich coś znacznie ważniejszego od zapomnianego działu Cyrusa Johnsona; oczy te po chwili przykryły się powiekami.

— Zrobię to—rzekł — i wygram.

Jasny błysk w jej oczach zdawał się obiecywać znacznie więcej niż całe złoto w dziale Mono. W następnej chwili zauważył ruch jej ręki. Wyciągnął dłoń pod obrusem i złączył ją dłonią dziewczęcia w uścisku, który nową falę gorącej krwi rzucił do jego serca.

„Co powie na to Krótki?” przemknęła mu przez głowę zabawna myśl, kiedy cofał rękę. Niemal podejrzliwie spojrzał na von Schroedera i Jonesa, zastanawiając się nad tym, czy przypadkiem któremu z nich nie wpadły już w oko niepospolite wdzięki siedzącej przy nim młodej osoby.

Naraz zbudził go jej głos. Domyślił się, że Joy mówi już od dłuższego czasu.

— Więc, jak pan z tego widzi, Arizona Bill jest białym Indianinem, a Wielki Olaf to poskramiacz niedźwiedzi, król śniegów, potężny dzikus. Żaden Indianin nie wyprzedzi go i nie potrafi znieść tyle co on. Wielki Olaf nie zna innego życia prócz życia w pustyni na mrozie.

— O kim pani mówi? — zapytał kapitan Consadine przez stół.

— O Wielkim Olafie — odpowiedziała — opowiadałam właśnie panu Bellew, jaki z niego niezrównany podróżnik.

— Ma pani słusność — zahuczał głos kapitana. — Wielki Olaf jest największym podróżnikiem nad Yukonem. W wyścigu po śniegu i po lodzie postawiłbym na niego nawet przeciw Staremu Nickowi. W roku 1895 dostarczył mi depeşe rządowe, mimo że dwóch kurierów zamarzło na śmierć na Chilcoot, a trzeci utonął niedaleko Trzydziestej Mili.

III

Kurzawa zwolna posuwał się w górę ku Mono Creek, nie chcąc męczyć swoich psów przed wielką gonitwą. Równocześnie zaznajamiał się z każdą milą szlaku i rozstawiał zaprzęgi swych psów. Do wyścigu stanęło takie mnóstwo ludzi, że sto dziesięć mil przestrzeni zmieniło się niemal w jedną wielką wieś. Wszędzie wzdłuż szlaku widziało się rozstawione psie zaprzęgi. Von Schroeder, który postanowił wziąć udział w gonitwie tylko dla sportu, miał nie mniej niż jedenaście zaprzęgów — co dziesięć mil jeden świeży zaprzęg. Arizona Bill musiał poprzestać na ośmiu zaprzęgach. Wielki Olaf miał ich siedem, właśnie tyle co Kurzawa. Poza tym w gonitwie postanowiło wziąć udział przeszło czterdziestu ludzi. Nawet na złotej Północy nie zawsze milion dolarów jest nagrodą za psie wyścigi. Cała okolica była ogołocona z psów. Ani jedno szybko nogie lub wytrwalsze zwierzę nie uszło gęstemu grzebieniowi, który, wyczesał wszystkie jary i obozy. Szalona spekulacja podwoiła i podniosła w czwórnasób ceny psów.

Numer trzeci poniżej działu odkrycia znajdował się w odległości dziesięciu mil od ujścia rzeki Mono. Sto następnych mil trzeba było przebyć po zamarznętym łonie Yukonu. Na numerze trzecim stało około pięćdziesięciu namiotów, wśród których skuczało trzysta psów. Stare żerdki z chorągiewkami i napisami nabazgranymi przed sześćdziesięciu dniami przez Cyrusa Johnsona jeszcze stały, a wszyscy poszukiwacze złota wędrowali od jednego krańca działu do drugiego, psią gonitwę miał bowiem poprzedzić wyścig pieszy z przeszkodami. Każdy miał zaznaczyć dział dla siebie, to

znaczy zatknąć dwie żerdki w grodku działu i cztery żerdki naróżne, czyli że musiał dwa razy przejść przez jar, zanim wolno mu była puścić się psim zaprzęgiem do Dawson.

Nikt tu nie miał żadnych „forów”. Z piątku na sobotę do północy dział był niedostępny i dopiero z uderzeniem godziny dwunastej można było zatknąć swoją żerdkę. Tak postanowił komisarz kopalń złota w Dawson, a kapitan Consadine wysłał oddział policji konnej, aby dopilnował tego rozkazu. Powstał spór co do czasu słonecznego i policyjnego, ale Consadine zawiadomił współzawodników, że mają się stosować do czasu policyjnego, a zwłaszcza do zegarka porucznika Pollocka.

Szlak wiodący do Mono biegł wzdłuż niskiego łożyska rzeki. Szeroki wszystkiego na dwie stopy, podobny był raczej do rowu biegnącego między dwoma wałami śniegu nagromadzonego od miesięcy.

Każdy przemyślał nad zagadnieniem, w jaki sposób tak ciasną drogą będzie mogło przejechać czterdzieści sanek zaprzężonych w trzysta psów.

— Ha! — rzekł Krótki — robi się tu taka galareta, jakiej świat nie widział. Nie ma innego sposobu, Kurzawa, prócz siły, potu i jazdy na całego. Gdyby cała rzeczka była jedną ślizgawką, nie zmieściłoby tu się obok siebie więcej sanek niż dwanaście. Już teraz! widzę, że zanim ruszycie w drogę, dojdzie do bójk. Jeśli ci kto wlezie w drogę, zostaw go mnie.

Kurzawa wyprostował się i zaśmiał się sucho.

— No, no, ja się na to nie zgadzam! — krzyknął zaniepokojony współnik. — Wszystko jedno, co będzie: tobie bić się nie wolno. Z rozbitymi kostkami palców nie możesz kierować psami przez sto mil, a to ci grozi, jeśli wleziesz komu w szczękę.

Kurzawa skinął głową.

— Masz słuszność, Krótki, mnie tym razem nie wolno się narażać.

— I zapamiętaj sobie — mówił dalej Krótki — że przez pierwsze dziesięć mil główna rola należy do mnie, a ty masz tylko lecieć naprzód co sił w psich nogach. Ja cię przerzucę przez Yukon. Potem wszystko zależy od ciebie i od psów. Słuchaj — wiesz, jaki plan ma Schroeder? Umieścił swój pierwszy zaprzęg w odległości ćwierć mili od jaru. Aby móc go dojrzeć, kazał wywiesić zieloną latarnię. Wykiwamy go, ja jestem zawsze za kolorem czerwonym.

IV

Dzień był jasny i zimny, ale oblicze nieba chmurzyło się, a noc zapadała ciepła, brzemienna śniegiem. Termometr wskazywał piętnaście poniżej zera, a piętnaście stopni poniżej zera w zimie uważa się w Klondike za temperaturę bardzo ciepłą.

Na kilka minut przed dwunastą Kurzawa, pozostawiwszy Krótkiego z psami w głębi jaru w odległości pięciuset sądni od działu, przyłączył się do tych, którzy mieli wziąć udział w wyścigu o numer trzeci. Czterdziestu pięciu stało ich tutaj, czekając na znak rozpoczęcia gonitwy o tysiąc tysięcy dolarów, które Cyrus Johnson pozostawił w zamarznietym żwirze. Każdy z nich uzbrojony był w sześć żerde i ciężki drewniany młot, a wszyscy ubrani byli w kaftany podobne do kobiecych koszul z grubej włóczki.

Zakutany w niedźwiedzie porucznik Pollock przy świetle ogniska patrzył na zegarek. Brakowało minuty do północy.

— Baczość! — zawołał, podnosząc w górę rewolwer i śledząc wzrokiem bieg wskazówki pokazującej sekundy.

Czterdzieści pięć kapturów spadło w tył na kaftany. Z czterdziestu pięciu par rąk zsunęły się rękawice i czterdzieści pięć par mokasynów wparło się mocno w ubity śnieg. Równocześnie wbito w śnieg czterdzieści pięć żerde i tyleż młotów wzniosło się w górę.

Padł strzał i natychmiast opadły młoty. Cyrusa Johnsona prawo do miliona wygasło. Aby zapobiec zamieszaniu, rozporządzono, że naprzód ma się wbić dolną żerdkę środkową, a potem południowo-wschodnią i tak dokoła na wszystkich czterech stronach działu, włączając w to po drodze górną żerdkę środkową.

Kurzawa wbił swą żerdkę i biegł dalej z pierwszym tuzinem współzawodników. Na rogach działu płonęły ogniska, a przy każdym stał policjant i trzymał w ręce listę, z której wykreślał nazwiska zgłaszających się zawodników. Każdy z nich musiał w biegu podać policjantowi nazwisko i pokazać twarz. Nie wolno było posłużyć się zastępcą, a samemu tymczasem gonić do jaru i ruszać w drogę. W pierwszym rogu działu, koło żerdki Kurzawy wbił swoją von. Schroeder. Młoty ich stuknęły równocześnie. Kiedy wbijali żerdki, przybiegli za nimi inni i wpadli na siebie z taką gwałtownością, że zaczęli się szturchać i popychać. Kurzawa, kiedy już przebił się przez tłum i krzyknął swe nazwisko policjantowi, ujrzał, jak baron, starłszy się z jednym z nadbiegających, runął w śnieg. Ale Kurzawa nie czekał, na niego. Przed sobą miał jeszcze innych. Był pewny, że w świetle ogniska zamajaczyła przed nim barczysta postać Wielkiego Olafa. Istotnie, w południowo-zachodnim rogu działu Kurzawa wbił swą żerdkę tuż obok żerdki Wielkiego Olafa.

Ten wstępny bieg z przeszkodami nie był bynajmniej łatwy. Obwód działu miał niemal milę, a biegł przeważnie terenem nierównym, przysypanym śniegiem i kamienistym.

Ludzie koło Kurzawy potykali się i przewracali, a on sam biegł chwilami na czworakach. W pewnej chwili Wielki Olaf, który biegł tuż przed nim, runął na ziemię tak, że mało go z nóg nie zwałił.

Górną żerdkę środkową wbijało się na samym skraju brzegu, po czym trzeba było biec na dół wzdłuż brzegu, przez zamarznąętą rzekę i znowu w górę, brzegiem rzeki. Kiedy Kurzawa piął się na brzeg, ktoś złapał go za nogę w kostce i ściągnął na dół. W migotliwym świetle odległego ogniska nie można było dostrzec, kto pozwolił sobie na ten kawał. Arizona Bili, którego spotkało *to* samo, zerwał się i wsadził swój kułak w twarz napastnika z taką siłą, że aż chlupnęło. Kurzawa, starając się stanąć na nogach, widział to i słyszał, zanim jednak mógł znowu poskoczyć ku brzegowi, czyjaś pięść zwała go na pół ogłuszonego w śnieg. Zerwał się, złapał tego człowieka i już chciał huknąć go w szczękę, gdy nagle przypomniał sobie przestrożę Krótkiego i pohamował się. W następnej chwili czyjeś padające ciało poderwało mu nogi i znów się przewrócił.

Był to przedsmak tego, co będzie, kiedy zawodnicy dopadną sań. Ludzie sypali się ku drugiemu brzegowi i stosy ich piętrzyły się na krze. Całymi gromadami darli się na brzeg, z którego kupami ściągały ich ręce zawistnych współzawodników. Ciosy mnożyły się; z piersi tych, którzy nie stracili jeszcze tchu, wrywały się przekleństwa, a Kurzawa, któremu naraz ni stąd, ni zowąd stanęła w oczach wizja twarzy Joy Gastell, prosił Boga, aby w ruch nie poszły młoty. Przewrócony, deptany, po omacku szukając w śniegu pogubionych żerdeń, wyczołgał się wreszcie z tego bigosu i poskoczył ku brzegowi trochę dalej. Na tę samą myśl wpadli inni i na jego szczęście, wielu współzawodników spieszyło już ku północno-zachodniemu rogowi działu.

Kurzawa, schodząc w dół ku czwartemu rogowi w samym środku drogi, rozciągnął się jak długi i zgubił swą ostatnią żerdkę. Zanim ją znalazł, pięć minut upłynęło na szukaniu po omacku w ciemnościach, a przez ten czas mijali go zdyszani ludzie. Biegając od ostatniego rogu działu ku rzece, zaczął przeganiać zawodników, których wyczerpała ta milowa gonitwa. W samym jarze rozpętało się piekło. Zwalilo się tam na stos kilkanaście przewróconych sań, a około stu gryzących się psów poplątało się z sobą. Ludzie przebijali się przez ten chaos, odrywając od siebie powikłane w uprzęży psy lub też spędzając je z drogi uderzeniami pałek. Kurzawa, widząc ten obraz roztopiony w płynnym świetle, pomyślał, że można by to porównać tylko z groteskami Dorego. Zsunął się z brzegu przed

zapchanym wejściem do jaru i stanął na szlaku wyjeżdżonym przez sanki. Żywo skoczył naprzód. Tu na ubitych przystankach wzdłuż szlaku ludzie czekali z saniami na zawodników znajdujących się jeszcze w tyle. Usłyszał za sobą skomlenie i bieg psów i ledwie miał czas uskoczyć z drogi w głęboki śnieg. Przemknęły koło niego sanki, na których dostrzegł człowieka klęczącego i wrzeszczącego jak opętany. Zaledwie minął Kurzawę, sanie nagle się zatrzymały i rozległ się zgiełk walki. Podniecone psy zaprzęgu czekającego obok szlaku wyrwały się i rzuciły jak wściekłe na mijające je zwierzęta.

Kurzawa wyminął psy i poszedł dalej. Widział już zieloną latarnię von Schroedera i tuż przy niej czerwone światło w miejscu, gdzie miał się znajdować jego zaprzęg. Dwóch ludzi pilnowało psów Schroedera, odgrodziwszy je krótkimi pałkami od szlaku.

— Kurzawa! Chodźże już raz, Kurzawa, chodźże już raz! — usłyszał niecierpliwe wołanie Krótkiego.

— Idę już! — huknął Kurzawa dysząc ciężko.

W czerwonym blasku latarni zauważył, że śnieg w tym miejscu był zryty i zdeptany, a z szybkiego oddechu swego współnika wywnioskował, że rozegrała się tu bitwa. Potoczył się ku saniom. Gdy tylko padł na nie, Krótki strzelił z bicia i krzyknął z całych sił:

— Marsz, diabły, marsz!

Psy szarpnęły szleje i sanie nagle skoczyły naprzód. Były to duże zwierzęta — zaprzęg składający się z psów Zatoki Hudsona, za który Hanson wziął nagrodę — Kurzawa zaś wybrał je na pierwszą część drogi, obejmującą dziesięć ciężkich mil z Mono przez płaszczyznę u ujścia rzeki i dziesięć pierwszych mil Yukonu.

— Ilu jest przede mną? — zapytał.

— Stul pysk i oszczędzaj oddech — odpowiedział Krótki. — Hej, ścierwa, naprzód, jazda!

Biegł za sankami trzymając się krótkiego sznura. Kurzawa nie widział go, nie widział nawet sań, na których leżał wyciągnięty jak długi. Ogniska dawno zostały za nimi i rwali teraz przez wał ciemności z całym impetem, z jakim psy weń się wbijały. Mrok był tak gęsty, że aż lepki.

Zataczając niewidzialny łuk Kurzawa wyczuł, że mija swego poprzednika. Z przodu doleciało go warczenie zwierząt i klątwy. Miejsce to zasłynęło później pod nazwą Marmolady Bernesa i Slocuma. Zaprzęgi tych dwóch zawodników pierwsze wpadły na siebie. Teraz wjechało na nie z całym pędem siedem psów bojowych Kurzawy. Nic dziwnego, że jego ledwie na pół oswojone wilki wpadły w podniecenie, które tej nocy w Mono Creek doprowadziło do szału każdego bojowego psa. Psów Klondike, którymi kieruje się bez lejc, nie można zatrzymać inaczej jak głosem. Nie było więc sposobu na poskromienie zapału bojowego, który nagle rozgorzał wśród ciasnych ścian wąwozu. Przez cały ten czas sanie z tyłu, jedne za drugimi wpadały w wir walki. Tych, którzy swe zaprzęgi zdołali już wyciągnąć z odmetu walki, zasypały nowe lawiny psów — a każde bydlę było dobrze wykarmione, wypoczęte i zdolne do boju.

— Tu trzeba prac, bić i walić na odlew — ryknął Krótki do ucha swemu współnikowi. — Ale ty uważaj na kostki u rąk. Syp naprzód, a mordobicie zostaw mnie;

Tego, co się działo przez następne pół godziny, Kurzawa nigdy nie mógł sobie dokładnie przypomnieć. W końcu wyrwał się z tej gęstwy wyczerpany, z łkaniem starając się odzyskać oddech, ze szczęką obolałą od potężnego ciosu, z barkami, które przenikał ból od uderzenia pałką, z ciepłym strumieniem krwi ściekającym mu po nodze, w którą ugryzł go jakiś pies, i z obu rękawami kaftana poszarpanymi w strzępy. Walka jeszcze wrzała za nimi, gdy jak we śnie pomagał Krótkiemu poprawić uprząż na psach. Jednemu psu, który już zdychał, trzeba było poprzecinać rzemienie. Podartą uprząż powiązali w ciemnościach w jakiś nieprawdopodobny sposób.

— A teraz kładź się i nabierz znowu oddechu — komenderował Krótki.

Psy z niepohamowaną siłą leciały naprzód w ciemną noc w dół Mono Creek, przez długą równinę u ujścia do Yukonu. U samego wejścia do głównego szlaku, wiodącego rzeką, ktoś rozpalił ognisko. Tu Krótki pożegnał się z Kurzawą. Kiedy sanki mknęły za lecącymi naprzód psami, Kurzawa ujrzał w świetle ogniska jeden z niezapomnianych obrazów Północy. Był to widok Krótkiego, który chwiejąc się na nogach, bezsilnie osuwał się w śnieg, głośnymi okrzykami dodając odwagi swemu współnikowi, z jednym okiem podsinionym i zamkniętym, z zakrwawionymi i rozbitymi kostkami u rąk i z poszarpanym i rozdartym ramieniem, z którego tryskała krew.

V

— Ilu jest przede mną? — zapytał Kurzawa, kiedy porzucił swe zmęczone psy z Zatoki Hudsona i skoczył na sanki czekające na pierwszej stacji.

— Naliczyłem jedenastu — krzyknął za nim człowiek, bo psy były już daleko.

Miały go zawieźć do ujścia rzeki Białej, najbliższej stacji odległej o piętnaście mil. Było ich dziewięć, ale zaprzęg ten był najslabszy. Ze względu na kry podzielił na dwie części dwadzieścia pięć mil, leżące między rzeką Białą a osadą Sześćdziesiątej Mili. Na tym odcinku czekały dwa jego najtęższe, najbardziej wytrzymałe zaprzęgi.

Leżał na sankach wyciągnięty jak długi, trzymając się ich obu rękami. Gdy tylko psy zwalniały biegu, klękał, poganiał je krzykiem i trzymając się sań jedną ręką, smagał psy batem. Choć zaprzęg był nędzny, Kurzawa, zanim dotarł do rzeki Białej, przegonił dwóch zawodników. Tu kra utworzyła w czasie zamarzania rzeki barierę, za którą na przestrzeni pół mili woda zamarzła gładko. Na tym odcinku ścigający się mogli wymieniać sanki w biegu i dlatego wzdłuż rzeki poniżej kry rozstawili swoje zaprzęgi. Wydostawszy się z kry na gładką przestrzeń Kurzawa leciał wołając głośno:

— Billy! Billy!

Billy usłyszał go i odkrzyknął. Kurzawa przy świetle płonących na lodzie licznych ognisk ujrzał sanie, które oderwały się od brzegu i pędziły za nim. Psy były wypoczęte i z łatwością go dogoniły. Gdy sanie znalazły się obok siebie, Kurzawa skoczył na nowe sanki, z których Billy natychmiast się zsunął.

— Gdzie jest Wielki Olaf? — zawołał Kurzawa.

— Na czele! — odpowiedział Billy.

W tej chwili ognie pozostały w tyle i Kurzawa znowu leciał przez ciemność. W krach tego odcinka, na którym droga prowadziła przez chaos zjeżonych brył lodowych i gdzie Kurzawa, zeskoczywszy z sanek, ciągnął je liną tuż za psem prowadzącym zaprzęg, przegonił troje sanek. Zdarzały się nieszczęśliwe wypadki i nieraz słyhać było, jak ludzie odcinali psy i poprawiali uprząż.

W krach następnego odcinka, między rzeką Białą a osadą Sześćdziesiątej Mili, przegonił jeszcze dwoje sanek.

Jakby dla dokładnego pokazania mu, co się przydarzyło innym, jeden z jego własnych psów zwichnął łopatkę i nie mógł dotrzymać kroku innym psom, które zaczęły go wlec w uprzęży. Rozzłoszczone zaczęły go szarpać kłami, tak że Kurzawa musiał je rozpędzać ciężkim biczyskiem. Kiedy odcinał ranne zwierzę, usłyszał za sobą skowyt psów i znany sobie męski głos. Był to von Schroeder. Kurzawa, chcąc zapobiec zderzeniu, krzyknął, aby go ostrzec. Baron, poganiając swe zwierzęta i kierując hamowidłem, wyminął go w odległości dwunastu stóp. Ciemności były tak gęste, że Kurzawa słyszał wprawdzie, jak baron go wymija, ale nic nie widział.

Na równej przestrzeni lodu koło etapu pocztowego w osadzie Sześćdziesiątej Mili Kurzawa przegonił jeszcze dwoje sanek. Właśnie wszyscy zmienili zaprzęgi i przez pięć minut gnali jak opętani, klęcząc i popędzając biczem i głosem oszalałe psy. Ale Kurzawa, który przestudiował tę część szlaku, spostrzegł rosnący na brzegu wielki świerk, mający niewyraźnie w blasku licznych ognisk. Poniżej tego świerku było nie tylko ciemno, ale nagle kończyła się gładka przestrzeń. Wiedział, że szlak zwęża się tu do szerokości sań. Wychyliwszy się, chwycił przywiązaną do sanek linę i przerzucił ciężar sań naręcznemu psu. Złapał zwierzę za tylne nogi i szarpnął. Pies z wściekłym warczeniem kłapnął ku niemu kłami, ale reszta psów pociągnęła go za sobą. Ciało jego było dostatecznym hamulcem — oba goniące Kurzawę zaprzęgi minęły go i pomknęły ku ciasnemu przejściu.

Kurzawa, usłyszawszy trzask i zgiełk zderzenia, wyzwolił swego naręcznego, skoczył ku hamowidłu i skierował swój zaprzęg na prawo w miękki śnieg, w który zwierzęta zapadły po szyję. Był to wyczerpujący wysiłek, ale dzięki temu wyminął splątane dwa zaprzęgi i wydostał się na ubity szlak przed nimi.

VI

Na odcinku od Sześćdziesiątej Mili Kurzawa miał swój najlichszy zaprzęg i choć droga była dobra, przeznaczył go tylko na krótką przestrzeń piętnastu mil. Dwa następne zaprzęgi miały go zawieźć do Dawson i do biura komisarza złota. Na tych właśnie dwóch odcinkach Kurzawa rozstawił swoje najlepsze dwa zaprzęgi. Sam Sitka Charley czekał z ośmiu malemutami, które miały przewieźć Kurzawę przez dwadzieścia mil, a na piętnastomilowy finisz przeznaczony był jego własny zaprzęg — zaprzęg, z którym wałęsał się przez całą zimę i z którym wyruszył na poszukiwanie Jeziora Niespodzianek.

Żaden z dwóch zawodników, których pozostawił ze splątanymi zaprzęgami na Sześćdziesiątej Mili, już go nie dogonił. Ale i jego zaprzęg nie przegonił ani jednego z trzech, które biegły przed nim.

Zwierzęta, choć nie dostawało im siły życiowej i temperamentu, były chętne i nie trzeba ich było bardzo poganiać, aby dobiły wszystkich swych sił. Kurzawie nie pozostawało nic innego, jak tylko leżeć i jechać. Od czasu do czasu wynurzał się z ciemności w kolisku światła płonącego ognia, patrzył na otulonych w kożuchy ludzi stojących obok zaprzężonych i czekających psów i znowu przepadał w ciemnościach.

Leciał milę za milą, mając w uszach tylko zgrzyt i turkot płozów. Prawie automatycznie utrzymywał równowagę, kiedy sanie nagle wyrzywały się naprzód lub zarzucały na zakrętach. Jedna po drugiej bez najmniejszej przyczyny i sensu zjawiała się w jego pamięci trzy twarze: Joy Gastell, uśmiechnięta i śmiała, Krótkiego, rozbita i wyczerpana walkami poniżej Mono Creek, i Johna Bellew, sztywna, jakby wykuta w żelazie, tak bardzo surowa. Chwilami Kurzawa pragnął krzyknąć na całe gardło i śpiewać hymn dzikiej radości, kiedy przypominał sobie redakcję *Fali* i pozostawiony na biurku nie skończony felieton, jako też inne bzdurstwa tamtych gnuśnych dni.

Szary świt nastał, kiedy wymienił swe zmęczone psy i wsiadł na sanie zaprzężone w osiem wypoczętych malemutów. Lżejsze od zwierząt znad Zatoki Hudsona, psy te zdolne były do większej szybkości i biegły z niestrudzoną chyżością prawdziwych wilków. Sitka Charley krzyżąc poinformował go, w jakim porządku jadą poprzednicy, Na czele znajdował się Wielki Olaf, drugi był Arizona Bill, trzeci von Schroeder. Byli to najlepsi poganiacze psów w całym kraju. Rzeczywiście, zanim jeszcze Kurzawa wyjechał z Dawson, opinia publiczna, wyrażająca się w zakładach, ustawiła ich w tym porządku. Podczas gdy oni ścigali się o stawkę wynoszącą milion, inni postawili na nich co najmniej pół miliona, zakładając się, kto pierwszy przybędzie do mety. Nikt jednak nie stawiał na

Kurzawę. Mimo bowiem swych kilku głośnych czynów, uchodził wciąż za *chechaquo*, który jeszcze wielu rzeczy może się nauczyć.

Kiedy już na dobre zrobiło się jasno, Kurzawa ujrzał przed sobą sanki, a po pół godzinie jego prowadzący pies dreptał już za nimi. Dopiero gdy poprzednik odwrócił się, aby się z nim przywitać, Kurzawa rozpoznał w nim Arizona Billa. Widocznie von Schroeder go przegonił. Twardo ubity szlak, prowadzący przez miękki śnieg, był tu tak wąski, że Kurzawa przez pół godziny nie mógł wyminąć Arizona Billa. Wreszcie wyjechali na pole kry, a następnie niżej wydostali się na gładką przestrzeń, gdzie znajdowały się biwaki mnóstwa rozstawnych zaprzęgów, a śnieg był już szeroko ubity. Klękawszy na saniach Kurzawa pędził naprzód, krzycząc i wywijając biczem. Zauważył, że prawa ręka Arizona Billa zwisa martwa, tak że poganiacz zmuszony był lewą ręką kierować psami. Szło mu to niezręcznie, bo nie miał czym trzymać się sani. Musiał co chwilę porzucać bat i chwycić się sani lewą ręką, aby nie spaść. Kurzawa przypomniał sobie bójkę w jarze przy trzecim numerze poniżej działu odkrycia i zrozumiał. Rada Krótkiego była mądra.

— Co wam jest? — zapytał mijając Billa.

— Nie wiem — odpowiedział Arizona Bill. — Zdaje mi się, że podczas bójki wywichnąłem sobie ramię.

Poddawał się powoli, kiedy jednak pokazała się ostatnia stacja, był o pół mili w tyle. Kurzawa widział już splecionych ze sobą Wielkiego Olafa i von Schroedera. Znowu ukląkł i zmusił swe zmordowane psiska do takiego wysiłku, jaki może wydobyć z psów tylko człowiek, który ma szczególne zdolności do powożenia.

Dognał sanie von Schroedera i jechał tuż za nimi. W tym porządku wypadli na gładką przestrzeń poniżej zatoru kry, gdzie czekało mnóstwo ludzi i psów. Do Dawson było już tylko piętnaście mil.

Von Schroeder, który miał rozstawne zaprzęgi co dziesięć mil, właśnie przed pięciu milami zmienił zaprzęg i miał go zmienić po następnych pięciu milach. Wobec tego gnał dalej, utrzymując swe psy w najszybszym biegu. Wielki Olaf i Kurzawa zmienili swe zaprzęgi w biegu, a ich wypoczęte psy natychmiast nadrobiły to, co baron przez ten czas zyskał. Wielki Olaf leciał pierwszy, a za nim Kurzawa mknął ku ciasnej ścieżce.

— Dobrze, ale nie bardzo — Kurzawa w myśli sparafrazował Spencera.

Von Schroedera, który teraz jechał tuż za nim, nie bał się, ale przed nim znajdował się najlepszy poganiacz psów w całym kraju. Zdawało się, że nie podobna go przegonić. Kurzawa niejednokrotnie kierował swego prowadzącego psa tak, aby mógł wyminąć sanie Wielkiego Olafa, ale ten za każdym razem dawał nowego susa i uciekał. Kurzawa poprzestał więc na tym, że uparcie przyczepił się do zaprzęgu Olafa. Wyścig nie był przegrany, dopóki ten czy ów go nie wygrał, a na przestrzeni piętnastu mil niejedno może się zdarzyć.

I istotnie, zdarzyło się coś w odległości trzech mil od Dawson. Ku wielkiemu zdumieniu Kurzawy Wielki Olaf ukląkł i naraz biczem i głosem zaczął wydobywać ze swych zwierząt ostatnią uncję sił. Wysilek ten należało zachować na ostatnie sto sążni. Któż widział robić coś podobnego na trzy mile przed metą?

Chociaż wyglądało to na ordynarne mordowanie psów, Kurzawa naśladował przykład. Jego własny zaprzęg był świetny. Żaden pies nad Yukonem nie pracował tak ciężko i nie był w tak znakomitej formie. Prócz tego Kurzawa pracował wraz z nimi, jadł i spał, znał indywidualność każdego z nich i wiedział, w jaki sposób wykorzystać inteligencję zwierząt i ostatnią resztkę ich dobrej woli.

Przedostali się przez mały zator lodowy i wypadli na znajdującą się poniżej gładką przestrzeń. Wielki Olaf wyprzedzał Kurzawę zaledwie o pięćdziesiąt stóp. Wtem wyrwały się z boku sanie,

które pomknęły ku nim, i wtedy dopiero Kurzawa zrozumiał, dlaczego Wielki Olaf tak bardzo naglił swe psy. Chciał zyskać czas na zmianę zaprzęgu.

Ten świeży zaprzęg, który miał go dowieźć wprost do mety, był jego własną niespodzianką. Nie wiedzieli o nim nawet ci, którzy go popierali.

Kurzawą starał się rozpaczliwie wyminąć Olafa podczas zmiany zaprzęgu. Zmusiwszy swe psy do jeszcze jednego wysiłku, zrównał się z saniami Wielkiego Olafa. Zachęcając psy głosem i smagając je biczem, osiągnął tyle, że jego prowadzący pies zaczął mijać naręcznego Wielkiego Olafa. Tymczasem obok nich gnały sanie ze świeżym zaprzęgiem. Ze względu na szybkość, z jaką teraz pędzili, Wielki Olaf nie chciał ryzykować skoku na drugie sanie. Gdyby mu się skok nie udał, Kurzawa wysunąłby się z pewnością na czoła i wygrał wyścig.

Wielki Olaf próbował wybić się na czoła i popędzał swe psy wspaniale, ale prowadzący pies Kurzawy skakał wciąż z boku na naręcznego Olafa. Przez pół mili troje tych sanek leciało tak koło siebie. Po pewnym czasie jednak gładka przestrzeń zaczęła się zwężać i tu Wielki Olaf skorzystał ze sposobności. Kiedy latające z boku na bok sanie zderzyły się, Wielki Olaf skoczył i jak tylko na nich się znalazł, zerwał się na kolana, głosem i biczem popędzając psy. Równina zmieniła się tu w wąski szlak, a Wielki Olaf, pchnąwszy naprzód swe psy, znów wyprzedził Kurzawę o łokieć.

— Człowiek nie jest pokonany, póki nie został pokonany — rzekł sobie w duchu Kurzawa i gnał co siły, a Wielki Olaf nie mógł się od niego oderwać. Żaden z zaprzęgów, którymi Kurzawa tej nocy jechał, nie wytrzymałby tak zabójczego biegu, dotrzymując kroku wypoczętym psom — żaden zaprzęg, wyjąwszy ten jeden jedyny. Jednakże tempo było istotnie zabójcze, a kiedy znaleźli się na zakręcie skalistego brzegu Klondike City, zrozumiał, że jego zwierzęta dobywają z siebie resztki sił. Prawie niespostrzeżenie zostawały w tyle, a Wielki Olaf zyskiwał wciąż piędź po piędzi, aż wreszcie wysunął się naprzód o dwadzieścia łokci.

Wówczas zgromadzona na lodzie ludność Klondike City wydała wielki okrzyk. W tym miejscu Klondike wpływa do Yukonu, a o pół mili dalej na drugim, północnym brzegu Klondike stoi Dawson. Zahuczała nowa burza jeszcze bardziej szalonych okrzyków i Kurzawa naraz spostrzegł sanki, które pędziły ku niemu. Natychmiast poznał wspaniałe zwierzęta, które je ciągnęły. Był to zaprzęg Joy Gastell. I ona sama nimi kierowała. Kapuza kurtki ze skór wiewiórek zsunęła jej się z głowy, odsłaniając podobny do kamei owal twarzy, okolony gęstymi włosami. Zdjęła rękawice i jedną ręką trzymała się sani, a w drugiej miała bicz.

— Skacz! — krzyknęła, kiedy jej prowadzący pies warknął na psy Kurzawy.

Kurzawa otarł się o jej sanie tuż za nią. Sanie jej szarpnęły się gwałtownie od uderzenia jego ciała, ale ona klęczała, wciąż wywijając batem.

— Haj! pieski, marsz, naprzód jazda! — wołała, a psy aż skuczały chciwe wyścigu z psami Wielkiego Olafa.

Kiedy prowadzący pies Joy dogonił sanki Wielkiego Olafa i łokieć po łokciu zaczął się z nimi równać, wielki tłum na skraju Dawson oszalał. A był to istotnie wielki tłum, bo ludzie porzucili swe narzędzia we wszystkich jarach i przyszli tu, aby zobaczyć wynik wyścigów. Cisza panująca w promieniu stu dziesięciu mil usprawiedliwiała każde szaleństwo.

— Gdy go wyminiesz, zeskoczę — krzyknęła mu Joy przez ramię.

Kurzawa próbował protestować.

— A uważaj na głęboki zakręt w połowie drogi do brzegu — ostrzegała.

Oba zaprzęgi leciały naprzód, oddalone od siebie o kilka stóp. Wielki Olaf dzięki pomocy bata i głosu jeszcze przez chwilę był pierwszy. Naraz powoli, cal po calu *leader* Joy zaczął go brać.

— Uwaga! — krzyknęła. — Za chwilę zeskoczę. Bierz bicz..

W chwili gdy wtykała mu w rękę bicz, usłyszeli ostrzegawczy ryk Wielkiego Olafa, ale było już za późno. Jego prowadzący pies, wściekły, że go wyprzedzają, rzucił się do ataku. Kły wczepiły się w bok prowadzącego psa Joy. Psy obu zaprzęgów skoczyły sobie do gardeł. Przewrócone sanie zwały się na psy. Kurzawa zerwał się i chciał podnieść Joy, ale odepchnęła go od siebie, wołając:

— Idź!

Wielki Olaf zrobił tymczasem pieszo pięćdziesiąt stóp, wciąż jeszcze nie wycofując się z wyścigu. Kurzawa usłuchał i kiedy stanęli na skraju Dawson, nadeptywał już swemu rywalowi na pięty. Wielki Olaf jednak, wydostawszy się na brzeg, skoczył naprzód wyprzedzając Kurzawę o dwanaście stóp.

Niedaleko głównej ulicy Dawson znajdowało się biuro komisarza złota. Na ulicy zebrały się tłumy, jak gdyby miała się tu odbyć jakaś parada. Tym razem nie łatwo było Kurzawie dogonić swego olbrzymiego współzawodnika, a kiedy wreszcie tego dokazał, nie mógł go przegonić. I tak biegli ramię w ramię ciasnym korytarzem między ścianami ubranych w kozuchy, wrzeszczących ludzi. To jeden, to drugi wychodził na czoło, konwulsyjnymi susami wysuwając się o cal naprzód, aby w chwilę później znów zostać w tyle.

Jeśli ich pośpiech był zabójczy dla psów, niemniej zabójczy był teraz dla nich. Ścigali się jednak o milion dolarów i wielką sławę w kraju Yukonu. Kurzawa w ostatniej części tego biegu nie mógł się nadziwić, że w Klondike jest tak dużo ludzi. Nigdy ich tyle na raz przedtem nie widział.

Wbrew swojej woli nagle zwolnił kroku, a Wielki Olaf posuwistym krokiem znów go wyprzedził. Kurzawa miał wrażenie, że serce mu pęknie, a równocześnie tracił wszelką władzę nad swymi nogami. Wiedział, że go niosą, nie zdawał sobie jednak sprawy z tego, w jaki sposób to się dzieje i jakim cudem nacisk silnej woli zmusza je, aby dotrzymały kroku olbrzysiemu współzawodnikowi.

Otwarte drzwi biura komisarza złota zjawiły się przed nimi. Obaj zrobili ostateczny, daremny wysiłek. Przegonić się nie mogli, wobec czego ramię w ramię skierowali się ku drzwiom, zderzyli się gwałtownie i padli u progu.

Dźwignąwszy się, usiedli, byli jednak zbyt wyczerpani, by mogli wstać. Wielki Olaf, cały zlany potem i dysząc z trudem, bił rękami powietrze, na próżno starając się przemówić. Następnie wyciągnął dłoń z gestem, który nie wymagał komentarzy. Kurzawa podał mu rękę.

— Bieg na śmierć i życie — usłyszał Kurzawa głos komisarza, ale było to jakby we śnie, a głos ten był bardzo cichy i bardzo daleki.

— Mogę wam powiedzieć tylko jedno, a mianowicie, żeście obaj pierwsi przyszli do mety. Będziecie musieli podzielić się działem, jesteście współnikami.

Kiedy podpisywali umowę, ręce im drżały. Wielki Olaf kiwał przez chwilę głową i jękał się. Wreszcie odzyskał głos.

— Ty przekłety *chechaquo* — rzekł z akcentem podziwu. — Jak tego dokazałeś, nie wiem, ale przecie dokazałeś.

Wielki, gwarny tłum zgromadził się na ulicy, a biuro zapełniało się coraz to nowymi przybyszami. Kurzawa i Wielki Olaf próbowali się dźwignąć, przy czym wzajemnie sobie pomagali. Kurzawa stanął wreszcie na nogach i zatoczył się jak pijany. Wielki Olaf potoczył się ku niemu.

— Bardzo mi przykro, że moje psy napadły na twoje. — Nie było rady! — odrzekł Kurzawa dysząc ciężko. — Słyszałem, jak krzyczałeś.

— Słuchaj — mówił Wielki Olaf, a oczy mu błysnęły — ale ta dziewczyna... morowa, co?

— Morowa! — zgodził się Kurzawa.

KOCHANY KLEKS

Nie myślę już prawie o Stefanie Mackaye, chociaż przez niego nauczyłem się kłąć. Pamiętam, że swego czasu kochałem go więcej niż rodzonego brata. Jeżeli jednak kiedykolwiek spotkam Stefana Mackaye — nie odpowiadam za swoje czyny. Nie mieści mi się bowiem w głowie, żeby człowiek, z którym dzieliłem chleb i kołdrę, człowiek, z którym przewędrowałem wielki szlak Chilcoot, mógł tak postąpić. Uważałem Stefka za szczerego chłopaka! dobrego kolegę, który nie wie, co to podstęp i zdrada. Odtąd nie będę już ufał swoim sądom o ludziach. Ech, co tu gadać, pielęgnowałem go przecie podczas tyfusu, zdychaliśmy razem z głodu nad rzeką Stewarta, wreszcie on ocalił mi życie przy Małym Łososiu. I oto teraz, po tylu latach przeżytych razem, jedno tylko mogę powiedzieć o Stefanie Mackaye: jest najpodlejszym człowiekiem, jakiego w ogóle znałem.

Wybraliśmy się do Klondike jesienią 1897 roku, lecz wyjechaliśmy zbyt późno, żeby minąć Chilcoot przed zamarznięciem wód. Część drogi przebyliśmy więc z tobołami na plecach, a kiedy sypać począł śnieg, musieliśmy kupić psy, żeby dalej wieźć dobytek sankami. W ten sposób doszliśmy do posiadania owego Kleksa. Psy były drogie, zapłaciliśmy za ten okaz sto dziesięć dolarów. Wyglądał na tę cenę. Powiadam „wyglądał”, był to bowiem jeden z najpiękniejszych psów, jakie zdarzyło mi się widzieć. Ważył sześćdziesiąt funtów i posiadał doskonałą budowę pociągowego zwierzęcia.

Me mogliśmy nigdy określić jego rasy. Ani to wilczur, ani to malemute, ani pies z Zatoki Hudsona. Podobny był do każdego, a przecie nie wyglądał jak żaden z nich. Ponadto miał w sobie coś z psów białego człowieka, albowiem w gąszczu barw żółto-brązowo-rudych oraz brudnobiałych widniała czarna jak węgiel plama wielkości sporego czerpaka do wody.

Prezentował się pięknie. Kiedy był w formie, muskuły wzbierały mu na całym ciele niby węzły. Wyglądał najsilniej pośród psów Alaski i najbardziej inteligentnie. Na pierwsze spojrzenie przysiągłbyś, że może uciągnąć tyle, co trzy psy tej samej wagi. Może by i uciągnął. W każdym razie — nie widziałem tego. Jego inteligencja nie pracowała w tym kierunku. Za to sztukę kradzieży i rabunku opanował wyśmienicie. Posiadał niesamowitą wprost zdolność zgadywania, kiedy zanosi się na robotę, i wymykania się na tę właśnie chwilę. W sposób zupełnie natchniony potrafił się zgubić, a przecie nie zginąć. Kiedy szło o podjęcie jakiegokolwiek wysiłku, wszelka inteligencja opuszczała go doszczętnie, pozostawiając tylko kłęb przelewającej się idiotycznie galarety, której sam widok mógł doprowadzić do ataku sercowego. Przypuszczałem nieraz, że nie jest to głupota. Może ten pies, jak niejeden ze znanych mi ludzi, jest po prostu zbyt mądry, żeby pracować? Nie dziwiłbym się wcale, gdyby mu starczyło sprytu do zwalenia całej pracy na cudze barki. Może on to wszystko przemyślał i po prostu doszedł do wniosku, iż lepiej jest oberwać od czasu do czasu i nic nie robić, niż nie brać w skórę, lecz pracować. Był dość inteligentny, żeby przeprowadzić podobne porównanie. Powiadam wam, siadywałem nieraz i patrzyłem w oczy tej bestii; aż dreszcz przebiegał mi po krzyżu na widok inteligencji, jaka w nich widniała. Inteligencji tej nie potrafię określić. Nie mieści się w słowach. Po prostu widziałem ją i tyle. Czasem zdawało mi się, że patrząc w te psie oczy, zaglądam w ludzką duszę. To, com dostrzegał, przejmowało mnie zabobonnym strachem, budząc myśli ni mniej, ni więcej, tylko o reinkarnacji. Powiadam wam, czułem w ślepiach tej bestii coś wielkiego, jakąś wieść tajemniczą, do której zrozumienia mnie samemu brakło jednak wielkości. Cokolwiek to było — wiem, że uważacie mnie za głupca w tej chwili — zbijało mnie z tropu. Nie umiem opisać tego, co kryło się w owych zwierzęcych źrenicach; nie światło ani nawet barwa. Coś, co uciekało w głąb, nawet wtedy, kiedy oczy pozostawały nieruchome. Może zresztą nie widziałem, jak uciekało, ale czułem. Był to raczej wyraz — o tak, nareszcie znalazłem! — wyraz, dający tak

mocne wrażenie. Nie, znowu nie; to było niepodobne do przeciętnego „wyrazu”; było czymś więcej. Ostatecznie — nie wiem, czym było, wiem tylko, że robiło wrażenie bliskości, pokrewieństwa, związku. Nie myślcie o jakimś sentymentalnym braterstwie psa z człowiekiem. Broń Boże! Było to chłodne stwierdzenie zupełnej równości. Te ślepia nie błagały jak oczy sarny; one wyzywały. Nawet nie zuchwale. Po prostu ze spokojnym poczuciem równości. Nie przypuszczam, żeby pies czynił to świadomie. Wierzę tu raczej w zupełną nieświadomość. Miał coś w oczach i nie mógł ukryć, jeśli to w nich błyskało. Nie, źle mówię „błyskało”. Nie błyskało; poruszało się raczej. Wiem, że na pozór mówię głupstwa, ale gdybyście spróbowali patrzeć w oczy tego zwierzęcia tak, jak ja to czyniłem — zrozumielibyście moje słowa. Stefek był pod tym samym wrażeniem. Cóż, raz nawet próbowałem zabić tego Kleksa — był przecież do niczego. I wtedy właśnie — wpadłem. Prowadziłem go w krzaki, on zaś włókł się powoli i opornie. Wiedział, co ma nastąpić. Stałem w jakimś miejscu, przytrzymałem nogą linkę i wyciągnąłem wielki rewolwer Colta. Psisko usiadło i patrzyło mi prosto w oczy. Wierzajcie, nie prosiło. Tylko patrzyło. Zobaczyłem mnóstwo niepojętych rzeczy, poruszających się, tak, poruszających w jego źrenicach. Nie „widziałem” w ścisłym znaczeniu tego słowa, myślałem, że widzę, bo jak już mówiłem, przypuszczam, że tylko czułem. I powiadam wam, przewyższało to moje siły. Czułem się tak, jakbym miał zabić człowieka, świadomego, odważnego człowieka, który spogląda spokojnie w lufę mojej broni, jakby chciał powiedzieć: „No, kto się boi?” Poza tym owa tajemnicza wieść była tak blisko w źrenicach, że ja, głupi, zamiast prędko pociągnąć za cyngiel — czekałem, czy nie uda mi się schwytać jej teraz. Oto jest, oto jest tuż przede mną, lśni w jego oczach! Za późno! Chwycił mnie dreszcz, pod piersiami uczułem nerwowy skurcz jak przed morską chorobą. Nic się przecież nie stało. Po prostu siedziałem i patrzyłem na tego psa, on zaś spokojnie patrzył na mnie. Miałem wrażenie, że zwariuję. Chcecie wiedzieć, co zrobiłem? Cisnąłem rewolwer i umknąłem do obozu z bojaźnią bożą w sercu. Stefek śmiał się ze mnie. Wiem jednak dobrze, że w tydzień później poprowadził Kleksa do lasu w tym samym celu, po czym wrócił sam jeden, po niedługiej zaś chwili — przywędrował Kleks.

Tak czy inaczej, pies pracować nie chciał. Zapłaciliśmy za niego sto dziesięć dolarów (z samego dna mieszka), on zaś nie życzył sobie pracować. Nie raczył nawet naciągnąć rzemieni uprzęży. Kiedy zaprzęgliśmy go po raz pierwszy, Stefan próbował przemówić mu do rozumu. Pies drgnął i na tym koniec. Uprząż nie przestała zwisać. Kleks stał i dygotał jak galareta. Stefan dotknął go batem. Zaskowyczał, ale uprzęży nie poruszył. Stefan śmignął go raz jeszcze, trochę mocniej, i pies zawył — najprawdziwszym, przeciągłym, wilczym głosem. Wtedy Stefan wściekł się i wlepił mu dobre pół tuzina. Wyskoczyłem z namiotu słysząc awanturę.

Oświadczyłem Stefkowi, że jest brutalny, i posprzeczailiśmy się ostro — po raz pierwszy w życiu. Rzucił bat w śnieg i odszedł wściekły. Podniosłem bat i podszedłem do psa. Kochany Kleks skurczył się, zatrząsł i zadygotał, zanim jeszcze gwizdnął rzemień. Przy pierwszym lekkim uderzeniu zawył jak potępieniec, po czym rozpląszczył się na śniegu. Inne psy na mój rozkaz ruszyły biegiem, wlokąc między sobą Kleksa, którego nie przestawałem okładać batem. Sunął grzbietem po śniegu, podskakując na wybojach, powiewając czterema łapami w powietrzu i wyjąc tak przeraźliwie, jakby go siekano na kielbasę. Stefek wrócił i śmiał się ze mnie. Cóż robić, musiałem przeprosić kolegę.

Nie było sposobu zmuszenia Kleksa do pracy; na domiar złego nie miałem nigdy do czynienia z większym żarłokiem i co gorzej, ze zręczniejszym złodziejem. Nie było mowy o schowaniu czegokolwiek przed tą bestią. Niejedno nasze śniadanie obyć się musiało bez słoniny. Kleks bowiem posiadał ją pierwszy. Z jego to winy ledwie nie umarliśmy z głodu, wędrując w górę rzeki Stewarta. Wywachał i dopadł naszej kryjówki z mięsem, czego zaś sam nie dał rady zjeść, pozwolił dokończyć innym psom. Zachowywał się bezstronnie: okradał każdego. Było to zwierzę wiecznie niespokojne,

ciągle zajęte myszkowaniem i wywiadami. Żadnego obozu w promieniu pięciu mil nie ominęły jego odwiedziny. Co gorsza, w rezultacie rewizytowano nas, przedstawiając rachunki jego uczt. Było to sprawiedliwe, bo tak chciało miejscowe prawo, lecz niemniej bardzo ciężkie, szczególnie owej pierwszej zimy na Chilcoot, kiedy wpadliśmy w dziką pasję, jak przyszło płacić za całe poćcie słoniny, której nie dane nam było skosztować. Walczyć też umiał kochany Kleks. Umiał wszystko, tylko praca była mu obca. Nie uciągnął nigdy ani funta, a przecież dowodził całym zaprzęgiem. Sposób, w jaki zmuszał psy do posłuszeństwa, zasługiwał bądź co bądź na miano systemu wychowawczego. Tyranizował kolegów: zawsze przynajmniej jeden z nich naznaczony był świeżymi śladami jego zębów. Kleks nie był wszakże zwykłym awanturnikiem. Nie bał się niczego, co chodzi na czterech łapach; widziałem, jak sam jeden, bez jakiegokolwiek zaczepki, atakował obcy zaprzęg i brał sobie potem niezły haracz. Czy mówiłem już, jak niepospolicie był żarłoczny? Złapałem go kiedyś na gorącym uczynku pożerania bata. Mówię szczerą prawdę. Zaczął widocznie od najcieńszych rzemieni, bo kiedym go dopadł, dochodził już do rączki i wcale nie myślał przestać.

Był za to piękny. Pod koniec pierwszego tygodnia sprzedaliśmy go straży konnej za siedemdziesiąt pięć dolarów. Straż posiadała doświadczonych poganiaczy, byliśmy więc pewni, że w ich rękach Kleks zrobi pięćset mil do Dawson i stanie się doskonałym psem zaprzęgowym. Powiadam „byliśmy pewni”, gdyż nasza znajomość z Kleksem trwała zaledwie tydzień. Niedługo potem nie mieliśmy już dość bezczelności, żeby ręczyć za cokolwiek, gdy w grę wchodziła ta bestia. Po upływie jakiegoś tygodnia obudziła nas nad ranem najdziksza w świecie psia bójka. Okazało się, że powrócił kochany Kleks i na nowo ujarzmił zaprzęg. Zjedliśmy gorzkie śniadanie, możecie mi wierzyć, osłodzone jednak w dwie godziny później, gdyż udało nam się sprzedać go kurierowi śpieszącemu do Dawson z rządowymi depeszami. Kleksowi jednak wystarczyły zaledwie trzy dni nieobecności. Powrócił — i dał nam znać o tym nową, niebywale hałaśliwą awanturą.

Przeprawiwszy przez przełęcz własne toboły zarabialiśmy całą zimę i wiosnę przewożeniem cudzego bagażu. Tłusty to był kęs. Niemało też zarobiliśmy na kochanym Kleksie. Sprzedaliśmy go raz, a potem jeszcze ze dwadzieścia razy. Kleks powracał zawsze, nikt zaś nie upominał się o zwrot pieniędzy. Nie pragnęliśmy ich bynajmniej, sami z przyjemnością gruba byśmy dopłacili temu, kto by potrafił zabrać psa i przytrzymać. Mieliśmy go dosyć, ale nie można było oddawać go darmo, żeby nie budzić podejrzeń. Był jednak taki ładny, że kupców mieliśmy pod dostatkiem. „Niepotrzebny” — mówiliśmy i dawano nam za niego każdą cenę. Raz co prawda oddaliśmy go za dwadzieścia pięć dolarów, innym razem jednak osiągnęliśmy całe sto pięćdziesiąt. Kupiec wówczas osobiście zwrócił nam nabytek, odmawiając odbioru swoich pieniędzy i wymyślając tak, że uszy wędły. Oświadczył, że uważa tę cenę za bardzo niską wobec przyjemności powiedzenia nam, co o nas myśli. Miał słuszość. Nie mogliśmy nic odpowiedzieć. Od tego dnia nie odzyskałem już nigdy dawnego szacunku dla samego siebie.

Kiedy lody ruszyły na rzece i jeziorach, wpakowaliśmy nasz dobytek do łodzi i jeziorem Bennett ruszyliśmy w stronę Dawson. Nasze psy były doskonałe, więc zabraliśmy je również. Nie brakło i kochanego Kleksa. Nie było sposobu pozbycia się tego skarbu. Pierwszego dnia podróży ze dwanaście razy wrzucał do wody coraz to innego psa. Nie lubił tłoku. .

— Ten pies potrzebuje przestrzeni — stwierdził Stefan nazajutrz. — Wypuśćmy go na ląd.

Uczyniliśmy to, przybiwszy tylko w tym celu do brzegu przy Jelenim Rozstaju. 'Dwa inne psy (i to dobre psy) wyskoczyły w ślad za kochanym Kleksem i straciliśmy cały dzień próbując je odszukać. Nigdy już ich nie ujrzelśmy, lecz błogi spokój, jakiego zażywaliśmy teraz, wart był tej ceny (jakby powiedział ów kupiec, który nie chciał zwrotu stu pięćdziesięciu dolarów). Po raz pierwszy od kilku miesięcy obaj ze Stefanem mogliśmy po dawnemu śmiać się, gwizdać i śpiewać. Jakże byliśmy

szczęśliwi! Dni udręki minęły. Odeszły zmory nocne. Kochany Kleks opuścił nas wreszcie.

Pewnego ranka, w trzy tygodnie później, staliśmy ze Stefkiem na brzegu rzeki w Dawson. Małeńka łódka sunęła od strony jeziora Bennett. Ujrzałem nagle, że Stefek rzuca się do ucieczki i mruczy coś bardzo brzydkiego i zupełnie niespodziewanego. Spojrzałem: tam, na dziobie owej łódki, stał z nastawionymi uszami — Kleks! Zaczęliśmy wiać natychmiast, jak bite kundle, jak tchórze, jak złoczyńcy umykający przed rękami sprawiedliwości. Tak pomyślał zapewne oficer policji, który zobaczył naszą paniczną ucieczkę. Przypuszczał, że policjanci jadący w łódce nas właśnie szukają. Nie czekał na wyjaśnienia, lecz puścił się naszym tropem i przyłapał nas w kącie pewnego szynku. Trudno nam się było wytłumaczyć, albowiem kategorycznie odmówiliśmy udania się na spotkanie łodzi i psa. Wreszcie oficer zostawił nas w szynku pod strażą innego policjanta i sam poszedł do stróżów prawa przybyłych łódką. Uwolniony wreszcie od jego troskliwej opieki, udaliśmy się do swej chaty. Podchodzimy — a kochany Kleks siedzi już na progu i czeka. Skąd wiedział, że tu właśnie mieszkamy? Czterdzieści tysięcy ludzi obozowało tego lata w Dawson; jakim sposobem pies potrafił rozpoznać naszą chatę? Skąd w ogóle wiedział, że jesteśmy w Dawson? Pozostawiam to wam do rozstrzygnięcia. Pamiętajcie wszakże, co mówiłem o inteligencji tego zwierzęcia i owym nieśmiertelnym „czymś”, co błyskało w jego oczach.

Nie było sposobu zgubienia natręta. Zbyt wielu obecnych mieszkańców Dawson kupowało go swego czasu w drodze przez Chilcoot. Anegdota obiegła miasto. Kilka razy zostawialiśmy Kleksa na pokładzie parowców, ruszających z biegiem Yukonu. Wysiadał sobie na pierwszej przystani i brzegiem człapał z powrotem. Nie mogliśmy go sprzedać, nie mogliśmy go zabić (próbowaliśmy już obaj) i co gorsza, nie mógł go zabić nikt inny. Prowadził rozkoszne życie. Kiedyś wmieszał się w psią bitwę na jednej z głównych ulic miasta. Klębiło się nad nim z pięćdziesiąt bestii. Kiedy jednak rozpędzono hałastrę, Kleks pojawił się nietknięty, w całej swej okazałości, chociaż dwa psie trupy pozostały na polu walki.

Pewnego razu widziałem, jak zrabował ze spiżarni starszego Dinwiddie płat jeleniego mięsa. Zdobycz była tak ciężka, że pies, trzymając ją w zębach, mógł zaledwie o parę kroków wyprzedzić goniącą go trop w trop kucharkę z siekierą. Kiedy wreszcie kucharka zaprzestała pogoni, a pies; wgramolił się na pagórek, sam pan Dinwiddie wyszedł przed dom i wyładował w okolicę swój wielki Winchester. Dwukrotnie wypróżnił magazyn, lecz nawet nie zadrasnął kochanego Kleksa. W tej chwili właśnie nadszedł stróż bezpieczeństwa i zaarrestował jegomościa za użycie broni palnej w obrębie miasta. Pan Dinwiddie zapłacił karę, my zaś zapłaciliśmy mu za jelenie mięso po dolarze od funta, nie wyłączając kości. Tak jest, nie przesadzam. Mięso było drogie tego roku.

Opowiadam tyle tylko, ile widziałem na własne oczy. To, co powiem teraz, jest również jak najściślej prawdziwe. Widziałem, jak kochany Kleks wpadł do przerębli. Lód miał trzy i pół stopy grubości, prąd zaś wessał psa jak słomkę. O trzysta jardów poniżej znajdowała się ogromna przerębla, skąd brano wodę na potrzeby szpitala. Kochany Kleks wygramolił się po pewnym czasie ze szpitalnej przerębli, otrząsnął wodę, ogryzł lód wmarznięty między palce, podreptał po brzegu i napadł niezwłocznie na wielkiego nowofunlandczyka należącego do handlarza złotem.

Jesienią roku 1898 obaj ze Stefkiem odpłynęliśmy na ostatniej wodzie w górę Yukonu, zmierzając ku rzece Stewarta. Zabraliśmy wszystkie psy prócz Kleksa. Uważaliśmy, że karmimy go już wystarczająco długo. Kosztował nas więcej czasu, kłopotu, pieniędzy i żywności, zwłaszcza żywności, niż dał zarobić na sobie w Chilcoot. Tak więc Stefek i ja przywiązaliśmy go w chacie i odpłynęliśmy. Pierwszego wieczoru rozbiliśmy obóz przy rzece Indiańskiej, nie posiadając się z uciechy, że nareszcie udało nam się wystrychnąć Kleksa na dudka. Stefek opowiadał kawały, ja zaś siedziałem owinięty w koce i pokładałem się ze śmiechu, gdy wtem huragan nawiedził obóz. Impet, z

jakim Kleks rzucił się na zaprzęg i styanizował wszystkie psy, zjeżyć mógł widzom włosy na głowie. Jakże się odwiązał, u licha? Przechodzi to moje pojęcie. Nie mam nawet żadnej teorii na ten temat. Jakim sposobem przedostał się przez rzekę Klondike? Jeszcze jeden problem. Skądże wreszcie wiedział, że pojechaliśmy w górę Yukonu? Przecież 'na wodzie nie mógł wywęszyć naszych śladów. Stefan i ja zaczęliśmy żywić pewne przesady na temat tego psa. Poza tym działał nam na nerwy. Wreszcie — niech to zostanie między nami — czuliśmy przed nim coś w rodzaju zabobonnej trwogi.

Mrozy zastały nas przy ujściu potoku Henderson; sprzedaliśmy tam Kleksa za dwa worki mąki pewnej wyprawie udającej się po miedz w górę rzeki Białej. Cała ta wyprawa zginęła. Nie odnaleziono nigdy śladu sanek ani dobytku, nie zobaczono ani skóry, ani kości, ani włosa psa lub człowieka. Przepadli jak kamień w wodę. Los tej wyprawy stał się z czasem jedną z tajemnic Alaski. My ze Stefkiem powędrowaliśmy w górę rzeki Stewarta, w sześć zaś tygodni później — kochany Kleks wpęłzył do naszego namiotu. Wyglądał jak szkielet i ledwie się trzymał na nogach, a przecież dobrnął aż tutaj. Chciałbym wiedzieć tylko jedno: kto go poinformował, że się wybieramy w górę rzeki Stewarta? Mogliśmy udać się w tysiąc innych miejsc. Skąd, bestia, wiedział? Powiedzcie mi — jeśli wiecie. Nie było dla nas ucieczki. Koło Mayo Kleks rozpoczął zwadę z jakimś psem indiańskim. Właściciel napadniętego rzucił w Kleksa siekierą, nie trafił i zabił własnego psa. Co tu gadać o czarach i odbijaniu kul! Uważam, że znacznie trudniej jest odbić siekierę, zwłaszcza z Indianinem na końcu. Kleks uczynił to w moich oczach. Dzikus nie chciał przecież zabić własnego psa. Kto by przy tym obstawał, musiałby mi tego dowieść.

Opowiadałem już, jak Kleks okradł naszą kryjówkę mięsa. O mały włos nie spowodował tym naszej śmierci. Nie było na co polować w tej okolicy, prócz mięsa nie posiadaliśmy żadnych zapasów. Jelenie odeszły o dobre setki mil, Indianie zaś za nimi. Pozostaliśmy sami. Trzeba było czekać nadejścia wiosny i ruszenia lodów. Schudliśmy niezgorzej, zanim postanowiliśmy zjeść własne psy. Naturalnie przede wszystkim Kleksa. Czy wiecie, co zrobił? Uciekł. Jakim sposobem przeczuł nasze postanowienie? Czyhaliśmy na niego całymi nocami, ale nie wrócił, nie wrócił wcale. Musieliśmy zjeść inne psy. Zjedliśmy wtedy cały zaprzęg.

A teraz ciąg dalszy. Wiecie, jak wygląda przerwanie lodów na wielkiej rzece, kiedy kilka milionów ton podnosi się, topnieje, grzmi i burzy? W samym środku tego lodowego kotła — kiedy rzeka Stewarta ruszyła i poniosła trzeszcząc i rycząc — dostrzegliśmy pewnego dnia kochanego Kleksa. Widocznie złapało go, kiedy próbował przebiec ku nam przez rzekę. Obaj ze Stefkiem wpadliśmy w szal radości. Biegaliśmy po brzegu tam i z powrotem, wrzeszcząc z uciechy i wyrzucając czapki w powietrze. Od czasu do czasu stawaliśmy ściskając się w uniesieniu, albowiem dane nam było oglądać koniec Kleksa. Nie miał nawet jednej szansy na milion. Me miał w ogóle żadnych widoków. Gdy kra spłynęła, siedliśmy do łódki i powiosłowaliśmy z biegiem Yukonu do Dawson. Zatrzymaliśmy się tylko na tydzień przy ujściu potoku Henderson, żeby zakupić żywności i trochę podjeść. A kiedy wreszcie wysiedliśmy na brzeg w Dawson — siedział już tam, pełen oczekiwania, kochany Kleks z nastawionymi uszami, merdającym ogonem i uśmiechniętym pyskiem. Nie omieszkał przywitać nas z wylewną serdecznością. Cóż? Jakim sposobem bydlak wylazł z tego lodu? Skąd mógł wiedzieć, iż przyjedziemy do Dawson o tej właśnie godzinie i minucie, że tak siedział na brzegu i czekał niecierpliwie? Im dłużej myślę o tym psie, tym mocniej jestem przekonany, że dzieją się na świecie rzeczy, o których się filozofom nie śniło. W żaden „naukowy” sposób nie wytłumaczycie mi mego Kleksa. Co do mnie, obstaję przy swoim, iż jest to zjawisko nadprzyrodzone, im więcej zaś dosypiecie do swych rozważań teozofii czy innego mistycyzmu, tym lepiej.

Klondike jest dobrym krajem. Żyłbym tam sobie dotychczas i zbiłbym już grube miliony, gdyby

nie ów Kleks. Stanowczo działał mi na nerwy. Znosiłem go dobre dwa lata, po czym nadszedł kres mojej wytrzymałości. W lecie roku 1899 wyjechałem. Nie powiedziałem Stefkowi ani słowa. Po prostu umknąłem. Interesy uporządkowałem. Zostawiłem Stefkowi list z poleceniami i gotówką. Wymęczony byłem do szpiku kości przez to psisko i doszedłem do takiego zdenerwowania, że nie mogłem się powstrzymać od ciągłego szukania wzrokiem dookoła, nawet jeśli nikogo nie było w pobliżu. Dziwne! Gdy tylko pozbyłem się Kleksa — spokój i siły zaczęły mi powracać niezwykle szybko. Zanim dojechałem do San Francisco, przybyło mi dwadzieścia funtów, a gdy prom niósł mnie do rodzinnego Oakland, byłem już dawnym sobą tak dalece, że nawet moja żona nie zauważyła żadnej zmiany.

Stefan napisał do mnie raz jeden. List wydał mi się nieco smutny. Gniewał się chłopak, że go zostawił z Kleksem. Pisał mi również, że gotówki użył zgodnie z moimi poleceniami i że wszystko jest w porządku. Minął rok. Powróciłem do biura i działało mi się dobrze. Nawet zacząłem już nabierać brzuszka. Nagle — przyjechał Stefek. Nie odwiedził mnie jednak. Przeczytałem tylko ze zdziwieniem jego nazwisko na liście przybyłych. Niedługo się dziwiłem. Pewnego pięknego poranku zastałem kochanego Kleksa uwiązanego u furtki i broniącego przystępu naszemu mleczarzowi. Tego samego ranka — jak się później dowiedziałem — Stefan wyjechał z powrotem na Północ. Cóż miałem począć? Żona kazała mi kupić pięknemu psu obrozę i świadectwo, pies zaś już po upływie godziny okazał swą wdzięczność, upolował bowiem jej ulubieńca, perskiego kota. Niesposób pozbyć się kochanego Kleksa! Nie uwolni mnie już od siebie aż do końca moich dni, on bowiem — nie umrze nigdy.

Sen i apetyt nieco mi się popsuły, żona uważa, że zmizerniałem. Zeszłej nocy Kleks zaatakował kurnik pana Har-weya. (pan Harwey jest moim najbliższym sąsiadem) i udusił dziewiętnaście ślicznych, rasowych kurcząt. Musiałem za nie zapłacić. Inni sąsiedzi posprzecjali się z moją żoną i wyprowadzili się. Powodem był Kleks.

Oto dlaczego rozczarowałem się do Stefana Mackaye. Nie przypuszczałem nigdy, że jest człowiekiem tak podłym.

SKARBY SEZAMU

O powiadanie to — prawdziwsze, niżby się zdawać mogło — będąc anegdotą z krainy złota, może być również historią ludzkiego pecha. Zależy od kąta widzenia. Pech — to jeszcze bardzo łagodne słowo, gdy mowa o przygodzie Kinka Mitchella i Hootchinoo Billa. Obaj zainteresowani mają na ten temat poglądy nieco bardziej gorzki; wiadomo o tym w całym kraju Yukonu.

Pewnego jesiennego dnia 1896 roku obaj wspólnicy zbiegli szybko ze wschodniego brzegu Yukonu i z kryjówki w mchu wydobyli ostrożnie piękną łódkę typu Peterborough. Powierzchność obu młodzieńców pozostawiała wiele do życzenia. Kilkumiesięczne poszukiwania złota, najeżone trudnościami i ubogie w żywność, postrzępiły im ubrania w łachmany, a ciała wychudziły na szkielety. Chmura moskitów brzęczała nad głowami. Twarze pokryte były warstwą niebieskawego błota. Obaj mieli przy sobie kawały wilgotnej gliny i natychmiast smarowali nią twarze, gdy tylko wyschła poprzednia warstwa. Wyrażna kłótliwie żalosna nuta w ich głosach i nerwowe, urywane ruchy świadczyły o tym, że dawno nie zaznali spokojnego snu nękani walką z nieznośną, drobną, skrzydlatą zmorą.

— Zagryzą na śmierć, gadziny! — mruknął Kink Mitchell, kiedy dziób łódki schwycił prąd i łódka odskoczyła od brzegu.

— Uszy do góry, uszy do góry! Już bliski koniec biedy — odrzekł Hootchinoo Bill usilnie starając się nadać ton serdecznej jowialności swemu grobowemu głosowi. — Za czterdzieści minut będziemy w Czterdziestej Mili, wtedy zaś... żebyś pękł, diable przeklęty!

Jedna ręka rzuciła nagle wiosło i ostro trzepnęła po karku. Bill położył świeżą warstwę gliny na ukąszone miejsce, nie przestając wymyślać szpetnie i głośno. Kinka nie bawiło to bynajmniej, aby jednak uniknąć czegoś podobnego, starannie obłożył sobie szyję gliną. Przeprawili się ku zachodniemu brzegowi Yukonu i lekko uderzając wiosłami, pomknęli z prądem. Po upływie czterdziestu minut ostro zawrócili w lewo, poza występ wysepki. Miasteczko Czterdziesta Mila rozpostarło się nagle przed nimi. Obaj wiosłarze wyprostowali schylone grzbiety i przyglądali się widokowi. Sunąc z prądem patrzyli długo i coraz uważniej. Na ich twarzach wzbierał wyraz zdziwienia i mieszanina. Ani jednej smużki dymu nad setkami drewnianych domków! Nie słysząc odgłosów siekiery ostro gryzącej drzewo, nie słysząc młotków i pił, nie widać psa ani człowieka przed wielkim składem żywności! Nie ma na brzegu parowców, łódek, kajaków. Rzeka jest naga — miasteczko stoi puste!

— Wygląda na to, że archanioł Gabriel zagrał już na trąbie, tylko myśmy nie dosłyszeli — zauważył Hootchinoo Bill.

Uwagę swą rzucił tonem tak lekkim, jakby istotnie nie zaszło nic nadzwyczajnego. Kink Mitchell odpowiedział tak samo. Zdawać by się mogło, że żaden nie doznał niepokojów.

— Najwidoczniej wszyscy najpierw przyjęli chrzest, a potem zabrali łódki głęboko przekonani, że na miejsce sądu ostatecznego można się dostać jedynie wodą...

— Hm, mój pradziad był niewątpliwie ochrzczony, a przecież zawsze utrzymywał, że owo miejsce leży właśnie w odległości czterdziestu tysięcy mil z biegiem rzeki — dodał Bill.

Na tym skończył się lekkomyślny nastrój. Wprowadzili łódkę do przystani, uwiązali przy pomoście i wbiegli prędko na wysoki brzeg. Uczucie zabobonnej trwogi ogarniało ich, w miarę jak szli wymarłymi uliczkami. Promienie słońca łagodnie obejmowały miasteczko. Lekki wiatr trzepał chorągiew o drzewce przed zamkniętymi drzwiami sali tańca zwanej „Kaledonia”. Moskity brzęczały, pokrzykiwały mewy, głodne wróble trzepotały między domami. Lecz ani śladu człowieka, ani cienia ludzkiego życia.

— Skonam, jeśli nie przełknę choć kieliszka wódki — odezwał się Bill, mimo woli zniżając głos do szeptu.

Towarzysz skinął głową, nie mając odwagi usłyszeć własnego głosu w tej grobowej ciszy. Szli dalej w nieprzyjemnym milczeniu, aż stanęli przed niespodzianką otwartych drzwi. Ponad tymi drzwiami i wzdłuż całego budynku wielki, koślawy napis obwieszczał ni mniej, ni więcej, tylko „Monte Carlo”, lecz co ważniejsze, na progu, wygrzewając się w słońcu, siedział stary człeczyna w kapeluszu zsuniętym na oczy. Włosy i brodę hodował długie, białe i patriarchalne.

— Ejże! Czy to przypadkiem nie stary Jim Cummings? Spóźnił się widocznie tak jak my na chwilę zmartwychwstania! — powiedział Kink Mitchell.

— Raczej nie dosłyszał trąbki archanioła — podsunął Bill.

— Halo, Jim! Obudź się! — huknęli basem.

Stary rozprostowywał grzbiet powoli i niechętnie, przymykając oczy i mruczając odruchowo: „Co podać, panowie? Co podać?”

Weszli za nim do środka i stanęli za ladą baru, zwykle obsługiwaną z trudem przez pół tuzina chłopców. Wielka izba, codziennie hucząca rozgwarem życia, cicha była jak grób. Nie sypały się kości ruletki, nie postukiwały bilardowe kule. Stoły do gry, w pokrowcach z szarego płótna, wyglądały jak nagrobki. Z sali tańca nie dochodziły wesołe głosy kobiet. Stary Jim Cummings drżącymi rękami napełniał szklanekę, a Kink Mitchell gryzmołił swój monogram na zakurzonej ladzie.

— Nie ma dziewczynek, co? — spróbował niezręcznie zażartować Bill.

— Pojechały — brzmiała odpowiedź byłego szynkarza, wypowiedziana głosem tak cienkim i suchym jak on sam, tak drżącym jak ruchy jego ręki.

— Gdzież jest Bidwell i Barlow?

— Pojechali.

— A Sweetwater Charley?

— Pojechał.

— A jego siostra?

— Też pojechała.

— A twoja córka Sally i jej niemowlę?

— Pojechali, wszyscy pojechali! — Stary smutnie pokiwał głową, gapiąc się w przestrzeń ponad zakurzonymi butelkami.

— Wielki Sardanapalu! Dokąd? — wybuchnął Kink Mitchell tracąc już panowanie nad sobą. — Czy chcesz powiedzieć, że przez miasto przeszła zaraza?

— Jak to, nie słyszeliście? — stary zachichotał cicho. — Wszyscy pojechali do Dawson.

— A to co znowu? — zdziwił się Bill. — Nowy potok? bar? miejscowość?

— Nie słyszeliście nigdy o Dawson, co? — stary chichotał wprost nieznośnie. — Dawson to miasto, duże miasto, większe niż Czterdziesta Mila. O tak, moi panowie, większe niż Czterdziesta Mila.

— Jestem w tym kraju od siedmiu lat — oświadczył Bill z emfazą — i pozwalam sobie stwierdzić, że nigdy nie słyszałem o tym wspaniałym grodzie. Czeka! Nalej no jeszcze. A to mi nowina. Gdzież leży to sławne Dawson, o którym mówisz?

— Na wielkiej płaszczyźnie, tuż poniżej ujścia Klondike do Yukonu — odrzekł stary Jim. — Ale gdzieżecie siedzieli całe lato?

— Niech was to zbytnio nie obchodzi — odrzekł sucho Kink Mitchell. — Byliśmy tam, gdzie trzeba kijem rozpędzać komary, jeśli się chce spojrzeć na słońce, żeby zobaczyć, która godzina. Nieprawdaż, Bill?

— Święta prawda — odrzekł zagadnięty — ale wracając do twego Dawson, ile tam można zarobić, stary, hę?

— Wyplukują po uncji z każdej patelni nad potokiem zwanym Bonanza, a jeszcze nie doszli do głównej żyły.

— Któż to odkrył? — Carmack.

Na dźwięk imienia szczęśliwca obaj przyjaciele wymienili spojrzenia pełne niesmaku. Potem uroczyście pokiwali głowami.

— Mieszaniec — burknął Hootchينو Bill.

— Mąż Indianki — sarknął Kink Mitchell.

— Nie raczyłbym nawet włożyć mokasynów, żeby pchać się do czegoś, co znalazł taki gość — oświadczył Bill.

— Zgadzam się z przedmówcą — potwierdził jego towarzysz. — Leń, który nie umie nawet łowić łososi. Dlatego właśnie zadał się z Indianami. A cóż ten jego śliczny szwagierek... jakże, mu tam?... ten Skookum Jim... czy też wyruszył?

Stary szynkarz potwierdził:

— Naturalnie. Poza tym cała Czterdziesta Mila prócz mnie i paru kalek.

— I pijaków — dodał Kink Mitchell.

— O nie, mój łaskawco, wcale nie! — z uniesieniem zawołał stary.

— Założę się, że ten popijbrat Honkins został w domu! — krzyknął pewny swego Bill.

— Ale! — twarz starego Jima rozjaśniła się nagle. — Przyjmuję zakład. Przegrałeś.

— Jakim sposobem ta stara beczka wytoczyła swoje klepki z za szynkwasu? — zaciekawiał się Mitchell.

— Związali go i wrzucili do łódki — tłumaczył stary Jim. — „Idziesz, bratku, i basta”, powiedzieli mu wyciągając go z tego oto fotela. Zabrali też trzech innych pijaków spod fortepianu. Powiadam wam, cały obóz ruszył do Dawson, jakby go diabli pognali. Kobiety, dzieci, niemowlęta, cała banda. Bidwell przychodzi do mnie i powiada: „Słuchaj, Jim, miej tu oko na «Monte Carlo», ja wyjeżdżam”. „Gdzież jest Barlow”? — pytam. „Już pojechał — odpowiada — a ja walę za nim z zapasem wódki”. Nie czekał, aż odmówię, poleciał do łodzi i jak wariat odbił od brzegu. Siedzę więc tutaj, ale to pierwsze szklanki, jakie od trzech dni podałem.

Towarzysze spojrzeli po sobie.

— Niechże mnie licho weźmie razem ze wszystkimi guzikami! — zdecydował Hootchينو Bill. — Wydaje mi się, Kink, że my zawsze chwytamy za widelce, kiedy zupa na stole.

— Czy uważasz że to woda na nasz młyn? — odparł Kink. — Ta zwariowana pogoń pijaków, leniuchów i żółtodziobów?

— Za mężem Indianki — dodał Bill. — Ani jednego rzetelnego fachowca w tej całej hołocie.

— Ani jednego fachowca w rodzaju mnie i ciebie, Kink — mądrzył się dalej Bill. — Oni wszyscy pocą się jeszcze przy Brzozowym Potoku. Ani jednego fachowca złotej branży w tej nieprzytomnej wyprawie. Wobec tego oświadczam uroczyście, że nie ruszę się ani krokiem po tropie imię Carmacka.. Musiałbym przedtem zobaczyć kolor piasku.

— Zgadzam się z przedmówcą — przypieczętował Mitchell. — Napijmy się jeszcze po szklaneczce.

Powziąwszy tę decyzję wciągnęli łódź na piasek, przenieśli ładunek do chaty i ugotowali obiad. Jednakże około południa począł ich ogarniać lekki niepokój. Byli ludźmi przywykłymi do niezmaconej ciszy dalekich przestrzeni, lecz to grobowe milczenie miasta przygnębiało ich nieznośnie. Chwyтали się na gorącym uczynku szukania słuchem znajomych dźwięków, czekali na jakiś

hałas, „który nadejść niema skąd”, jak próbował określić Bill. Powlekli się przez puste ulice do „Monte Carlo” i znów wypili po szklaneczce, powędrowali wreszcie na przystań, gdzie woda bulgotała z cicha mijając bale pomostu i tylko czasem rzucał się zabłąkany łoś błyśkając w słońcu.

Usiedli wreszcie w cieniu wielkiego składu żywności i rozpoczęli pogawędkę z magazynierem-suchotnikiem, którego zatrzymała na miejscu groźba krwotoku. Bill i Kink opowiadali, jak będą teraz przez dłuższy czas odpoczywać w swojej chacie po ciężkiej pracy letniej. Ze szczególnym naciskiem, który na pół żądał od słuchacza wiary, na pół dopominał się zaprzeczenia, wmawiali biedakowi, że zażywać tu będzie w całej pełni swobody i odpoczynku. Magazynier nie okazywał jednak zainteresowania. Ciągłe kierował rozmowę na odkrycie Klondike i niesposób było odwrócić jego uwagi. Myślał wyłącznie o tym i o tym tylko mówił, aż wreszcie Hootchينو Bill zerwał się ze złością.

— Diabli nadali całe Dawson! — zawołał.

— Zgadzam się z przedmówcą — odrzekł Kink Mitchell rozjaśniając oblicze: — Mógłby kto pomyśleć, że stało się coś ważnego, a tu po prostu żółtodzioby zerwały się i poleciały na zбитy łeb.

Nagle w dole rzeki ukazała się łódź. Była długa i smukła. Otarła się niemal o brzeg. Trzej wioślarze uparcie bronili jej drągami przed zbytnią gwałtownością prądu.

— Wyprawa z Circle City — objaśnił magazynier. — Widziałem ich już wielu tego popołudnia. Czterdziesta Mila jest bliżej celu p całe sto siedemdziesiąt mil. Ale to nic, ci się też nie dają. Nadrabiają czas.

— Posiedzimy tu sobie i będziemy się patrzyli, jak prze-jeżdżają — oświadczył Bill z wyższością.

Gdy to mówił, druga łódź ukazała się na horyzoncie, a nieco później trzecia i czwarta. Tymczasem pierwsza już mijała siedzących na brzegu. Wioślarze podczas wymiany przyjaznych pozdrowień ani na chwilę nie zaprzestali pracy i chociaż posuwali się zwolna, po upływie pół godziny uniknęli w górze rzeki.

Nieskończony korowód łódek przybywał z dołu. Niepokój Billa i Kinka wzrastał. Spoglądali na siebie ukradkiem, a w oczach ich zapalały się badawcze, pożądlive błyski, lecz odwracali głowy zmieszani, ilekroć spotkały się ich spojrzenia. Wreszcie źrenice schwytały się nawzajem i już nie ustąpiły.

Kink otworzył usta, żeby coś powiedzieć, lecz zabrakło mu słów, więc tylko z otwartymi ustami patrzył na towarzysza.

— To samo właśnie myślałem, Bill — powiedział po chwili.

Uśmiechnęli się do siebie, bez słowa nastąpiło porozumienie i nagle zerwali się na nogi. Przyśpieszyli kroku, wreszcie zaczęli biec.

— Nie można tracić ani chwili wobec tego, że wali tyle ludu — mamrotał zdyszany Kink, jedną ręką rzucając miskę na patelnię, drugą zaś zgarniając garnek i imbryk.

— Pewnie, pewnie — sapiąc przytakiwał Bill z głową i ramionami w skrzyni z odzieżą szukając zimowych skarpetek i ciepłej bielizny. — Słuchaj, Bill, nie zapomnij sody do chleba. Stoi na piecu w kącie.

W pół godziny potem naładowali łódkę i odbili od brzegu, przy czym magazynier pozwalał sobie na złośliwe uwagi o biednych, słabych istotach ludzkich i zaraźliwości „gorączki złota”. Gdy jednak zanurzyli w wodzie długie drągi i pchnęli czółno przeciw prądowi — zawołał;

— Szczęśliwej drogi! Powodzenia! A nie zapomnijcie zająć tam jednej, dwu parcelek na moje imię!

Serdecznie skinęli mu głową, zdjęci szczerym współczuciem dla biedaka, którego choroba

przemocą zatrzymała w domu.

Kink i Bill pracowali ciężko. Wedle prawa Północy wyścig wygrywają najszybsi, co lepsze działki zdobywają najsilniejsi, skarb zaś w swej łaskawości zbiera sobie z tej śmietanki tylko kożuszek. Kink i Bill byli równie szybcy jak silni. Szlak rzeczny przebyli jednym zamaszystym ciągiem pozostawiając za sobą niemałą bandę nowicjuszy, których podobna próba sił od razu zwała z nóg. Z tyłu, pomiędzy Kinkiem i Billem a miasteczkiem Dawson (gdzie porzucono łodzie rozpoczynając wędrówkę lądem), brnęła, awangardą mieszkańców Circle City. W wyścigu, który zaczął się w momencie opuszczenia Czterdziestej Mili, dwaj towarzysze przegonili wszystkie łodzie. Ostatnią wyprzedzili o jedną długość przy samym pomoście w Dawson i popsuli humory jej wioślarzom, którzy wychodzili właśnie na ląd.

— Aha! Szukaj wiatru w polu! — prychnął Hootchينو Bill ścierając gęsty pot z czoła i spoglądając wstecz na przebytą drogę.

Trzej ludzie wyłonili się nagle zza drzew. Dwaj poszli tuż za Billem i Kinkiem. Po chwili z daleka dostrzeżono jeszcze mężczyznę i kobietę.

— Prędeż, Kink! Nogi za pas, bratku!

Bill przyśpieszył kroku. Mitchell obejrzał się swobodnie za siebie.

— Założę się, o co chcesz, że ich nabijemy w butelkę!

— Oto masz gościa, który sam się nabił w butelkę — odpowiedział Bill wskazując na brzeg drogi.

Jakiś człowiek leżał na wznak, z trudem chwytając oddech wycieńczonymi do cna piersiami. Twarz miał śmiertelnie bladą, oczy nabrzmiące: krwią i wysadzone z orbit. Przysiągłbyś, że umiera.

— *Chechaquo!* — burknął Kink Mitchell. W jego głosie nabrzmiła głęboka pogarda starego wygi „z kwaśnego ciasta” dla żółtodzioba, który zaopatruje się w mąkę „samorosnącą” i używa wymyślnych proszków do pieczenia chleba.

Dwaj towarzysze zgodnie z tradycją bywalców Północy zamierzali iść z biegiem rzeczki i wbić swoje kołki nieco niżej od miejsca odkrycia. Tymczasem okazało się, że tam, gdzie stali, widnieje już wyryte czyjeś „81 poniżej”, inaczej mówiąc, przed nimi zajęto pełne osiem mil dzielące ich Jeszcze od miejsca odkrycia. Wobec tego musieli zmienić plan. Postanowili minąć miejsce odkrycia i wetknąć swoje kołki „powyżej”. Owe osiem mil śmignęli w dwie godziny, chociaż trzeba było przedzierać się bezdrożami i chociaż po obu stronach drogi leżeli wyczerpani ludzie, którzy odpadli w wyścigu.

W miejscu odkrycia niewiele wiedziano, co słyhać „powyżej”. Indiański szwagier Carmacka, zwany Skookum Jim, posiadał mgliste wiadomości, że jakoby zajęto tam już wszystko do numeru 30. Kiedy jednak Bill i King kopnęli się dalej i dobrnęli wreszcie do numeru „79 powyżej” — cisnęli tobołki na ziemię i usiedli zapalić papierosa. Wszystko na próżno! Bonanza zajęta od źródeł aż do ujścia! „Jak okiem sięgnąć i do następnej przełęczycy” — prostował informacje Carmacka Bill, kiedy wieczorem zasiedli przy ognisku w miejscu odkrycia, żeby usmażyć słoniny i zagrzać kawy.

— Spróbujcie jeszcze tego szczeniaka — poradził im Carmack na drugi dzień rano.

„Szczeniak” był to maleńki strumyk wpadający do Bonanzy przy numerze „7 powyżej”. Dwaj towarzysze przyjęli tę radę z wyniosłym uśmiechem „ludzi tradycji” pod adresem jakiegoś tam męża Indianki i umyślnie spędzili cały dzień na szukaniu miejsca wzdłuż potoku Adama, jednego z dopływów Bonanzy, budzącego większe zaufanie. Ale tu powtórzyła się ta sama historia: zapchane od góry do dołu.

Przez trzy dni z rzędu Carmack powtarzał swoją radę i przez cały ten czas przyjmowano ją uśmiechem pobłażania. Czwartego dnia jednak spróbowali „szczeniaka”, bo nie było już dokąd

pójść. Wspólnicy wiedzieli, że nie ma tam jeszcze niczych kołków, swoich też nie zamierzali wbijać. Wędrowali raczej, by ulżyć złym humorom, niż w jakichś określonych celach. Stali się cynicznymi niedowiarkami. Drwili sobie ze wszystkich i wszystkiego, obrażając po drodze każdego spotkanego chechaquo. Za działką „A 23” nie było już żadnych kołków. Dalsze brzegi strumienia czekały na przybyszów.

— Wypas dla jeleni — burknął Kink Mitchell. Bill najpoważniej odmierzył pięćset kroków w górę rzeczki i wbił kołki w rogach. Potem odnalazł jakieś dno drewnianej skrzynki od świec, przytwierdził je do kołka wbitego pośrodku działki i jak najstaranniej wykalił grafował:

To wspaniałe pastwisko jeleni zarezerwowane jest wyłącznie dla Szwedów i żółtodziobów.

(—) *Bill Rader*

Kink odczytał te słowa z uznaniem i oświadczył:

— Ponieważ wyraziłeś również moje uczucia, pozwolę sobie przypieczętować je swoim podpisem. — Tak więc imię i nazwisko „Charles Mitchell” dodane zostało do owej enuncjacji; od tego dnia twarz niejednego starego wygi rozjaśniała się na widok bratniej duszy.

— No cóż tam „szczeniak”? — zagadnął Carmack, kiedy dwaj towarzysze wrócili do obozu.

— Do diabła ze szczeniakami! — odburknął Hootchinoo Bill. — Spróbujemy poszukać Sezamu, jak tylko trochę odsapniemy.

„Sezam” była to legendarna *rzeczka*, o której śniły wszystkie stare wygi Północy i o której mówiono, że trzeba tam wypłukiwać piasek ze złota, a nie złoto z piasku. Jednakże następne dni, poświęcone odpoczynkowi przed wyprawą do Sezamu, przyniosły pewną zmianę, przywiodły bowiem do obozu niejakiego Ansa Handersona, Szweda.

Ans Handerson przepracował całe lato jako płatny robotnik przy potoku Millera, niedaleka Sześćdziesiątej Mili. Po ukończeniu letnich robót powędrował w górę Bonanzy jak wielu innych, podążających bezradnie za falą poszukiwaczy złota i bezwolnie rzucanych po kraju. Wysoki był, chudy i obwisły. Ramiona miał długie niczym jaskiniowiec, dłonie wielkości głębokiego talerza i sękaty palce o grubych, spracowanych stawach. Był powolny w mowie i ruchach, a bladoniebieskie oczy i bladożółte włosy zdawały się przepojone niezmienną sennością czy też nieustannym rozmarzeniem, którego przedmiot nie był znany nikomu, najmniej zaś samemu Ansowi. Może ten marzycielski wyraz zawdzięczał Szwed nadzwyczajnej, dziecięcej wprost niewinności. W każdym razie takie było o nim ogólne mniemanie, do którego przyłączyli się również Bill i Kink.

Spędzili jeden dzień na pogawędkach ze znajomymi w tymczasowym „lokalu” „Monte Carlo” — wielkim namiocie, gdzie kopacze rozprostowywali zmęczone kości i płacili po dolarze za szklanekę kiepskiej whisky. Ponieważ jednak monetą obiegową był wyłącznie złoty piasek, a nadwyżkę wagi wedle zwyczaju otrzymywał szynkarz, wódka w rzeczywistości kosztowała jeszcze drożej. Bill i Kink nie pili dla tej prostej przyczyny, że ich wspólny chudy mieszek nie wytrzymałby zbyt częstych wycieczek do szalki.

— Słuchaj, Bill! Nabieram jednego żółtodzioba na worek mąki... — oświadczył Mitchell radośnie,

Bill ucieszył się i zainteresował. Żywności było skąpo, za mało nawet na wyprawę po skarby „Sezamu”.

— Mąka leci po dolarze za funt — odrzekł. — Jakim sposobem skalkulowałeś tak, żeby móc gadać o całym worku?

— Odstępuję połowę udziału w tej naszej parceli — odpowiedział Kink.

— Jakiej parceli? — dziwił się Bill. Potem przypomniał sobie łączkę, którą był „zarezerwował” dla Szwedów. — Och! — parsknął. — Nie targuj się zbyt — dodał po chwili. — Oddaj ciepłą ręką całe pastwisko i będzie spokój.

Kink potrzęsął głową.

— Gdybym to zrobił, Szwed umknąłby mi od razu. Muszę udawać, że parcela jest coś warta i że dopuszczamy go do spółki tylko dlatego, że zdychamy z głodu. Po dokonaniu transakcji będzie można zrobić chłopcykowi prezent z drugiej połowy.

— Jeżeli ktokolwiek nie strącił naszej deski z napisem — westchnął Bill, chociaż oczy mu się śmiały na myśl o tak korzystnej operacji handlowej.

— Nic się nie bój — upewnił go Kink. — Deska wisi. Jest to najformalniej nasza parcela, parcela numer 24. Żółtodzioby wzięły napis na serio i wbijają kołki dalej, poza naszymi znakami. Już zajęte wszystko aż do przełęcz, wyobraź sobie. Gadałem z jednym, który właśnie stamtąd wrócił i zapewniał mnie, że „nóg nie czuje”.

W tej właśnie chwili po raz pierwszy usłyszał Bill powolną i jak gdyby „idącą po omacku” wymowę Ansa Handersona.

— Ja myślę, ja mam szczęście — tłumaczył Szwed szynkarzowi. — Ja myślę, ja kupię kawałek parceli...

Towarzysze mrugnęli do siebie i w chwilę potem zdziwiony i wdzięczny Szwed zapijał kiepską wódkę z dwoma cudzoziemcami o sercach z kamienia.

Ans jednak głowę miał nie mniej twardą niż oni serca. Mieszek obu towarzyszy wędrował już dobre kilka razy na wagę, odprowadzany baczny spojrzeniem Kinka, aliści Szwed ani myślał się upić. W oczach niebieskich jak morze letnią porą błąkało się i przepływało marzenie, tym razem rozpalone opowieściami o złotych górach, lecz nie szklankami wódki, które tak ochoczo pozwoił w siebie wlewać. Wspólnicy byli w rozpaczy, chociaż zachowywali starannie pozory beztroskiej wesołości.

— Nie krępuj się, przyjacielu — zachęcał Bill klepiąc Szweda po ramieniu. — Jeszcze szklaneczkę. Właśnie obchodzimy dzisiaj urodziny Kinka. Mego współnika, Kinka, Kinka Mitchella. A tobie jak na imię, kolego?

Gdy Szwed się przedstawił, Bill przyczepił się do biednego Kinka, który musiał na jakiś czas przyjąć rolę gospodarza uroczystości. Ans Handerson słysząc o urodzinach sam z kolei postawił wódkę obu nowym znajomym, przy czym minę miał uszczęśliwioną. Pierwszy to zresztą i ostatni raz częstował z własnej woli, albowiem po chwili gra się zmieniła i skąpa jego dusza, została przemocą wciągnięta na wyżyny szczodrobliwości. Zapłacił za nektar z dobrze pucolowatego mieszka.

— Najmniej osiemset dolarów — oceniło bystre spojrzenie Kinka. Na zasadzie tego właśnie spojrzenia Kink skorzystał z pierwszej okazji, by zamienić słów kilka na osobności z imć Bidwellem, właścicielem kiepskiej wódki i dużego namiotu.

— Oto mój worek, Bidwell — rzekł Kink z poufałością i pewnością siebie, z jaką tylko „starzy” mogli do siebie przemawiać. — Wsyp no tu pięćdziesiąt dolarów piasku. Oddam za dzionek lub dwa. Obaj z Billem będziemy ci mocno zobowiązani.

Po czym wędrowni mieszka na szalę wagi stały się jeszcze częstsze, a uroczystość rocznicy przyścia na świat Kinka zyskała na wspaniałości. Solenizant spróbował nawet zanucić klasyczną piosenkę „ludzi z tradycją Północy”: „Słodki jest sok zakazanego owocu”, lecz nagle przerwał i w nowej szklaneczce utopił swe zmieszanie. Nawet Bidwell uczcił solenizanta paroma kolejkami na rachunek „zakładu”. Kiedy wreszcie Ans Handerson począł przewracać oczami, co mogło oznaczać skłonność do rozluźnienia języka — Kink wraz z Billem byli już pod bardzo dobrą datą.

Bill stał się sentymentalny i skłonny do zwierzeń. Wyznawał swe troski i kłopoty szynkarzowi i całemu światu w ogóle, a Szwedowi w szczególności. Nie wzywał pomocy sił wyższych przy wyborze środków działania. Wszystko dyktowała mu wódka. Wzruszył się szczerze losem własnym i swego towarzysza, po czym z najprawdziwszymi łzami począł opowiadać, że zamysłili oto z towarzyszem sprzedać nawet połowę praw do pewnej pięknej działki, tak kiepsko mają się ich interesy, a zwłaszcza sprawy żywnościowe. Nawet Kink słuchał i wierzył.

Żrenice Ansa Handersona straciły zwykłą rozmarzoną naiwność, kiedy zapytał:

— A... a ile byście chcieli wziąć?...

Bill i Kink zdawali się nie słyszeć. Musiał jeszcze raz powtórzyć swą ofertę. Obaj współnicy nie grzeszyli skwapliwością; Szwed nalegał. Kiwając się w tył i naprzód i obejmując ladę, żeby nie upaść, nastawiał ucha na to, co między sobą mówili dwaj przyjaciele, i próbował schwytać sumy wymieniane głośnym szeptem.

— Dwieście i... hm... pięćdziesiąt! — oświadczył wreszcie Bill. — Ale właściwie to my nie mamy zamiaru sprzedawać.

— Co jest bardzo mądrze z waszej strony, jeśli mi wolno się wtrącić — pomógł Bidwell.

— Tak niewątpliwie — dodał Kink. — Po cóż mamy robić prezenty Szwedom czy innym blondynom, he?

— Ja myślę... napijemy się jeszcze po szklaneczce... — poddał skwapliwie Ans Handerson, wyraźnie odsuwając temat na bardziej odpowiednią chwilę.

Wtedy właśnie nadeszła owa chwila, gdy mieszek Ansa zaczął kursować między skórzaną kieszenią właściciela, a wagami szynkarza. Bill i Kink trzymali się twardo; wreszcie jednak ulegli natrętnym namowom Szweda. Wtedy Szwed zląkł się i odciągnął Bidwella na bok. Musiał go się trzymać, żeby nie runąć pod stół.

— Czy to... tego... przyzwoite frajery... he? Jak myślicie? — zagadnął.

— O tak! — zapewnił z całego serca Bidwell. — Znam ich od dawna. Chłopcy z kwaśnego ciasta. Jeżeli sprzedają parcelę, to sprzedają parcelę. Powietrzem nie handlują.

— Ja myślę, ja kupię — oświadczył na to Szwed kuśtykając do obu współników. Tym razem jednak najwyraźniej pofolgował swym marzeniom, stwierdził bowiem, że kupuje całość — albo nic. Zmartwiło to głęboko Hootchinoa Billa. Perorował zajadle przeciwko zachłanności Szwedów i żółtodziobów. Pomiędzy co dłuższymi zdaniem ucinął jednak drzemki opuszczając na piersi strudzoną głowę. Za to ilekroć obudził go szturchaniec Kinka lub Bidwella, natychmiast wybuchał nowym potokiem wymysłów i oszczerstw.

Ans Handerson był zupełnie spokojny. Każda nowa obraza dodawała wartości działce. Ten niezwalczony opór dawał mu wiele do myślenia, toteż poczuł się szczęśliwy, kiedy wreszcie Bill zwałił się pod ławkę i można było przystąpić do rzeczy z bardziej miękkim współnikiem.

Kink Mitchell nie był świetnym matematykiem, ale przynajmniej dał się namawiać. Popłakiwał z lekka, lecz zgadzał się sprzedać pół parceli za dwieście pięćdziesiąt dolarów albo całą za siedemset pięćdziesiąt. Szwed i szynkarz próbowali rozjaśnić mu błędne pojęcie o ułamkach, usiłowania ich jednak spełzły na niczym. Łzy i radość wylewał Kink na ladę i na ramiona swych dręczycieli, łzy nie zmniejszały wszakże błędów matematycznych.

Wreszcie — nawet Bidwell nie pamiętał dokładnie, jak i kiedy zakończyła się ta noc — została spisana umowa, kupna-sprzedaży, mocą której Bill Rader i Charles Mitchell przekazują pełne prawa i tytuł własności do działki znanej jako „nr 24 Eldorado”. (Tę nazwę otrzymał strumyk od jakiegoś nowicjusza-optimisty).

Kiedy Kink podpisał, wszyscy trzej wspólnymi siłami spróbowali wywlec Billa spod ławki. Z

piórem w rękę długo jeszcze kiwał się biedak nad dokumentem. Za każdym zaś jego kiwnięciem w oczach Ansa Handersona zapalała się i gasła cudowna złota wizja. Kiedy cenny podpis został wreszcie położony i należność starannie odważona, Szwed głęboko odetchnął i od razu dał nurka pod stół, gdzie snem sprawiedliwego przemarzył do rana.

Dzień wstał szary i chłodny. Ans Handerson czuł się kiepsko. Pierwszym, nieświadomym i mimowolnym ruchem dotknął mieszka ze złotym piaskiem. Niezwykła lekkość worka niemile go zaskoczyła. Wtedy zwolna, stopniowo napływać zaczęły wspomnienia ostatniej nocy. Czyjeś ostre głosy otrzeźwiły półsennego Szweda. Otworzył oczy i wyłonił się spod stołu. Kilku amatorów wczesnego wstawania lub może podróżnych, którzy całą noc spędzili w drodze, wypowiadało właśnie zgodnie i głośno swoje poglądy na jałowość potoku Eldorado. Przerażony Szwed sięgnął do kieszeni i — o zgrozo — wydobyl z niej dokument własności „numeru 24” nad potokiem Eldorado.

W dziesięć minut później Hootchينو Bill i Kink Mitchell wyrwani zostali spod kołder przez dzikookiego Szweda który próbował przemocą wcisnąć im do rąk kawałek pomiętego i zabazgranego papieru.

— Ja myślę, ja odbiorę swoje pieniądze — jęczał. — Ja myślę, ja odbiorę swoje pieniądze...

Łzy miał w oczach, łzy w gardle, płynęły mu po policzkach, kiedy ukląkł błagając o litość. Lecz Bill i Kink nie raczyli się nawet roześmiać. Twarde mieli serca.

— Pierwszy raz widzę, żeby mężczyzna beczał nad transakcją handlową — powiedział Bill. — I pozwolę sobie dodać, że widok ten. bardzo mnie dziwi...

— Zgadza się z przedmówcą — poparł Kink Mitchell. — Z kupnem działki to tak jak z kupnem konia. Przepadło.

Dziwili się zupełnie szczerze. Nie potrafiliby sami płakać nad ubitym targiem, nie rozumieli więc, w jaki sposób może to czynić kto inny.

— Biedak żółtodziób! — mruknął Bill patrząc, jak zgnębiony Szwed znika na ścieżce leśnej.

— Hm, tak, nie jest to zapewne „Sezam”... — odrzekł pocieszająco Kink Mitchell.

Nim minął dzień, zakupili mąki i słoniny po bajecznych cenach za pieniądze Ansa Handersona i przekroczyli przełęcz zmiierzając ku potokom biegnącym między Klondike a rzeką Indiańską.

Po upływie trzech miesięcy powracali tą samą drogą podczas śnieżycy i natrafili na ścieżkę wiodącą do „24 Eldorado”. Był to przypadek. Nie dostrzegli znaków. W zadymce śnieżnej nie wiedzieli w ogóle, gdzie są, dopóki noga nie potknęła się o kołek. Po chwili burza nieco ucichła, rozjaśniło się w powietrzu i przybysze dojrzeli ogromną jamę: wykopaną w ziemi, nad nią zaś kołowrót kręcony przez człowieka. Zobaczyli, jak człowiek ów wyciąga wiadro: żwiru i zsypuje go na brzeg jamy. Dostrzegli też, jak drugi człowiek (chyba znajomy) nabiera pełną patelnię świeżego żwiru. Ręce ma ogromne i włosy koloru bladego złota. Zanim zdążyli podejść, skoczył w kierunku chaty. Był bez kapelusza i zdawał się nie czuć, że śnieg pada mu za kołnierz. Był to chyba najlepszy dowód, jak bardzo pochłonięty jest pracą. Bill i Kink pobiegli w ślad za nim i weszli do chaty. Klęczał przy piecu i przemywał żwir w misce wody.

Zajęty był tak bardzo, że nawet nie zauważył, iż ktoś wszedł do chaty. Przybysze stali za nim i bacznie się przyglądali. Blondyn nadał patelni szybki ruch obrotowy, przerywając go od czasu do czasu, aby odrzucić palcami grubsze ziarna żwiru. Woda zmętniała i nic nie było widać. Nagle blondyn podniósł patelnię i ostrożnie wylał z niej wodę. Gęsta masa złota, niczym masło w tłuszczce, zabłysła na dnie.

Hootchينو Bill wstrzymał oddech. Nigdy w życiu nie marzył o istnieniu tak bogatej próby.

— Gęściuteńko, co, przyjacielu? — wyrzekł ochryple. — Ile tu jest, jak myślisz?

Ans Handerson nie podnosząc głowy odparł:

— Ja myślę, z pięćdziesiąt uncji!

— Diabelnieś bogaty wobec tego, he?

Ans Handerson wciąż jeszcze nie patrzył w górę, gdyż delikatnie obryzgiwał zawartość patelni wypłukując ostatnie cząsteczki żwiru. Ale odpowiedział:

— Ja myślę, można liczyć na jakie pięćset tysięcy dolarów.

— Tam do licha! — wyszeptał Hootchinoo z wielkim szacunkiem.

— Tak jest, Bill, do licha! — odszepnął Kink Mitchell Wyszli cichutko i zamknęli za sobą drzwi.

PRZYGODA MARCUSA O'BRIENA

Rada postanowiła, że masz opuścić osadę... w zwykły sposób, mój panie, hm, tak — w zwykły sposób. Sędzia Marcus O'Brien odchrząknął i mówił dalej: — Zważywszy twą winę, mój panie, w całym jej rozmiarze oraz wszelkie okoliczności obciążające Rada w swym wyroku orzekła, żebyś zaopatrzony został w żywność na trzy dni. Mamy nadzieję, że tak się stanie.

Jack z Arizony rzucił ponure spojrzenie w kierunku Yukonu. Rzeka była rwąca, burzliwa, koloru czekolady, szeroka na milę i Bóg wie jaka głęboka. Twardy brzeg, na którym stali, wznosił się zwykle o dwanaście stóp ponad wodę, ale dzisiaj fala pieniała się niemal na jego wysokości, szarpiąc łąd i pożerając go kęs za kęsem. Bryły ziemi wpadały natychmiast w otwartą gardziel nieskończonego szeregu brunatnych wirów i znikwały z oczu. Jeszcze parę chwil i Red Co w zostanie zatopiona.

— Nie, tak być nie może — odrzekł cierpko Jack z Arizony. — Żywność na trzy dni — to za mało.

— Przypominam — oświadczył z powagą Marcus O'Brien — iż Manchester w ogóle nie otrzymał żywności.

— Tak, właśnie. Znaleziono też jego szczątki wyrzucone na brzeg Lower River i na pół zjedzone przez robaki — brzmiała odpowiedź Jacka z Arizony. — Przy czym warto dodać, że nikt nie sprowokował go do morderstwa. Joe Deevers nie uczynił mu nic złego i nigdy nie pisał o nim ani słowa, a wtedy pokpiwał sobie po prostu, bo miał coś na wątrobie, na co Manchester zerwał się i od razu go rozciągnął. Postępujecie niesprawiedliwie dając mi tak mało, O'Brien, mówię wam to prosto w oczy. Dajcie mi żywności na tydzień, a mogę pokusić się o wygraną, ale na 'trzy dni — to przepadłem.

— Za co zabiłeś Fergusona? — zapytał O'Brien. — Dostyc mam już doprawdy tych nie sprowokowanych morderstw! Raz trzeba z tym skończyć. Red Cow traci dobre imię. Była to dobra osada i nigdy nie zdarzały się tu zabójstwa. Teraz — stały się epidemią. Przykro mi bardzo, ale ty, Jack, jesteś przykładem najgorszego mordercy. Ferguson bynajmniej cię nie sprowokował do zabójstwa.

— Nie sprowokował! — ryknął Jack z Arizony. — Powiadam wam, O'Brien, że nic nie wiecie. Nie mieliście nigdy artystycznych aspiracji. Dlaczego zabiłem Fergusona? Dobryś! A dlaczego on śpiewał: „Gdy byłem małą ptaszyną...”? Co? Chciałbym to wiedzieć! He! Może mi na to odpowiecie? Po kiego licha zaśpiewał: „Małą ptaszyną, małą ptaszyną”? Dość było jednej ptaszyny. Tę jedną bym wytrzymał. Ale nie, musiał, szelma, wyśpiewywać dwie. Ostrzegalem go! Podszedłem do niego. Zupełnie spokojnie namawiałem go, jak można najuprzejmiej, żeby wyrzucił tę drugą ptaszynę. Pertraktowałem z nim. Mam na to świadków.

— Hm, tak. Gardziołek miał również niezbyt słowiczy — odezwał się jakiś głos z tłumu.

O'Brien zawahał się.

— Czyż człowiek nie ma już prawa posiadać artystycznych uczuć? — pytał Jack z Arizony. — Ostrzegalem Fergusona. Dalsze słuchanie tych dwu małych ptaszyn było ponad moje siły. Za podobne eksperymenty wokalne powinien właściwie cały tłum zlinczować gościa, nie czekając, aż ktoś sam się zdecyduje. Zresztą, co do mnie, gotów jestem ponieść skutki swoich poglądów na sztukę. Mogę przełknąć to lekarstwo i jeszcze oblizać łyżkę, ale żywność na trzy dni — to jest właściwie kara śmierci. Oto wszystko. Może by zaprotokołować, com wam powiedział, i prowadzić dalej ten pogrzeb.

O'Brien wciąż jeszcze się wahał. Rzucił błagalne spojrzenie ku Muclne Charleyowi.

— Ja bym powiedział, panie sędzio, że żywność na trzy dni to trochę za surowo — poddał ten ostatni. — Urządziłeś widowisko, my zaś, obierając cię głównym sędzią w tym naszym prześwietnym sądzie, zgodziliśmy się poddawać twoim wyrokom, czyniliśmy to dotychczas i chcielibyśmy móc nadal tak postępować...

— Może byłem trochę za surowy, Jack — zaczął O'Brien pojednawczo. — Chciałem zapobiec na przyszłość podobnym zabójstwom. Zgadzam się jednak, abys otrzymał żywności na tydzień. — Odchrząknął majestatycznie i spojrzał dookoła. — No, a teraz pora skończyć z tą całą sprawą. Łódka gotowa. Leclair pójdzie i przyniesie oznaczoną ilość żywności. Policzymy się za nią później.

Jack z Arizony spojrzał i mrucząc coś o „przeklętych małych ptaszynach”, począł wsiadać do łódki szarpiącej się niespokojnie u brzegu. Było to spore czółno zbudowane z nie heblowanych sosnowych desek skradzionych "od ręki" z lasu przy Jeziorze Lindermana, o paręset mil w górę rzeki, u podnóża Chilcoot. W łodzi leżała para wiosel i zwinięty koc Jacka z Arizony. Leclair przyniósł żywność w wielkim worku od mąki i rzucając wór na dno łodzi, mruknął:

— Dałem ci dobrą miarę, Jack. — Wymowa tych słów była wyraźna.

— Odbijać! — krzyknął Jack z Arizony.

Ktoś odwiązał linkę i rzucił ją do łodzi. Prąd porwał i uniósł czółno. Morderca nie ruszył; wiosel zadowolając się siedzeniem na rufie i kręceniem papierosa. Gdy skończył, wyjął zapalki i zapalił. Ci, co patrzyli z brzegu, mogli wyraźnie zobaczyć maleńkie obłoczki dymu. Stali nad rzeką, dopóki łódka nie zniknęła za zakrętem odległym o pół mili. Sprawiedliwości stało się zadość.

Obywatele Red Cow stanowili prawa i wprowadzali w czyn wyroki bez skrupułów właściwych łagodnej cywilizacji Południa. Nad Yukonem nie było praw innych prócz tych, które powstawały na miejscu. Mieszkańcy byli zmuszeni stwarzać je sami dla siebie. Było to dawnymi czasy, kiedy Red Cow kwitła na brzegu Yukonu — w roku 1889. Klondike i jego liczni udeptywacze należeli jeszcze do da lekiej przyszłości. Mieszkańcy Red Cow nie wiedzieli nawet, czy ich osada leży ha Alasce, czy na Północno-Zachod nim Terytorium i czy oddychać im wolno pod gwiazdzistym sztandarem, czy pod flagą brytyjską.

Red Cow leżała gdzieś na brzegu Yukonu — to im wystarczało. Dopóki jakiegokolwiek sztandary nie wdały się w tę sprawę, pozostawali poza obrębem wszelkiej jurysdykcji, dopóki zaś nie wmieszały się ustawy — żyć mogli jak na bezludnej wyspie. Sami więc nadali sobie prawa — i to nader proste. Yukon był wykonawcą wyroków. Ze dwa tysiące mil poniżej Red Cow wpadał do Morza Beringa deltą ciągnącą się na sto mil. Każda mila z tych dwóch tysięcy biegła dzikim pustkowiem. Podobno tam, gdzie Porcupina wpada do Yukonu, już w obrębie Kręgu Polarnego, stała placówka handlowa Towarzystwa Zatoki Hudsona. Ale było to kawałek drogi poniżej. Przebąkiwano również, że jeszcze o paręset mil dalej znajdowały się misje. To jednak pozostało w dziedzinie domysłów. Mieszkańcy Red Cow nigdy nie zapuszczali, się w tamte strony. Objęli w posiadanie swój odosobniony kraik przybywszy do Chilcoot znad górnego brzegu Yukonu.

W Red Cow nie zwracano uwagi na drobne przestępstwa obywateli. Pijaństwo, niechlujstwo lub nieco wulgarny sposób wyrażania się uchodziły za rzecz naturalną i nie wymagającą wkroczenia prawa. Mieszkańcy Red Cow byli indywidualistami i uznawali tylko dwie rzeczy święte: własność i życie. Kobiet nie było, nie miał więc kto komplikować ich moralności. Red Cow posiadała tylko trzy domki mieszkalne. Jej ludność bowiem, składająca się z czterdziestu mężczyzn, mieściła się przeważnie w płóciennych namiotach lub szałasach z chrustu. Nie było również więzienia, w którym można by było zamykać przestępców, ponieważ wszyscy zajęci byli kopaniem oraz przemywaniem złota i nikt nie chciał tracić czasu na wybudowanie tego przybytku. Zresztą paląca kwestia wyżywienia nie pozwalała na takie ceremonie. Toteż jeśli ktoś pogwałcił prawo życia lub własności,

wrzucało się go do otwartej łódki i puszczało z biegiem Yukonu. Ilość żywności, jaką otrzymywał, zależała od rozmiarów przewinienia. Tak więc zwykły złodziej dostawał dwutygodniową rację, złodziej niezwykły — dwa razy mniej. Morderca nie dostawał żywności wcale. Człowiek uznany za pośrednio winnego zabójstwa otrzymywał rację na trzy dni, do tygodnia. Marcusa O'Briena wybrano na sędziego i jego wola wydzielala żywność. Winowajca posiadał niejakię szansę ocalenia. Unosiła go rzeka i mógł dosięgnąć albo nie dosięgnąć Morza Beringa. Kilkudniowa racja żywności była karą bardzo srogą, chociaż nawet wtedy skazaniec miał pewne widoki ocalenia, zależnie zresztą całkowicie od pory roku.

Po wykonaniu wyroku, gdy Jack z Arizony zniknął im z oczu, mieszkańcy Red Cow poczęli opuszczać brzeg i powracać do pracy. Nie wrócił tylko Curly Jim, który jedyny na całej Północy kręcił *faro* i robił doskonałe interesy pomiędzy kopaczami na obu brzegach.

Dnia tego nastąpiły dwa godne uwagi zdarzenia. Późnym rankiem Marcus O'Brien rozpoczął kopanie. Z trzech kolejnych łopat wyplukał dolara, półtora i dwa dolary. Natrafił na złotą żyłę. Curly Jim zajrzał do rozkopu raz i drugi, sam przepłukał parę łopat, po czym zaproponował Marcusowi O'Brien dziesięć tysięcy dolarów za, odstąpienie pełnych praw do owej działki, przy czym pięć tysięcy złotym piaskiem, a zamiast pozostałych pięciu — połowę dochodu z *faro*. O'Brien odrzucił tę propozycję. „Przywędrowałem tu po to, żeby wydobywać pieniądze z ziemi — oświadczył zapalczywie — a nie z towarzyszy”. Zresztą nie lubi gry w *faro*, nie mówiąc już o tym, iż swoją żyłę ocenia nieskończenie wyżej.

Druga sensacja dnia zdarzyła się po południu, kiedy Siskiyou Pearly przybił do brzegu i wyskoczył z łódki. Przybywał właśnie z dalekiego Południa i przywiózł stos gazet sprzed czterech miesięcy oraz paczkę zawierającą pół tuzina butelek whisky, 'zaadresowaną do Curly Jima. Mieszkańcy Red Cow zastrajkowali natychmiast. Rzucili się na whisky — kieliszek po dolarze (przy czym dolar odważany był w złotym piasku na szalach Jima) i omawiali nowiny. Wszystko byłoby dobrze, gdyby Curly Jim nie był powziął dwóch złych zamiarów, a mianowicie przede wszystkim spoić Marcusa O'Briena, następnie zaś odkupić od pijanego złotodajną działkę.

Pierwsza część planu powiodła się znakomicie. Pijatykę rozpoczęto wczesnym wieczorem, a już o dziewiątej Marcusa O'Briena ogarnął rzewny nastrój. Objął Jima za szyję i próbował nawet nieszczęsnej piosenki nieboszczyka Fergusona o dwu małych ptaszynach. Mógł czynić to zupełnie bezpiecznie, zważywszy, iż jedyny człowiek w całej osadzie, który żywił uczucia artystyczne, został właśnie splawiony na rzekę, w objęcia nurtu.

Druga część planu była nieco trudniejsza do wykonania.. Niezależnie od ilości whisky wlewanej mu w gardło Marcus O'Brien nie mógł ani rusz zrozumieć, iż odstąpienie działki Jimowi było zwykłą uprzejmością, a nawet prostym koleżeńskim obowiązkiem. Wahał się co prawda bezustannie i chwiał się tam i z powrotem na samej granicy zgody. Jednakże gdzieś w głębi swej zamglonej świadomości raz. po raz parskał śmiechem sam do siebie. Przejrzał dobrze grę Curly Jima i nabierał tego, który jego chciał nabrać.

Wódka była świetna. Pochodziła z jednej specjalnej butelki, dwanaście razy lepszej niż pięć pozostałych.

Siskiyou Pearly w „jadalni” rozdawał trunek ogółowi obywateli Red Cow, w kuchni zaś Curly Jim raczył O'Briena i ubijał z nim interes. Ale z O'Brienem nie było łatwo. Wyszedł do jadalni i po chwili wrócił prowadząc Muclne Charleya i Percy Leclaire'a.

— Moi współnicy, hm, tak, moi współnicy — przedstawił z szerokim gestem w kierunku przybyłych i z szelmowskim uśmieszkiem ku Curly. — Zawsze zasięgam rady, tak, tak, zasięgam ich rady. I zwykle mają rację. Nalej no, Jim, tej ognistej wody i jedźmy dalej.

Curly Jim zwęszył podstęp, natychmiast jednak ponownie ocenił w myśli wspaniały rozkop i przypomniał sobie, iż z ostatniej łopaty wyplukał całe siedem dolarów. Tak, to niewątpliwie warte było jego wódki, nawet gdyby ją sprzedać tam, w jadalni, po dolarze za kieliszek.

— Ja, uważacie, nie chcę się zgodzić — wprowadzał O'Brien swych przyjaciół w sedno rzeczy. — Cóż to? Ja? Sprzedać za dziesięć tysięcy? Nie ma głupich. Sam wykopię wszystko złoto, a potem pojedę do krainy bogów — Południowej Kalifornii — tam chciałbym zakończyć dni mego żywota i zacząć... i założyć... no, to, co mówiłem poprzednio... cóż to mówiłem, że chciałbym założyć?...

— Hodowlę strusi... — poddał Muclne Charley.

— Otóż to właśnie, hodowlę strusi!... — O'Brien urwał nagle i spojrzał z przerażeniem na Muclne Charleya. — Skąd ty możesz wiedzieć? Nigdy tego nie mówiłem. Dopiero w tej chwili przyszło mi do głowy. Ty szelmo, czytasz cudze myśli! Trzeba je będzie zmienić.

Curly Jim napełnił kieliszki i miał przyjemność zobaczyć, jak wartość czterech dolarów zniknęła w ciągu sekundy. Jednym z cennych kieliszków ukarać musiał sam siebie, O'Brien bowiem nastawał, aby gospodarz pił tyle co goście.

— Najlepiej bierz flotę, póki dają — dowodził Leclair. — Stracisz całe dwa lata na wydłubywaniu jej z tej ziemnej dziury, a tymczasem mógłbyś już hodować piękne małe strusiątka, a starym strusiskom wysmykiwać pióra z ogona.

O'Brien rozważał argument i kiwał potakująco głową. Curly Jim spojrzał z wdzięcznością na Leclair'a i znowu napełnił kieliszki.

— Czekać z tym interesem! — burzył się Muclne Charley, którego język chodził już luzem i potykał się sam o siebie. — Powiadam, że... jak ojciec spowiednik, eee... jak brat rodzony. — Przerwał nagle i zebrał się w sobie, żeby rozpocząć z innego końca. — Diabła tam! — ryknął. — Hadze, jakby radził wspólnik w interesie, radzę, powiadam, wmawiam, zapamiętajcie sobie, psiakrew! Powiadam i twierdzę, że tutaj w 'ziemi będzie więcej strusi, do licha! — Łyknął drugi kieliszek i ciągnął już spokojniej: — Jakby; to wam dowieść...

Przerwał i rączką od laski uderzył się ze sześć razy po głowie, jakby wytrząsając z niej zawieruszone argumenty.

— Jest! — zawołał triumfalnie. — Przypuśćmy, że w tym rozkopie będzie piekielnie więcej, niż daje Jim?

O'Brien, który poprzednio już, już gotów był ubić sprawę — zerwał się na równe nogi.

— Bóg zapłać! — ryknął rozczulony. — Wspaniale powiedziane! Nigdy bym się sam nie domyślił! — Ujął prawicę Muclne Charleya: — Oto dobry towarzysz! Oto prawdziwy przyjaciel! — Tu zwrócił się wojowniczo do Curly Jima: — A co? A jeśli w rozkopie będzie sto tysięcy dolarów? Cóż wtedy? Nie chciałbyś chyba obrabować starego przyjaciela, hm, Curly? Nie chciałbyś, prawda? Jestem pewien, żebyś nie chciał! Ech, znam cię, mój złoty, lepiej niż ty, sam siebie, hm, tak lepiej, lepiej! Dajmy temu spokój. Jesteśmy przecież wśród swoich, sami szczerzy przyjaciele.

I tak toczyła się rozmowa, lała się whisky, a nadzieje Curly Jima wznosiły się i opadały na przemian. To Leclair walczył zajadłe o sprzedaż, a O'Brien skłaniał się już ku decyzji, to znowu Muclne Charley występował z kontrargumentem i przekabacał O'Briena na swoją stronę. Po chwili Muclne Charley przekonywał, jak mógł najdobitniej, iż sprzedać należy natychmiast, a Percy Leclair uparcie trzymał się przeciwnego zdania. Trochę później sam O'Brien nastawał na sprzedaż, a obaj przyjaciele wśród łez i zaklęć starali się odwieść go od tego zgubnego zamiaru. Im więcej łykali whisky, tym bardziej rozpalala się ich wyobraźnia. Na miejsce jednego trzeźwego „za” lub „przeciw” — znajdowali z tuzin pijanych i przekonywali się przy tym tak skutecznie, że nieustannie zamieniali się pogładami.

Przyszła chwila, kiedy obaj, Muclne Charley i Leclair, byli stanowczo za sprzedaż i tak doszczętnie zdruzgotali O'Briena, że ten, wyrzuciwszy z siebie ostatni argument, nagle ucichł i siedział w niemej rozpacz. Spoglądał z wyrzutem na przyjaciół, którzy go opuścili. Kopnął nawet pod stołem Muclne Charleya w łydkę, ale ten zdrajca wystąpił natychmiast z nowym i to zabójczym argumentem za sprzedaż. Curly Jim przyniósł papier, pióro i atrament i wykaligrafował tekst umowy. O'Brien siedział bez ruchu z umocowanym piórem w ręku.

— No, jeszcze kieliszeczek — poprosił — jeszcze ostatni, zanim podpiszę te dziesięć tysięcy.

Curly Jim triumfalnie napełnił kieliszki. O'Brien wychylił duszkiem i z piórem gotowym do podpisu skłonił się nad papierem. Zanim jednak zdołał uczynić coś więcej niż kleks, zerwał się jak oparzony, zaskoczony nagle niespokojną myślą o czymś, co niezgodne jest z jego sumieniem. Trzymał się na nogach kiwając w przód i w tył wobec zdziwionych towarzyszy. Jego mętne oczy wyrażały niewątpliwie, że gdzieś tam w mózgu, jakby poza nim, odbywa się jakiś uciążliwy proces myślowy. Nareszcie coś postanowił. Twarz rozpromieniła mu się poczciwie. Zwrócił się do Jima, chwycił go za rękę i przemówił uroczyście.

— Słuchaj, Curly, jesteś moim przyjacielem. Oto moja ręka. Widzisz, stary, ja nie mogę zrobić tego, o co mnie prosisz. Nie mogę obrabować przyjaciela! Żeby mi później byle chłystek wypominał, że nabrałem starego kolegę dlatego tylko, że był pijany. Ty jesteś pijany, Curly, i ja nie mogę cię obrabować. Może nie mam racji, co? Sam nie wiem, dlaczego nie przyszło mi to wcześniej do głowy... Ale teraz wiem, że mam rację. Pomyśl tylko, Curly, mój stary przyjacielu... a gdyby tak nie było dziesięciu tysięcy w całej tej przekłętej dziurze! Zostałbyś po prostu obdarty. Nie, nie, mój złoty. Ja nie zrobię czegoś podobnego. Marcus O'Brien wydobywa pieniądze z ziemi, ale nie z przyjaciół!

Protesty Curly Jima utonęły w powodzi zachwyków Muclne Charleya i Leclair'a. Rzucili się na O'Briena z obu stron, z ramionami serdecznie obejmującymi go za szyję i z ustami pełnymi pochwał. Nie dosłyszeli nawet propozycji Jima, zęby przy akcji sprzedaży dodać odpowiednie zastrzeżenia opiewające, iż w razie zawodu Marcus O'Brien zobowiązuje się zwrócić nabywcy gotówką różnicę pomiędzy spodziewaną a rzeczywistą wartością złotej żyły. Im dłużej ciągnęła się dyskusja, tym szlachetniejsi i bardziej bezinteresowni stawali się rozmówcy. Wszelkie poziome pobudki wygnano precz. Pozostało tylko trio filantropów walczących o lepsze w obronie Curly Jima przed nim samym i jego poświęceniem. Wmawiali mu usilnie, że niepotrzebnie jest filantropem. Nie chcieli przypuścić ani na chwilę, by choć jedna nieszlachetna myśl zjawić się mogła na tym najlepszym ze światów. W zapale unosili się, pieli i wdrapywali na coraz wyższe piętra etyki i szlachetności albo pogrążali się po uszy w bezdennym morzu tkliwości i patosu.

Curly Jim pocił się, dymił i parował wódką. Znalazł się wobec gradu argumentów, z których żaden nie miał nic wspólnego ze złotą żyłą, którą chciał kupić. Im dłużej gadali, tym bardziej oddalali się od owej żyły. Nareszcie około drugiej w nocy Curly Jim uznał się za pobitego. Brał więc za kołnierz po kolei swych bezradnych gości i wyrzucał ich na podwórze przez kuchenne drzwi. O'Brien był ostatni.

Wszyscy trzej, wspomagając się wzajemnie, pokuśtykali z godnością i powagą w dół ku rzece.

— Jesteś dobry do interesu, Curly — oświadczył O'Brien. — Muszę powiedzieć, że lubię twój fason... delikatny, szlachetny i taki hojny, taki go-go-gość-inny... Dziękujemy bardzo. Dziękujemy. I nikt, do licha... ani o podłość, ani o chciwość, nikt bynajmniej... Więc jak mówiłem...

Ale w tym miejscu Jim trzasnął drzwiami. Wesołe tria parsknęło śmiechem. Zatrzymali się na wybrzeżu i ryczeli. na całe gardło. Nareszcie Muclne Charley spróbował przemówić.

— Eh, głupstwo, kiepskie wariaty, właściwie nie ma się z czego śmiać. He, he, a ja powiem coś

ciekawego. Mam myśl... zaraz, zaraz, co to ja właściwie chciałem.. Zgubiłem, psia... Kiepska sprawa, gdy myśli idą spać. O, wspaniały był to pomysł! Nowy sposób polowania — sport pierwszej klasy! Polowałeś kiedy na zajęce, przyjacielu Percy? Miałem psa specjalnie do zajęcy — cudo nie pies, powiadani wam! Czekaście no, jak się ten pies nazywał? Nie znam imienia — nie miał imienia — ech, nie, pomysł, wspaniały pomysł, ale zgubiłem, zaraz, zaraz — d, psia...

Po czym przez długi czas panowało milczenie. O'Briert trzymany pod rękę wysliznął się miękko i przysiadłszy na stoku, natychmiast zasnął. Muclne Charley po cichu polował dalej na swój wspaniały pomysł po zaułkach i szczelinach zamglonej świadomości. Leclaira zaś zawisnął oszołomiony nad jakąś przepaścią, w której daremnie szukał swego utraconego krasomównstwa. Nagle pięść towarzysza spadła mu na kark.

— Złapałem! — wrzasnął Muclne Charley. Ten gwałtowny wstrząs przerwał tok myśli Leclaira'a.

— Ile za łopatę? — zapytał.

— Głupstwo łopata! — zachnął się Muclne Charley. — Nie o to chodzi. Mój pomysł, com go złapał: spławić gościa.

Oczy Leclaira'a rozbłysły nagłym zachwytem i zaraz zawisły na wargach tamtego.

— O psia... — zakończył Muclne Charley.

W tej chwili drzwi kuchni otworzyły się na chwilę, a ze smugi światła doszedł głos Jima:

— Cicho tam! Zabierać się do domu!

— Et — rzekł Muclne Charley. — Wstyd, paskudna myśl Idziemy do domu.

Podnieśli O'Briena, wzięli go między siebie i ruszyli. Muclne Charley zaczął natychmiast rozwijać głośno wspaniały pomysł czy też paskudną myśl. Leclaira pomagał mu z entuzjazmem. Tylko O'Brien nie wiedział o niczym: był głuchy i ślepy jak pień.

Szedł kiwając się niczym kukła, a dwaj współpracownicy-przyjaciele wiedli go czule i ostrożnie.

Poczęli zwolna schodzić ścieżką ku rzece. Dom nie leżał w tej stronie, ale wspaniały pomysł leżał tu niewątpliwie Muclne Charley wyśmiewał go jednak ostentacyjnie, żeby przypadkiem nie zgorszyć Leclaira'a. Podeszli do miejsca, gdzie u brzegu stała łódź Siskiyou Pearly. Przytrzymująca: ją linka biegła w poprzek ścieżki i omotywała pobliską sosnę. Przystąpili przez linkę i szli ku wodzie. O'Brien pomiędzy nimi. Jakaś drobna iskierka świadomości błysnęła mu. w mózgu. Poczul na sobie ciężar ich ciał i przez chwilę szamotał się nieprzytomnie w rękach napastników. Potem, znowu zapadł w sen. Spokojne chrapanie rozległo się w ciszy, a odpowiedział mu chichot Charleya.

— Nowy pomysł — bełkotał — całkiem świeży. Tak tylko na żarty. Nie ma się co niepokoić. Nic mu nie będzie.

Zajdź no z prawej, o tak, a ja wezmę od głowy. Doskonale. Ależ się spił — zwyczajne bydlę. Wstyd, wielki wstyd, niech ma nauczki. Jest łódka Pearly. Wsadzić go w tę łódkę. Odbić i fiut... w dół rzeki. Obudzi się rano. Prąd diabelnie silny. Nie da rady wiosłami. Będzie musiał wracać na piechotę. He, he, laskiem. Wtedy my go — jeden z. drugim tak trochę na wysoką sosenkę, he? co? Niech ma nauczki... Tylko ;na żarty... psia...

Łódka Siskiyou Pearly nie zawierała nic prócz pary wiosł. Bok jej uderzał o brzeg tuż, tuż koło O'Briena. Wtoczyli go więc jak beczkę. Muclne Charley odwiązał linkę, Leclaira zepchnął łódkę w prąd. Potem wyczerpani pracą położyli się na brzegu i zasnęli.

Następnego ranka cała Red Cow mówiła o tym, jak zażartowano z Marcusa O'Briena. Zakładano się zawzięcie, co spotka winowajców, kiedy wróci ofiara. Po południu wszyscy rzucili pracę, bo każdy chciał być świadkiem tego powrotu. Spodziewano się widowiska. Ale O'Brien nie wrócił, chociaż wyczekiwano go aż do północy. Nie wrócił też nazajutrz ani dnia następnego. Red Cow nie

ujrzała już nigdy Marcusa O'Briena i choć domysłów" było mnóstwo, nikt jednak nie zdobył klucza do tajemnicy jego przygód.

Co się stało, wiedział tylko sam Marcus O'Brien, on je dnak nie wrócił nigdy, żeby opowiedzieć.

Rano obudził się w męczarniach. Żołądek jego przeżarty był niezwykłą ilością wódki, toteż palił go i dręczył piekielnie. Głowa bolała go nieznośnie, a jeszcze gorszy był ból twarzy. Przez całe bowiem sześć godzin niezliczone tysiące moskitów ucztowały na jego policzkach, nabrzmiątych od trujących ukąszeń i potwornie spuchniętych. Tylko ogromnym wysiłkiem woli zdołał z lekka rozsunać szparki powiek i wyrzeć na świat boży.

Spróbował poruszyć rękami, ale aż ryknął z bólu. Zerknął na nie, lecz nie mógł ich poznać, tak były pokąsane przez moskity. Marcus O'Brien przestał dla niego istnieć, a raczej zagubiła się gdzieś jego idencjonalność. Wokół nie było nic znajomego, co by przez skojarzenie myśli mogło w jego świadomości stać się jakimkolwiek łącznikiem z przeszłością. Jego istnienie wyrwano z przeszłości, bo wokoło nie było nic, co by ją przypominało. Zerwały się wszystkie nici. Poza tym czuł się tak chory i nieszczęśliwy, że nie miał zupełnie sił na zastanawianie się, kim był i gdzie się znajdował.

Dopiero gdy ujrzał skrzywienie małego palca złamanego przed laty i źle zrosniętego — poznał, że jest Marcusem O'Brienem. Natychmiast przeszłość poczęła się budzić w jego świadomości. Kiedy zaś odnalazł jeszcze małą czerwoną ranę koło dużego palca, którą otrzymał przed tygodniem — jego samookreślenie stało się podwójnie pewne. Wiedział, że te nieznajome ręce należą do Marcusa O'Briena, więc rozumując logicznie, do rąk owych należał właśnie Marcus O'Brien.

Pierwszą jego myślą było, że jest chory na febrę rzeczną. Otwieranie szparek oczu bolało go tak bardzo, że trzymał je zamknięte. Jakaś gałąź niesiona przez prąd uderzyła o łódkę. Zdawało mu się, że to ktoś stuka do drzwi izdebki. „Wejść” — mruknął. Czekał chwilę, a potem powiedział, ze złością: „No więc stój sobie na dworze, pal cię licho”. Ale równocześnie ze wszystkich sił pragnął, żeby ten ktoś wszedł i opowiedział mu o nim samym.

Po pewnym czasie zdarzenia ostatniej nocy zaczęły powoli pojawiać się w jego świadomości. Pamięta, że wcale nie był chory. Najwyżej był pijany, ale teraz już pora wstać i iść do roboty. „Robota” — oznaczała złotą żyłę i nagle przypomniał sobie, że odmówił przyjęcia za nią dziesięciu tysięcy dolarów. Siadł gwałtownie i siłą otworzył powieki. Ujrzał, że mknie w małej łódce wezbranym, brunatnym nurtem Yukonu. Zalesione brzegi i wyspy były mu zupełnie nieznajome. Był oszołomiony. Nic nie rozumiał. Co prawda, pamiętał jak przez mgłę orgię ubiegłej nocy, ale pomiędzy nią a położeniem obecnym nie było żadnego związku.

Zamknął oczy i chwycił się rękami za bolącą głowę. Cóż to się stało? Nagle przeraźliwa myśl wyrosła z głębi świadomości. Walczył z nią, starał się ją odegnąć, lecz powracała uparcie: popełnił morderstwo. W ten tylko sposób mógł sobie wytłumaczyć, dlaczego znajdował się w otwartej łodzi pośrodku wzburzonej rzeki. Prawo Red Cow, które tylekroć stosował do innych, zastosowano teraz do niego. Zabił — i został ukarany. Ale kogóż mógł zabić?

Na próżno wysilał swój obolały mózg w poszukiwaniu od-pov/iedzi. Nic nie mógł sobie przypomnieć. Miał tylko mgliste wspomnienie jakichś przytłaczających go ciężkich ciał, z którymi walczył. Ale czyje to były ciała? Może zabił nie jednego człowieka? Dotknął pasa. Noża w pochwie nie było. Niewątpliwie nożem właśnie mordował. Ale musiały istnieć jakieś przyczyny zabójstwa?! Otworzył szerzej powieki i w panicznym strachu począł przeszukiwać łódkę. Żywności nie było. Ani łuża żywności. Głucho jęknął. Siedział ogarnięty zgrozą. Zabił bez powodu. Wymierzono mu najsroższą karę.

Pół godziny trwał bez ruchu, obejmując obolałą głowę i próbując myśleć. Potem ochłodził sobie wnętrzości paru łykami wody rzecznej i od razu poczuł się lepiej. Wstał i sam jeden na szeroko

rozlanej rzece, wśród pierwotnych puszczy i dzikiej grozy — przeklinać począł wódkę. Po czym uspokoiwszy się nieco uwiązał czółno do wielkiego pływającego pnia sosny, zanurzonego w wodzie głębiej niż łódka, a więc pływającego prędeją. Umył twarz i ręce, usiadł wygodnie na rufie i począł zastanawiać się nad swoim losem. Był koniec czerwca. Do Morza Beringa było dwa tysiące mil. Łódka niosła najwyżej pięć mil na godzinę. O tej porze roku nocy nie ma wcale, będzie więc mógł przez całą dobę płynąć łódką z prądem. Za dwadzieścia dni dosięgnie Morza Beringa. Nie wymaga to żadnego nakładu energii. Całą pracę wykona rzeka. Może leżeć bez ruchu na dnie łodzi i oszczędzać siły.

Przez dwa dni nie jadł nic. Potem zaniesiony w odnogę rzeki wylądował na jednej z płaskich wysp i począł zbierać jaja dzikich gęsi i kaczek. Nie miał zapalek, zjadł więc jaja na surowo. Były posilne, ale po chwili miał ich już dosyć.

Prześciąwszy Krąg Polarny natrafił na placówkę handlową Towarzystwa Zatoki Hudsona. Personel nie powrócił jeszcze z Mackenzie i w składzie nie było ani łuta żywności. Stróż częstował przybysza jajami dzikiej kaczki, ale O'Brien poinformował go, że posiada duży ich zapas w swej łodzi. Ofiarowano mu więc kieliszek wódki, ale odmówił z nagłym wybuchem gniewu i oburzenia. Otrzymał jednak pudełko zapalek i odtąd mógł już gotować jaja. Niedaleko ujścia rzeki przeciwne wiatry opóźniły bieg łódki, wobec czego O'Brien był dwadzieścia cztery dni na wyłącznie białkowej kuracji. Miał widocznie pecha, bo spał właśnie, kiedy łódź minęła misje: Świętego Krzyża i Świętego Pawła. Mógł potem z całą pewnością dowodzić, że kto mówi o misjach nad Yukonem, po prostu zawraca głowę. Nie było tam żadnych misji, sprawdził to naocznie i stwierdza to z całą stanowczością.

Wypląwszy nareszcie na Morze Beringa — zamienił jaja na mięso foki i nie mógł się w żaden sposób zdecydować, czego bardziej nie znosił. Pod koniec roku wziął go na pokład stateczek powracający do Stanów Zjednoczonych, Następnej zimy San Francisco poznało Marcusa O'Briena jako zapalonego prelegenta. Na tym polu znalazł swoje powołanie. Hasło: „Precz z butelką!” było jego okrzykiem bojowym. Nieraz też z wielką ostrożnością dawał do zrozumienia słuchaczom, iż w jego własnym życiu butelka sprawiła jakieś straszne spustoszenie. Nadmieniał nawet, że stracił wielką fortunę przez diabła ukrytego w wódce, a słuchacze domyślali się, że diabeł ten musiał kiedyś porządnie nabroić. O'Brien zrobił karierę na swoich odczytach, a po latach, siwy już i ogólnie szanowany, znany był jako najbardziej zasłużony działacz w walce z pijaństwem. Ale na brzegu Yukonu przygoda Marcusa O'Briena urosła do rozmiarów legendy. Tajemniczość jej walczy o lepsze z historią zaginięcia sir Johna Franklina.

Przygotowano na podstawie bookini.pl